

ODRODZENIE I REFORMACYA W POLSCE.

PIĘĆ ODCZYTÓW PUBLICZNYCH
JÓZEFA SZUJSKIEGO

W ZIMIE R. 1880.

I.

Nie byłbym się nigdy podjął zadania tak trudnego, tak zupełnie nowego, jak to, które na mnie dzisiaj włożono, gdyby nie okoliczność, że studia w tym kierunku są zapewne nie przypadkowo na porządku dziennym zachodniej nauki w Niemczech, Francyi, Włoszech i Anglii, że więc do paralel z tej strony jest pomoc, i że się niemi sam przynajmniej częściowo zajmuję, trudniąc się od lat kilku, na podstawie własnych poszukiwań i bogatego materiału, który mi p. Stefan Muczkowski ze spuścizny znakomitego uczonego s. p. Józefa Muczkowskiego powierzył, dziejami naszego Uniwersytetu w XV i XVI wieku. Materiał ten tyczy się wyłącznie organizacyi, uposażenia i karności Uniwersytetu; jest on wyborny, bo mozołnie z pierwszych źródeł czerpany; oprócz sprawdzenia go, moim obowiązkiem było przedewszystkiem badanie historyi nauki, jako rzeczy najważniejszej a pominiętej, bo śmierć przerywała żelazną pracę uczonego badacza. To, co dzisiaj daję, ułatwione też zostało pracą Akademii. Bez katalogu druków XVI wieku p. K. Estreichera, bez katalogu manuskryptów Biblioteki Jagiellońskiej p. Wiśtockiego, bez wielu innych prac, które wydała, nie powiedziałbym nawet tego, co dzisiaj i w następnych lekcjach powiedzieć będę mógł; to zaś, co powiem, będzie dopiero pierwszą próbą odpowiedzi na wielkie zagadnienie, które stoi na tytule.

Kolebki humanizmu szukać należy tam, gdzie kolebka i ognisko naszej zachodniej cywilizacji. Z Włoch poszedł humanizm na cały świat, a jaka była jego doniosłość—na to nie wystarczyłyby frazes choćby najlepiej utoczony, wypowiedziany dzisiaj; to w całości wykładów, z przykładu na Polsce będą chciał szanownym słuchaczom unaocznic. Do mego zadania należy przedstawić wpływ wielkiego kierunku, gdzieindziej powstałego, na kraj daleki, do zachodniej cywilizacji należący, najdalszy od wielkiego zachodniego ogniska. Tutaj koniecznością się staje prawie już dla tego, aby upatrzeć moment właściwego chwycenia rzeczy, powiedzieć słowo o teorii, opartej na doświadczeniu wieków, wpływów takiego rodzaju.

Otoż nie podlega wątpliwości, że każdy wielki kierunek, który działa na umysłowość ludzką, działa na całego człowieka, na jego rozum, uczucie, wolę, fantazję, na wszystko, co z człowiekiem w związku, od najwyższych jego aspiracji aż do codziennych jego funkcji, od stosunku do najwyższych zagadnień jego natury, aż do stroju i sposobu życia. Co się z takich nowych wielkich kierunków umysłowych oddalonym i o wielki całe co do przeszłości rozwoju różnym udziela, oto to, co najzewnątrzniejsze, to co najjaskrawsze, a nawet najczęściej to, co najgorsze. Gdzie się udziela?—Tam, gdzie się udzielić może,—wyzynom społeczeństwa, które z owym oddalonym wpływem mogą być w stosunku, gdy masa jeszcze niezmiernie od niego daleka. Jeżeli by mnie zapytano o najdawniejsze wpływy pierwotnego odrodzenia włoskiego na Polskę, odpowiedziałbym, że są i są wedle tej miary. Są w wpływie andegaweńskiego dworu króla Roberta na Elżbietę Łokietkównę i Kazimierza W-go, są w tych cienistych rysach, które nam o miękkiej tej zresztą i dobrej kobiecie, i o tym wielkim i mądrym królu historia przekazuje; są w rysach, jakie nam przekazuje Janko o dygnitarzach polskich za czasów Elżbiety, np. o owym świetnym, od złota kąpiącym dworze Zawiszy z Kurozwęk; są nawet w sprawie królowej Jadwigi, która sama jedna, czysta i święta prawie, wychodzi z ruiny andegaweńskiego domu. Z tym wpływem obyczajowym i moralnym łączy się pierwsze wprowadzenie z zagranicy tych rzeczy, które się genialnemu człowiekowi, jak Kazimierz W., wydają koniecznymi w kraju, gdzie rządzi: więc—wprowadzenie rzymskiego prawa na Uniwersytet krakowski, podówczas założony, któremu poświęca wraz z kanonicznym wszystkie katedry Uniwersytetu najlepiej uposażone, prócz dwóch dla medycyny, jednej dla sztuk wyzwolonych. Gdy też Karol VI stoi w posuniętych naprzód Czechach w stosunkach z Petrarką, u nas Petrarka i Dante zawczesny: u nas trzeba praw! u nas Kazimierz tylko legistów szuka.

Zaznaczamy tu pierwsze tchnienia humanizmu w Polsce. Wymagałyby one osobnej lekcji... a dzisiaj obyć się bez nich można, bo od nich do pełnego rozwoju humanizmu, do znajomości Petrarcki, do pierwszego wspomnienia o Dancie, jakże daleko! Jako reakcja po nich przyszła pełna średniowieczyzna czasów Zbigniewa Oleśnickiego i Długosza. Ale potęga takich kierunków, jak humanizm, nie da się wstrzymać — i oto, w sto przeszło lat po założeniu pierwszego Uniwersytetu w Krakowie, posłuchajmy, co mówi Długosz. Prowadzi nas to *in medias res* naszego przedmiotu.

Pod r. 1466, tuż przed wyrażeniem patryotycznej radości swojej z odzyskania Prus t. z. królewskich, traktatem toruńskim, poświęca podszły już w lecjach Długosz wymowny ustęp zepsutym obyczajom polaków. Jest tam wiele zrządzenia starości, bo zaczyna od narzekania na odwrócone w długich kędziorach włosy i upstrzone wstążkami tuniki męzkie, na niewieścią mężczyzn strojność i miękkość, która nam przesuwając przed oczy, jakby jeden z obrazów umbryjskiego mistrza Pinturicchio, kreślącego zręcznym i powabnym pędzlem młodego Eneasza Sylwiusza strojne, opięte, pstrokate i pretensjonalne otoczenie. Ale od stroju idzie Długosz dalej: do zbytku, rozrzutności i łakomstwa, od łakomstwa, do grabieży, a stąd — do buntu przeciw najsprawiedliwшему porządkowi spraw ludzkich, oczywiście duchownemu, bo zaraz dodaje, że zepsute to pokolenie źle myśli o prawach bożych i kościelnych, a zamiast siebie poprawiać, poprawia zwierzchników. Zły język polaków, który im już raz na początku dzieła, przy charakterystyce szlacheckiego narodu wyrzucał, wyśmiewa wieczne porządki, nie wierzy już groźbom pism świętych, na zbawienie duszy i rzeczy ostatnie się nie ogląda. Nie po rozumie też, godności i zasłudze, ale po arogancji idzie dzisiaj zajmowanie stanowisk w społeczeństwie. Źle się dzieje — oto ostatni sens tego ustępu, a kara boska niechybnie ludzi spotka.

Cóżbyśmy dali za to, żeby Długosz nie był tak lakonicznym w tym ustępie, żeby nas wprowadził głębiej w tajniki tego poczynającego się złego, które w ogólnikach, jakie nam podaje, wygląda jak narzekanie sługi katolickiego kościoła na wiek reformacji, na wiek prawie przed reformacją pisane. Skoro tego nie uczynił, wejść nam przyjdzie samym, o ile nas stać na to, w badanie tego ustępu, wytłomaczenie, co sobie poważny kanonik krakowski, uczeń pierwszych dziesiątków lat Uniwersytetu krakowskiego, przyjaciel, wielbiciel i sekretarz Zbigniewa Oleśnickiego, myśleć musiał, co rozważać, gdy przy-

chodził do tego złamania laski sądu historycznego nad pokoleniem, którego politycznymi powodzeniami tak się cieszył.

W pierwszej linii stawia się też zwykle fakt, że pisanem to było po śmierci Zbigniewa, którego wielka i potężna rola w kościele i państwie była dla Długosza najwyższym ideałem, nec plus ultra doskonałości ludzkiej, kierującej się wskazówkami doskonałości Bożej; że pisanem było po odbieżeniu jego chorągwi przez wielu z tych samych, którzy jako duchowni stać byli przy niej powinni, jak Oporowski, Gruszczyński, Lutek z Brzezia; że pisanem było po zaciętej zasadniczej walce króla z ostatnim reprezentantem kierunku zbigniewowego, Jakóbem z Sienna i samymże Długoszem, ukrywającym się przed mściwą ręką królewską na melsztyńskim zamku; że pisanem było po głoszeniu już wielokrotnem zasady: *salus reipublice suprema lex*; po gwałceniu wolności i nietykalności kościelnej przez króla i doradców jego podczas wojny pruskiej, zabieraniu srebra i złota z skarbców kościelnych, wśród krzyków, że duchowieństwo do równych z świeckimi prestacyj pociąganiem być winno. Człowiek zasad statutu Mikołaja Trąby 1420, głoszącego zupełną Kościoła od świeckiego społeczeństwa niezależność, absolutną jego wolność i nietykalność, człowiek praktyki episkopalnej Zbigniewa, pociągającej senatorów do odpowiedzialności za nieodbytą w czasie spowiedź a książęta szląskie za złe pożycie małżeńskie, nie mógł inaczej patrzeć się na nowy wiek i czas, na czas, gdzie w obliczu królewskim toczono religijne dysputy wobec ulubionego żyda królewskiego Zula i Mirzy tatarskiego, gdzie ten król sprzeciwiającemu się w sprawie elekcji biskupiej Sędziwojowi Czechelowi groził gniewnie: Obnażę cię ze wszystkiego, jak ten palec mój; gdzie głoszone zasady, że Polska Stolicy Apostolskiej żadnej właściwie nie winna obedyencji; gdzie pod najostrzejszymi karami wzbraniano głosić klątwy kościelnej przez nuncjusza papieskiego rzucanej; gdzie na dworze królewskim obok reprezentanta średniowieczczyzny, Jana Długosza, w łaskach i względach był Filip Kalimach, wywołaniec z Włoch o zamachy przeciwko papieżowi knowane.

Znajdują więc słowa Długosza łatwe na razie wytłómaczenie za pomocą kilku nawet rysów współczesnych. Pojmuje się, że gdzie tak zaczynało być na górze, tam i na dole języki rozpuszczonemi być zaczynały. Pojmuje się, że człowiek innego wieku i innych zasad, człowiek głęboki i czysty, nietylko coraz bardziej na świat narzekał, nietylko że się w nim coraz bardziej czuł obcym, ale skłopotaną myślą szedł do początku złego, chociaż tych początków nie wypowiedział, owszem tendencyjnie, aby nie dawać zgorszenia, aby nie dawać pobłogi psującemu się pokoleniu, zamilczał je. Oto wykluczył z swojej hi-

stori najstaranniej to wszystko, co mu się wydało początkiem kierunku, tak boleśne na jego starość wydającym owoce; wykluczył ile mógł spór w Kościele, państwach i uniwersytetach (także krakowskim) w kwestyi stanowiska papieży do koncyliów toczony; przemilczał, ile mógł, objawy husyckie w Polsce; przemilczał kwestyę prezentowania na beneficya; przemilczał kardynałat Zbigniewa od Feliksa i deklaracyę jego za neutralnością wśród dwóch papieży; przemilczał świetne legistów polskich na koncyliach wystąpienia; przemilczał, uniknął starannie wszelkiego wspomnienia stosunków, które jego i Zbigniewa łączyły z kierunkiem humanistycznym, tak wpływowym już i potężnym wśród owych pamiętnych walk kościelnych. Przemilczał, jak w następnem opowiadaniu, gdy się z królem pogodził, gdy do rodziny jego pocziwem sercem się przywiązał, starał się osłonić wiele rzeczy jaskrawych, przesunąć między niezmiernymi trudnościami swego stanowiska, często z oczywistą szkodą swojej wartości historycznej, z schodzeniem prawie na dawnych annalistów stanowisko, które z takim talentem, z takimi dowodami uzdolnienia historycznego opuścił.

Dzisiejsza historia przemilczeć nie może. Zaczepiając właśnie o te charakterystyczne umyślne przemilczenia, musi ona stwierdzić, że Długosz przemilczając na swoim stanowisku myślał trafnie i głęboko. Tak jest: Polska wychodząc z XIV wieku z tym zasobem europejskiej cywilizacyi, jaki jej naprędce przez potężną swoją działalność umiał dać Kazimierz Wielki, weszła z właściwą młodą i świeżą energią w koncert spraw i kwestyj europejskich, chłonąc w siebie z łakomstwem takim młodą energią właściwą, wszystko, co jej podawała Europa. Ztąd za przewodem Uniwersytetu krakowskiego, założonego przez Kazimierza W. wyłącznie prawie dla nauk prawnych, trwającego zaś tutaj na zamku krakowskim, prawdopodobnie bez przerwy aż do 1400, zastęp przedewszystkiem legistów w kanonicznym i rzymskim prawie biegłych; ztąd za reformą jego w r. 1400 na przeważnie teologiczny, zastęp teologów i kanonistów, z energią młodości przejmujących się kierunkiem wyłącznie teologicznym; ztąd wczesny i świetny udział naszych legistów w obradach synodu konstancyjskiego, udział stający po stronie radykalnej tak w sprawie Husa, jak w sprawie Krzyżaków z Polską; ztąd także udział naszych kanonistów i teologów w koncylium Bazylijskiem, oświadczających się znowu za skrajną *zasadą*: wyższości koncylium nad papieża. Młode narody, w skrajnościach się obracają, zawsze chwytają, co najświeższe i najjaskrawsze. Ztąd nareszcie bardzo wczesne, zadziwiające prawie wczesnością sympatyę dla humanizmu

italskiego, poddawanie się jego wpływowi, rozbijanie się za jego płodami, właściwe inteligencyi najwyższej środka XV wieku.

Jeżeli więc Długosz doczekał się przewrotu wyobrażeń i pojęć w drugiej połowie XV w., ten przewrót był przygotowany zasadniczemi kwestyami toczącemi się w jego pierwszej połowie i udziałem w nich jego najbliższych, którzy wprawdzie cofnęli się i okopali w fortyfikacji zasad średniowiecznych, wywiesili na tym ostatnim krańcu katolickiego chrześcijaństwa za przewodem Marcina V i Eugeniusza IV sztandar Grzegorza VII i Innocentego III, ale sami nosili piętno przebytych rewolucyj kościelnych na sobie, sami też rzucili w szerokie koła całą garść nowych wyobrażeń i pojęć, które się następnie przeciwko nim obróciły. Znaczącym też, pełnym interesu jest stosunek, jaki wiązał najwybitniejszego człowieka pierwszej połowy XV wieku w Polsce, Zbigniewa Oleśnickiego, Kardynała Eugeniusza IV, Antypapę Feliksa i Mikołaja V, filar średniowiecznego w Polsce porządku z jednym z najwybitniejszych ludzi na zachodzie, stronnikiem zasady wyższości koncyliów nad papieża, potem odwołującym tę zasadę w słynnej *Retractatio*, w końcu pierwszym papieżem humanistą Piusem II, z Eneaszem Sylwiuszem Piccolomini. Wiąza u nas początek odrodzenia z Grzegorzem z Sanoka: daleko słuszniej, sprawiedliwiej, bo donośniej, w skutkach wiązać go należy z wpływami pierwszymi bazylejskiego koncylium na Polskę i stosunkiem Eneasza z Zbigniewem. Z targowicy to książkowej bazylijskiej, słynnej niestety także z towaru zepsucia wszelkiego rodzaju, płyną pierwsze kodeksa humanistów do Polski, kodeksa uprzedzające rozbicie konstantynopolitańskie i ucieczkę greckich uczonych do Włoch, płyną łacińskie pisma Petrarki i Boccaccia, kodeksy Cicerona i Lukana znaczone imionami polskich gości bazylejskich, tuż obok kodeksów mieszczących protokoły tego pamiętnego, a smutnej w dziejach pamięci zjazdu, tuż obok dzieł Gersona, Piotra d'Ailly, Clemangisa. Dla Polski, a dla Zbigniewa Oleśnickiego w szczególności przygotowuje Eneaszy Sylwiusz w r. 1450, podówczas jeszcze biskup seneński, pierwszy najdawniejszy zbiór swoich jako cudo humanistycznej sztuki pisania sławionych listów, a okoliczności towarzyszące tej skwapliwości. prowadzą nas głęboko do zrozumienia, jakie już podówczas na wyżynach społecznych Polski wobec humanizmu zajmowano stanowisko.

Oto co pisze Eneaszy na prośbę Zbigniewa o zbiór jego listów, na prośbę osłodzoną przesyłką kosztownego sobolowego futra. „Powinshawszy kapelusza kardynalskiego właśnie w r. 1449 do Polski przywiezionego, woła, chwając tekst listu zbigniewowego: Niemięjszem zaiste jest, od wysłowienia włochoń, polaków wysłowienie. Pod

niebiosa mi wynosić ten naród, co odgraniczony od Włoch Niemcami i Węgrami, uprzedził tamtych i dostał się do źródła. Niechętnie tylko przygotowuję mój zbiór listów, bo niedosyć utoczony i na twój sposób wygładzony się wydaje. Ujrzysz, że większa moja reputacja niż istota; zapytasz może—czego piszę? Choruję na wspólny grzech. Wszyscy, uczeni i nieuczeni, piszemy!“ Pochwały owe polaków trzeba brać *cum grano salis*, z krytyką: pochodzą one od Eneasza, który o ile wówczas politycznie do Zbigniewa chciał się zbliżyć, o tyle ze względów polityki nie lubił Czechów i Polaków.

Kodeks przybył dopiero następnego roku do Polski, odpisywany tu wielokrotnie, rozrzucony po licznych manuskryptach. Przyszedł z słynną rozprawą: „O nędzy dworaków,“ z sławnym romansem humanistycznym: „O Euryalu i Lukrecyi,“ z listem niejednym, dosyć w wyrażeniach hazardownym. Towarzyszył mu list podówczas już biskupa Seneskiego. „Szłę je (listy) nie w celu otrzymania pochwał, ale w celu poddania ich twemu surowemu sądowi. Nic tam nie znajdziesz godnego twoich obyczajów i stanowiska: są to listy świeckie a nie biskupie,—gra oto! młodzieńców niewtajemniczonych jeszcze w świętości kościelne, rzeczy pisane wtedy, gdy byliśmy aż zanadto świeckimi.” Ma rację najzupełniejszą: są to listy owego gładkiego i pełnego nadziei młodzieńca, którego oglądamy na Pinturicchia obrazach, owego genialnego Włocha, który wśród mniej wykształconych Niemców dobija się kariery. Odpisuje też na przesyłkę Zbigniew Oleśnicki dopiero w r. 1453, przeczytawszy kodeks dorywczo, wśród prac niezmiernych politycznych i kościelnych, jakie miał na barkach, często, jak opowiada, późną nocą ślęcząc nad ciekawą księgą. „Wielka twoja zdolność Eneasza, pisze, i niezmierna swada wysłowienia. Masz słowa w mocy: więcej u ciebie myśli niż słów. Odkąd na piśmiennictwie znać się począłem, nie nawidziłem zawsze tych, co traktując rzecz, starają się o *dwuznaczność* i *niejasność*, że ich za ledwie najbaczniejszy umysł zrozumie. Ale przyznaję, że wtedy uważam cel pisarza i mówcy za dopięty, gdy *powaga* towarzyszy mowie, gdyż bez powagi nie ma ani wiary słowu, ani jego dłuższego wpływu.“ W dalszym ciągu mowa o właściwym poetów stanowisku, jako przyprawiających moralny cel obrazami fantazyi i pięknnością słowa, oraz polemika o Władysławie Warneńczyku, tutaj nienależąca. A więc coś jakby delikatna krytyka całego humanistycznego kierunku, coś jakby szukanie i wskazywanie drogi między niejasnością i subtelnością scholastycznej erudycyi, a tą zbytnią wolnością słowa, którą od pierwszej chwili odznaczyli się humaniści; wszystko to zaś w liście starannej cycerońskiej konstrukcyi. Jakoż w odpowiedzi na to następuje nie list, ale rozprawa cała Encasza,

która sama jedna weszła do jego zbioru listów i wydań, *obrona poetów* starożytnych i humanizmu, obrona poparta cytatami autorów klasycznych i Ojców Kościoła, obrona wymierzona przeciw powstającemu w szeregach średniowieczyzny krzykowi na zepsucie obyczajów, na pojęcia niechrześcijańskie szerzone przez humanizm. „Co dziwnego, że mądrość świecką dla piękności jej wysłowienia, dla nadobności jej kształtów, z niewolnicy i poganki, chcę uczynić chrześcijanką, a co w niej śmierci, bałwochwalstwa, błędu, namiętności zmysłowej, odcinam i ścieram; że z niej staram się wydobyć płód nowy, czysty Panu Zastępów, aby wyszedł na użytek rodzinie Chrystusa”.

Tak rozumowali dwaj wielcy i znakomici ludzie w środku wieku XV, godząc się prawie na jedno, mniemając, że należy usunąć z nauki i słowa ową szkolną i kastową tajemniczość, która rozwinęła się w średnich wiekach; należy użyć autorów łacińskich i opartego na nich swobodnego, płynącego strumieniem pełnym słowa wykształconych na nich humanistów, byle zachować wiarę, byle pamiętać zawsze, że to ma się dziać w służbie Chrystusa i Kościoła, służyć jednemu i drugiemu. Tak rozumowali, przeczuwając owoce bujne, nadzwyczajne tego małżeństwa chrześcijańskiego ducha, pełnego średniowiecznej siły i głębokości, pełnego rdzennej namiętności i uniesień, z wykopanym posągami pogaństwa takich pięknych i godnych miłości kształtów — w zakresie nauki w istocie niesłychane, od uczoności Walli i Marsyliusza Ficina do odkrycia Kopernika, podróży Vasco de Gamy i Kolumba; niesłychane w zakresie sztuki od prób Giotta, Masaccia i Mantegni, przez okres Peruginów i Franciów do Michała Anioła, Rafaela, Leonarda da Vinci, Tycyana i Correggia, od Ca d'oro do kopuły św. Piotra. Ale tam, wśród narodów nowych, młodszych, gdzie nie było tyle duchowej równowagi; gdzie bezpośrednio było uczucie a mniej głęboką wiedzę; gdzie to, co nowe a piękne chwytła człowieka gwałtownie, jednostronnie, pędzi do ostatnich swoich konsekwencji, każe wyciągać wnioski niedojrzałe ale skrajne i zuchwałe; gdzie się jest albo bezwzględnie posłusznym powadze, albo ściska na nią pięść i rzuca, jak młody lew wydobywający się z więzienia; gdzie się nie odróżnia idei od ludzi; gdzie nie przypuszcza się, aby społecznie można być wytwornym miłośnikiem pogaństwa i chrześcijaninem z zasady; gdzie wielkie ruchy o jednej myśli stają się tem łatwiej epidemicznymi, im mniejszy w ogóle kapitał tych myśli, tej wiedzy, tego wszechstronnego, wiekami napiętrzonego rozwoju, — jakże tam co najmniej różne miały być owoce chrześcijaństwa, biorącego w gorącej miłości ślub z wytworną, zasypaną przez wieków dziewięć, piękną zajste jak Wenus Medycyjska umysłowością pogańską, ślub,

o którym mówi Eneaszy Sylwiusz, a z którego dobrych skutków się spodziewa.

Po badaniach ostatnich protestantów i katolików, Niemców i Francuzów, odpowiedź dzisiaj prawie nie ulega wątpliwości. Owocem tego ślubu, owocem humanizmu była reformacja, było odpadnięcie od Rzymu połowy Niemiec, Anglii i Szwecyi, zachwianie się nadzwyczajne Francyi i Polski, gdy pozostały przy katolicyzmie kraje romańskie, Włochy i Hiszpania, gdzie pomimo inicjatywy walki, pomimo najgroźniejszych antytez, suma prawowierności zwyciężyła, humanizm ostatecznie pozostał w służbie Chrystusa.

Nie przeczuwał tego nawet tak głęboki i mądry człowiek, jak Eneaszy Sylwiusz, nie przeczuwał oczywiście i Zbigniew. Wszakże w zapasach z bezpośrednim niebezpieczeństwem—hussytyzmem i idącym w ślad za nim narodowym kościołem Rokiczany, humanizm najlepsze oddawał usługi. Wszakże głównym ich pogromcą był humanista umiarkowany, Eneaszy Sylwiusz, nieprzyjaciel Czechów, a mimo pięknych słów do Zbigniewa, nieprzyjaciel Jagiellonów i Polski, podejrzanych o sympatyę do Czech, a rywalizujących z świętem rzymskim cesarstwem. Wszakże humanistami byli Mikołaj Lasocki i Jakób z Sienna, najwięksi ówczesni ultramontanie polscy; wszakże i Długosz, piszący za granicę do Stefana Hohenberga i Kwiryna Baldo do Wenecyi, przywdziewa odświętną humanizmu szatę, mówi o Junonie i Lucynie, rozczytuje się w sprowadzonym z Węgier Liwiuszu. Wszak Andrzej Galka z Dobczyna, chociaż mistrz sztuk wyzwolonych, i przyjaciele ukryci hussytyzmu na uniwersytecie krakowskim, humanistami nie byli: byli przekręcaczami Pisma świętego dla doktryny Wikliffa i mistrzów prazkich, gwałtownymi reformatorami Kościoła, gotowymi żagiew buntu rzucić w społeczeństwo, gotowymi nie obwijać zdania swego w pięknie ustawioną łacinę, ale miotać wiersze na papieża i hierarchię kościelną w języku polskim, w języku ludu, aby się dostały w sfery szerokie i niosły ów bunt i pożogę. W ludziach tych logika averroizmu, tendencje Gersona, D'Ailly'ego, Clemangisa, uderzały taranem w misterną budowę średniowieczną; humanizm niósł z sobą niechęć głęboką do tych przesad sekciarskich, niósł podówczas ideę monarchii do Kościoła; aliantem, sojusznikiem wydał się Kościołowi i Zbigniewowi Oleśnickiemu, byle wytworności, jak mówił, towarzyszyła powaga, byle bajki poetów nie klóciły się z rygoryzmem kościelnym.

Nie spostrzegli wielcy mężowie, nie spostrzegli, bo sami byli pod wpływem jego czaru, że humanizm niósł z sobą to, czego averroizm

arystotelesowski nie niósł: niósł odwrócenie myśli, uczuć, wyobraźni od chrześcijaństwa, napelnienie jej myślami, uczuciami, obrazami pogańskimi. Filozofia scholastyczna, arabskim Arystotelesem potracona, działała na rozum; rozum, kierowany sercem pełnem chrześcijańskiego uczucia, zwrócił się cały do pogodzenia myślenia z wiarą i to mu się udawało nawet tam, gdzie się z Kościołem pokłócił. Humanizm, jako taki, nie zaczął wiary: owszem, wywoływał najcudowniejsze kombinacje myśli chrześcijańskiej z myślą pogańską, platonizmu z chrystyanizmem, mitologii greckiej i rzymskiej z chrześcijańskimi wierzeniami, że tu wspomnę plody jego poetyczne, wiążące Apolla z Chrystusem, lub stwarzające nad bohaterami epopei mieszany świat pogańsko-chrześcijański, że wspomnę owo *capo di opera* sztuki włoskiej: „Sąd ostateczny” Michała Anioła, pełen posagowej nagości starożytnej. Nie zaczął on też i średniowiecznej budowy świata, jak mógł ją argumentacją zacząć legizm rzymski od Tarleusza di Suessa do naszego Pawła Włodkowica; owszem, mógł walczyć nawet w jej obronie przeciw wywodom legistów z tą obrotnością i świetnością, którą mu dawała jego wymowa. Ale humanizm, chwytając potężnie cały umysł w podziemną, pełną czarów pielgrzymkę po dziedzinie starożytności, drażniąc jego naiwną podówczas, młodą, nienasyconą ciekawość obrazami jej życia w każdym kierunku, rozbudzając krewkość i zmysłowość tych potężnych fizycznie organizmów średniowiecznych, wyzywając do naśladowania i stosowania natychmiast tego wszystkiego, co się na pierwszy rzut oka nasuwało—bo o głębokiem zbadaniu starożytności mowy być podówczas nie mogło—wiódł życie codzienne, społeczne, polityczne, literackie, religijne, z nadzwyczajną szybkością, tem większą, im świeższa była rola, na której był zasiewany; niósł mnóstwo w oryginalny sposób często do niepoznania przetworzonych pojęć, zapatrywań, obyczajów starożytnych, niósł zaś przedewszystkiem gwałtownie się szerzące, po walkach religijnych pierwszej połowy XV wieku, tem łatwiej się tłómaczące, osłabnięcie gorącego tętna religijnego, ciepła chrześcijańskiego, żarliwości w nabożeństwie i praktykach kościelnych. Jeżeli nie brakło wypadków, gdzie się kierunek ten do zupełnej harmonii z chrześcijańskiem zapatrywaniem na świat układał, gdzie wziętym był pod rząd zasad chrześcijańskich, albo, jak w umyśle Eneasza, po długich walkach do takiej harmonii powrócił, to przeważały coraz bardziej te ostatnie; działo przeciwnie, gdzie się ta chrześcijańska harmonia naruszała, narażając człowieka na sprzeczność z jego stanowiskiem, gdy np. był duchownym i wysokim dygnitarzem kościelnym, gdzie ten humanista duchowny stawał przy świeckiej władzy przeciwko kościelnej, jak Lutek z Brzezia przeciw

humaniście Jakóbowi z Sienna; radził zabór sreber kościelnych, jak Jan Gruszczyński, lub jak Grzegorz z Sanoka, będąc arcybiskupem lwowskim, wyglądał na sentencyonalnego starożytnego mędrca, na filozofa raczej, niż na pasterza dusz rozległej i ważnej dyecezyi.

Ale powie ktoś: gdzie ślady tego humanizmu w nauce? Będziemy o nich mówić niżej: tutaj dążymy tylko do wykazania, jak humanistyczne wyobrażenia dostawały się do Polski, jak się mogło stać i co spowodowało, iż Długosz pod r. 1466 notuje upadek religii, powagi i zasad kościelnych, upadek obyczajów, lekceważenie zbawienia. Upadku tego i lekceważenia nikt nigdy podówczas nie uczył i nie mógł uczyć umyślnie, wyraźnie, *ex cathedra*; nie uczył go i humanizm. Ale jeżeli pewien wielki zwrot w wyobrazeniach pójdzie od góry, objawi się w najwybitniejszych ludziach, to niepotrzeba nawet aby tłumy to wiedziały i z tego wychodziły, co ci ludzie wiedzą i z czego wychodzą: wiedza o tem może przyjść później; zwrot się z szybkością błyskawicy rozszerzy i ogarnie szerokie koła społeczeństwa. Na tem polega wielka teoria chrześcijańska o zgorzeniu. W Polsce tajemnemi, całą siłą tłumionemi wpływami hussyckiemii grunt był przygotowany; zamęt koncyliów dołał oliwy do ognia; śmierć Zbigniewa Oleśnickiego dała hasło do wywrócenia wolnej elekcji biskupów; całą falangą weszli do rządu Kościołem ludzie nowi, noszący najwybitniejsze humanistów piętno: małą dla spraw religii gorliwość, pragnienie świetnej i szybkiej karyery i służbistość wobec władzy. Z drugiej strony zanotować należy nadzwyczajną polaków XV wieku ruchliwość, ich prawdziwą podróżomanię, jaką się zwyczajnie w rozbudzonych, młodych, świeżych spotyka społeczeństwach. Podróżomania ta, obok osobistych spraw kościelnych, pędziła całe zastępy duchownych do Włoch, trapiąc Polskę chmarą t. z. kortezanów, dobijających się w Rzymie o rezerwowane dla Stolicy Apostolskiej beneficya; pędziła studentów celem dalszego wykształcenia na uniwersytety obce; pędziła rycerzy w służbę dworską lub szeregi austriackie, czeskie, węgierskie, ubożące często własne polskie zaciągi lub przeciwko nim, jak w r. 1458 pod Wrocławiem stojące; co wszystko przemawia za nadzwyczaj żywą wymianą myśli z ościeniami i dalszemi wpływami europejskimi.

W końcu jedno jeszcze. Za poddaniem beneficyów wyższych pod wybór władzy świeckiej, co stało się kryterjum wyboru? Oczywiście, w pierwszej linii, służba interesowi królewskiemu, w drugiej linii wykształcenie i dworskość, w ostatniej—kwalifikacja teologiczna. Na tej ostatniej nie rozumiano się na dworze; dwie więc inne stano-

wiły o wszystkim. Jeden i drugi warunek posiadali humaniści; oni też obsadzili niebawem najwyższe dygnitarstwa kościelne.

Jak zaś humanizm przetapiał człowieka w nowy typ, zupełnie różny od dawnych średniowiecznych, czas nam pokazać na człowieku, który uchodzi w Polsce za pierwszego jego reprezentanta, na Grzegorz z Sanoka. Żywot jego pisze głośny humanista Włoch, Filip Kalimach dla arcybiskupa gnieźnieńskiego Zbigniewa Oleśnickiego, pisze tendencyjnie, jak tendencyjną jest jego historia Władysława Warneńczyka, cała poświęcona tezie, że polakom z Turcyą bić się nie należy, ale nie ma przyczyny, aby faktom przytoczonym nie wierzyć, zwłaszcza że się wiernie z innemi schodzą wskazówkami. Szlacheckich ale ubogich rodziców, syn w 12-tym roku ucieka od zbyt surowego ojca i powierza się fortunie. W r. 1428 jest na uniwersytecie krakowskim, pięć lat bawi w Niemczech, wraca do kraju, gdzie utrzymuje się z uczenia dzieci i przepisywania manuskryptów, potem — ze śpiewu choralnego. W r. 1433 w uniwersytecie krakowskim, nawskróś teologicznym, wyklada Bukoliki jako bakalarz i sprawia nowością rzeczy wrażenie ogromne. Pan na Tarnowie bierze go na guwernera. Nagrobek, napisany na grób Władysława Jagielly, poleca go młodym królewicom; dyskusya o Kadłubku jedna mu względy głośnego profesora i komentatora Jana Dąbrówki. Jako magister już jedzie do Włoch 1439 roku i wyjednywa probostwo wielickie, gdzie żyje oddany muzom, a wśród przyjaciół natrzęsa się z tych, co poetów starożytnych nie biorą za podstawę edukacyi. Władysław bierze go z sobą do Węgier; tam to ma on stawać wbrew Cezariniemu, przemawiając za zachowaniem pokoju z turkami pod Warną, zaś nad trupem kardynała odezwać się: Słuszny cię los spotkał, ale ciebie tylko powinien był spotkać ten los, skoroś Stolicę Apostolską sprawczynią przeniewierstwa uczynił! Wątpliwa anegdota, zostająca zanadto w stosunku z tem wszystkim, co Kalimach czynił dla wstrzymania Polski od udziału w wojnie powszechnej z Turcyą. Zginał król i Cezarini, Grzegorz wyszedł cało; Hunyady, może winniejszy w klęsce warneńskiej, niż Cezarini, bierze go na swój dwór, czyni jednym z nauczycieli swych synów; arcybiskup Gara kanonikat mu daje. Jako poseł węgierski staje w Polsce, gdzie niebawem, nie bardzo chętny mu i protestujący zrazu Zbigniew Oleśnicki, wyświęca go na arcybiskupa lwowskiego 1451 r. Odtąd daleki od spraw publicznych, z królem tylko często tajemnie korespondujący, doradzający mu już wtedy, rzecz ciekawa — ściągnięcie dóbr królewskich, cały oddany gospodarstwu w dobrach duchownych, nauce i muzom, jest dla biografa Kalimacha wzorem biskupa, senatora, mędrca, człowieka. Biograf kreśli

każdym rysem swój ideał, każde słowo, które Grzegorzowi w usta kładzie, jest nowem na świat zapatrywaniem. Czy wszystko z natury, mniejsza, to pewna, że chwalił swój swego. A więc skrupulatność w dopełnianiu kościelnych obowiązków, a więc staranność, aby księża byli wykształceni i przyzwoici, a więc opieka nad dobrobytem włościan wsi biskupich, a więc skromność w życiu z wygodą połączona, a więc unikanie t. z. nepotyzmu, t. j. wynoszenia i bogacenia własnej rodziny, a więc gościnność dla obcych; szczególnie dla włochoń gościnność i dla Kalimacha, uciekającego przed gniewem Papieża. To ostatnie już trochę podejrzanie wygląda w obec kreteryum prawowierności biskupiej, a cóż dopiero powiedzieć o reszcie. „Nie ma takiej tajemnicy świętej i religijnej z natury swojej, aby mogła się bez osłony ceremonii obronić od pewnego sponiewierania.” Cała siła zatem w ceremoniach, w zewnętrznym wystąpieniu, w cudowności. „Cudowniejszem zaś wyganiać siedmiu dyabłów, niż siedm grzechów.” A więc cudowność, a więc świąt jak najwięcej, aby, jak mawiać miał Grzegórz, mnożył się dochód kościelny. „Religia jest najskuteczniejszym środkiem rządzenia tłumem: jestto panowanie duchem nad ciałami, zjednywanie uczuciem i wymową serc ludzkich; dlatego najdzielniejszy jej środek—wymowa, posługująca się nie rozumowaniem, ale wzruszaniem. Więc od poetów się jej uczyć, a nie opierać narozumowaniach, naniezrozumianym Arystotelesie. Rzeczy pod zmysły podpadające, nie potrzebują argumentów; rzeczy, w zakresie intelligencji położonych, nie można oprzeć na argumentach, bo ich nie mają. Etyka, to jedyny grunt filozofii, etyka stoicka; w fizyce jeden Epikur ma rację.“ To nie zasady średniowieczne! Cóż dziwnego, że przy takich zasadach narzeka na trudności w rozwodach, chwalać luźniejsze przepisy kanoniczne greków, że mniej waży posty, że stół jadalny nazywa miejscem godnem najwyższego szacunku, że się nie rusza bez książki medycznej, mieszczącej wiadomość o siłach roślin! Wierzyć się prawie nie chce, że to o biskupie XV wieku mowa; ochota zbiera, aby go uczynić tylko ofiarą pochwał Kalimacha; wszakże bądź cobądź, rzecz, jaką przedstawiłem, dedykowana biskupowi także, Zbigniewowi Oleśnickiemu II, schodząc się najdokładniej z skrajnemi tendencjami humanistów włoskich drugiej połowy XV wieku, przykryta tem samem zręcznem, wszelkie pozory prawowierności zachowującym okryciem, a schodząca się zarazem z tym krótkim sądem Długosza o Grzegorzu z Sanoka, gdzie mu nie szczędzi pochwał za poezye i dobre w dobrach biskupich gospodarstwo, ale milcząc o wszelkich zaletach duchownych, stwierdzając charakterystykę Kalimacha, śmierć jego (bez Sakramentów) truciznie kobiecą ręką zadanej, przypisuje. Wszakże samo autorstwo kalimachowe pozwala przenieść

najbardziej zasadnicze rzeczy biografii na Kalimacha samego. On to właśnie jest typem tej nagłej, potwornej, prawie satanicznej degeneracyi humanizmu, która we Włoszech pod koniec XV wieku się piętrzy, zamienia dwory książąt na sympozyony platońskie, napelnia umysły frenezijnym dla starożytności entuzjazmem, oddziaływa potężnie na zepsute już i tak obyczaje, a zapatrzonego w postacie nieba średniowiecznego, które dla każdego brata zakonnika w celkach dominikańskiego klasztoru św. Marka namalował anielską sztuką stary Angelico da Fiesole, brata Hieronima, znanego pod nazwiskiem Savonaroli, tego, który sam uczył się na Cyceronie, wypędza z klasztornej celi na ambonę, aby piorunani słów uderzył w to bałwochwalstwo starożytności, a zapaliwszy lud wierny, zapaliwszy nawet samych wielbicieli starożytności chrześcijańskim ogniem, powiódł ich na plac przed Barghello i na stosie wielkim, który i jego niebawem czeka, spalil niezliczone egzemplarze Petrarki i Boccaccia, Owidyusza, Persyusza i innych starożytnych autorów. Kalimach pozostaje w najściślejszym związku z tym właśnie humanizmem: z Marsyliuszem Ficinem koresponduje o daemonach platońskich, przecząc możności ich istnienia, a przecząc równocześnie mniemaniom teologów o wpływie nadnaturalnych potęg na człowieka; z Janem Pikiem z Miranduli—podnosząc wątpliwość, czyli ciało, jako takie, może być karane za grzechy, czyli odpowiedzialne jest za grzechy duszy; z Wawrzyńcem Medyceuszem o naturze snów, zdając sprawę z fizyologicznej rozmowy między nieznanym bliżej Miriką, Piotrem z Bnina b. Kujawskim i Maciejem Drzewickim, sekretarzem królewskim. Uczeń Pomponiusa Laetusa, przyjaciel Platiny, który miał przeciw papieżowi Pawłowi II uknuć sprzysiężenie celem wyniesienia się na *Pontifex maximus* Rzymu, uciekł Kalimach z Włoch 1468 r. na wyspy Archipelagu, zkąd na Konstantynopol dostał się 1470 r. do Lwowa do Grzegorza z Sanoka. Tam przetrzymał burzę, którą wznicił przeciw niemu Aleksander forliceński, nuncyusz papieżki w Polsce, zyskał protekcję Dersława z Rytwian, marszałka i tej opinii polskiej, coraz silniejszej, która z Ostrorogiem szła przeciwko zbytnej dla Rzymu uległości, ba! dostał się na dwór króla jako współnauczyciel jego synów z Długoszem Prawdziwie!—spotkanie się dwóch światów, pełne skutków dla elewów królewskich. Wysoko ceniony przez humanistów w senacie i na dworze, Piotra z Bnina, Zbigniewa z Oleśnicy, Dobiesława Lubelczyka z Kurozwąk, Dersława z Rytwian, Macieja Drzewickiego, odpowiadający wybornie trzeźwej, despotycznej a politycznej Kazimierza Jagiellończyka naturze, odegrał on w ostatnich 18-tu latach jego panowania rolę odpowiednią wysokim zdolnościom swoim i inteligencyi, wy-

cisnął na polityce królewskiej względem Papieża, Czech, Węgier i Turcyi piętno swoje, piętno głębokiej ku Rzymowi niechęci. Iść na Turka! było hasłem humanistów od Piusa II czasów; nie iść na Turka było hasłem, które podnosił Kalimach przeciw obu nieprzyjaciolom humanizmu: Pawłowi II i Inocentemu VIII. Do ostatniego to, on, wygnaniec papieżki, udał się w roku 1490 jako ambasador potężnego króla polskiego, aby krytykować w śmiałej mowie politykę papieży jako bezpodstawną i marzycielską, aby podnieść w niej zarzuty przeciw nieprzyjaznemu usposobieniu Kuryi dla Polski, a zasługi Polski w boju z Turkami i Tatarami i żądać kapelusza kardynalskiego dla młodego Fryderyka królewicza. „Najświętszy Ojczy! państwo moje tak przez Świątobliwość Waszą zostało zamącone i uszkodzone, że musi naprzód starać się o wyjście z tego stanu. Słuszna jest, aby każdy pilnował swoich interesów, nim cudzych interesów pilnować zechce.“ W tym tonie zapowiadał król poselstwo Kalimachowe, w tym tonie wypadło poselstwo. Skutek go nie uwieńczył: Fryderyk dopiero 1495 r. został kardynałem. Kalimach, służąc zawsze dynastycznej ambicyi królewskiej, poszedł z J. Olbrachtem do Węgier w ową niefortunną sprawę stawiania brata przeciw bratu. Ale miarą wpływu zwyciężkiego Kalimacha jest nienawiść, jaką budził. Ta nienawiść każe mu po śmierci Kazimierza Jagiellończyka szukać bezpiecznego ukrycia, dopóki nie udał się zamach zbrojny, na tron Jana Olbrachta, jego ucznia, przyjaciela i protektora wynoszący. Odtąd jest on rzeczywistym, jest niezawodnym doradcą króla. W rzeczach małych i wielkich panuje jego myśl, nie ta w całości, którą spotykamy w późniejszym fabrykacie przypisywanych Kalimachowi rad, ale ta, która się złożyć daje przez mozolne studyum wszystkiego, co pod względem politycznym Kalimach zostawił z pierwszemi krokami królewskimi. Więc alians dynastyczny w Lewoczy, więc przerzucenie się do zadosyćczynienia szlachcie na sejmie 1496 roku, więc i owa myśl, którą J. Olbracht już po śmierci Kalimacha wykonał, wykonał wbrew bratu Fryderykowi i Senatowi, którą ukrywał skrzętnie, aby wyprawę, na Turka rzekomo podniesioną, obrócić przeciw Stefanowi mołdawskiemu i przeciw roszczeniom Węgier do Mołdawy. Wpływa on i na Aleksandra, rządzącego na Litwie, jak o tem swego czasu powiemy. Już w r. 1495 był Kalimach w złych z Fryderykiem stosunkach. W sporze niedosyć znanym żydów krakowskich z mieszczanami, poddmuchiwanej fanatyzmem ówczesnym przeciwko żydom, a skończonej potem wypędzeniem ich z miasta, stał J. Olbracht po stronie żydów przeciw mieszczanom, kapitule i bratu, a Fryderyk skarżył się gorzko: Więcej znaczy u WKMc*ci jednego człowieka cudzoziemskiego*

upór i instancja za żydami, jak tyłu mężów powaga i wiara, jak moja godność!“ Tu przepowiadając karę boską, grozi kardynał spełnieniem prociactwa Kapistranowego i turkami pod Krakowem. Rzecz ciekawa, niedająca się jeszcze wyjaśnić bliżej, w każdym razie świadcząca o wyjątkowym na dworze króla, Kalimacha stanowisku.

D. 1 listopada 1496 umarł Kalimach, pochowany przez króla z przepychem, który spotyka tylko najwyższych dygnitarzy i faworytów, uczczony tą piękną tablicą śpiżową, przedstawiającą nam go z twarzą pełną wykwintnej finezyi, odznaczającej humanistów oblicza od Piusa II do Erazma Roterdamczyka, zawsze podobnych znowu do arcytypu innego, późniejszego, groźniejszego chrześcijaństwu kierunku, do arcytypu twarzy Woltera. Chudsze czy otylsze twarze te porzeźbił w bruzdy pełne myśli, duch bystry i bezwzględny, szczęki i brodę wysunęła zmysłowość, usta zwięził uśmiech sardoniczny, pewny siebie ale panujący nad ostrem dowcipu żądłem, uśmiech dyplomaty i egoisty. Gdyby dobry fizjonomista nie szedł za inną wskazówką, jak za wskazówką tego typu, gdyby pamięcią jego przeziierał nagrobki renesansowe Polski tego czasu w Krakowie, w Gnieźnie, Poznaniu i gdziekolwiek one są, złagodzony wszystkimi swojskimi, chrześcijańskimi wpływami, znalazłby był ten typ coraz częściej, coraz wszechwładniej panujący. Wnieścby mógł, że jak te pomniki do renesansu należą, tak i ci ludzie do renesansu. Historykowi nie wolno czynić tak śmiałych przypuszczeń: on musi nawrócić do samego źródła, do stanu nauk humanistycznych w Polsce, do Uniwersytetu, który się tak licznie zebrał na pogrzebie kalimachowym, do tych drobnych a rozbitych szczegółów, z których składać wypada fakta do najważniejszej może, zaniedbanej dotąd połowy historii—historii cywilizacji. Jeżeli też w stosunkach w dwóch typach: Eneasza Sylwiusza i Zbigniewa Oleśnickiego, przyszło mu przedstawić najdalej sięgające dążenia humanizmu także na tych wyżynach, to obecnie, wśród całego tłumu postaci mniej wybitnych, nieskończenie rozmaitych, przyjdzie mu szukać wątku wielkiego dziejowego kierunku, niezmiernie rozbudzającego umysłowe życie, wstępnym bojem obalającego pojęcie o świecie, społeczeństwie, państwie i Kościele, zwycięzko deprecującego dawne metody rozumowania i nauczania, w walce z dawnymi zapatrywaniami, szkołami, metodami, na poziomie umysłowym społeczeństwa samego na ławie szkolnej i na pulkach handlów manuskryptami i rozpoczynającymi się właśnie drukami, w kolegiach i bursach, w oficynach Hallera, Unglera i Szarffenbergera, w objawach życia ludzkiego nareszcie i wpływie tego zwrotu myśli na moralność. Rzecz dająca się oczywi-

ście tylko rzucić największemi rysami lub charakterystycznemi szczegółami, które będą przedmiotem drugiej lekcji.

II.

Powiedziałem w pierwszej lekcji, że w pierwszej połowie XV wieku na wyżynach naszego społeczeństwa zjawiał się już humanizm; że go w sferach najwyższych kościelnych przyjęto jako pożądanego alianta przeciw sekciarstwu hussyekiemu; że inne sfery najwyższe świeckie, a nawet kościelne, w których zamęt schyzmy i koncyliów zachwiał średniowiecznemi pojęciami o hierarchii chrześcijańskiego świata, przyjęły go również z zadziwiającą szybkością, do pary z legizmem rzymskim, aby zapewnić państwu potężny wpływ na Kościół, odebrać mu główną siłę w sprawie elekcji biskupów, położyć fundamenta polityki na wewnątrz niwelacyjnej i poddającej wszystko pod strych państwa, na zewnątrz utylitarnej, zrzucającej z siebie wszelkie posłuszeństwo kierunkowi od Kuryi idącemu. Tak było na górze. Niepodobna, aby kierunek, tak na górze zwycięzki, nie odbił się na umysłowym poziomie społeczeństwa. Jakoż odbił się rzeczywiście. Co tam wszakże, na teatrze spraw publicznych wchodziło już w praktykę życia, tu na dole pozostawało dłużej w sferze teorii, w sferze nauki, w sferze rozpraw gorących a nieprzekazanych potomności, w sferze drobnych napozór zatargów, aby znurutowawszy społeczeństwo, pobudzić naprzód do baczności, potem do walki kierunek przeciwny, wyobrażenia, metodę i wierzenia średniowieczne, stanąć przeciw nim, jako świat przeciw światu, wkońcu zaś, wśród anarchii, jak zobaczymy, ztąd powstałej, znaleźć się nagle wobec faktu nowego, nieuchronnie z tych walk powstałego, faktu reformacji religijnej, wybuchłej w Niemczech, faktu, którym naród przez długie wieki z Rzymem w ustawnych, twardych walkach zostający, wyciągał ową ostatnią konsekwencję z toczącej się od stulecia walki umysłowej, wyciągał z właściwą sobie bezwzględnością, ledwie nie brutalnością, ale niezawodnie w imię obrażonego religijnego uczucia. A więc nie chcemy naki Kościoła, naukowej jego powagi i władzy; pozostaje *simplex et purum Evangelium* i mój dumny rozum!

Jak to szło na dole na owym najwyższym poziomie umysłowym społeczeństwa, szukać trzeba w starych kodeksach bibliotek naszych, w szczególności biblioteki Jagiellońskiej, gdzie się życie ówczesne Almae Matris i wychowywanego przez nią pokolenia ukryło. Po owym pierwszym transporcie książek humanistycznych przybyłym do Polski

podczas Synodu bazylejskiego, nie ustaje już ich szereg starannie używany, napełniony głosami, opatrzony nazwiskami właścicieli. Są to kodeksa części Cyncerona, Liwiusza, Pliniusza, Seneki, Suetoniusza, Waleryusza Maksyma, Owidyusza, Terencyusza i Plauta, Lukana i Stacjusza, obok wyjątków i pism całych Guarinięgo, Aretina starszego, Poggia Bracciolini, Franciszko Filelfa, Wawrzyńca Walli, łączące się z nazwiskami Tomasza Strzępińskiego, Jana Dąbrówki, Jakóba z Siena, Benedykta Hesse, Jana z Latoszyna, profesorów lub dobrodziejów uniwersytetu, albo też dwa kodeksa wprost przez wydział nauk wyzwolonych (arcium) kupione. Nie opuściły więc już nauki humanistyczne uniwersytetu, chociaż toną jeszcze w powodzi Arystotelesowskiej filozofii, gramatyk i słowników średniowiecznej łaciny, w Summach Lombarda i kompendyach kanonów, chociaż Jan z Dąbrówki, czytający Cyncerona, spółcześnie wyklada Kadlubka. Owszem, mają one urok nowości, gorących zwolenników, mają poparcie uniwersytetu, mają sympatyę społeczeństwa. W roku 1449 zapada na wniosek J. Dąbrówki uchwała założenia nowego kolegium: *Collegium minus*, uposażenie go w kolegiatury: Nowkona dla poetyki, retoryki Cyncerona i kroniki Wincentęgo Kadlubka, kolegiatury Katarzyny Mężykowej dla pisarzy łacińskich w charakterystycznym porządku Boecjusza, Alana, Waleryusza Maksyma, Wirgiliusza, Owidyusza, Horacjusza, Terencyusza, kolegiatur Mikołaja z Brzeźnicy i Jakóba Zaborowskiego dla gramatyki, jeszcze wedle Pryscyana i Donata. Kolegium obejmowało także drugą naukę modną, popularną: matematykę, astronomię i astrologię, z humanizmem w tak bliskich zostającą stosunkach. Wdowa Mikołaja z Michałowa, kasztelana krakowskiego, wyposaża r. 1462 jedną jeszcze kolegiaturę w kolegium artystów. W r. 1462 *Collegium minus* już za ciasne: zbyt wiele bakałarzy i magistrów wyklada obok kolegiatów; rektor Mikołaj z Kalisza pozwala, aby ci, którzy nie mają miejsca, wykładali w nowem kolegium przy ulicy S. Franciszka. W r. 1472 zapisuje się jako uczeń na Uniwersytet krakowski *Kalimach*. Jako humanista czystej wody występuje od r. 1473 Michał z Wielunia, złapany przez Turków w Białogrodzie r. 1482, zmarły na wyspie Rodus r. 1486, a grzebany tam dla nauki swojej z wielką pompą przez W. mistrza Rodyjskiego. Pali się Kolegium *minus*, około tego czasu; w roku 1476 następuje nowa erekcyja a w porządku nauk widać postęp — humanistyczny. Do Cyncerona przybywa Quintilian, Wirgiliusz i Owidiusz idą na czele polecanych poetów. Sykstus IV, mecenas humanistów, potwierdza erekcyę. W r. 1475 spotykamy się jako z dziekanem wydziału *artium* z Janem z Oświęcimia (Sacranus humanistyczną modą zwanym), uczniem Franciszka Filelfa, postacią która dotąd należycie niezbadana. Jako wielokrotny

dziekan i rektor Uniwersytetu, kanonik Katedry krakowskiej, jako spowiednik trzech królów: Alberta, Aleksandra i Zygmunta, jako proboszcz Kaplicy królewskiej, znakomite on zajmować musiał stanowisko, a zajmował je długo, bo umarł dopiero 1527 r. Na wydziale filozoficznym spotykamy go ostatni raz w r. 1488[9], a z tem wystąpieniem jego wiąże się bardzo ciekawe dla humanizmu w Krakowie wypadki. Stanisław z Łowicza przy wydaniu jego *Modus epistolandi* w r. 1520 nazywa go niepoznaną w Polsce wielkością, szanowaną przez królów, ale przez społeczeństwo, pomimo nauki, pobożności i cnoty, pomiataną. Na lata 1480 do 1492 pada największy prawie napływ studentów obcych na uniwersytet, na rok 1488-1489 przybycie tamże Konrada Celtesa, a więc założenie owej humanistycznej *Sodalitatis Vistulanae w Krakowie*, do której należał Kalimach, Gossinger (Fusilius), Salemnus Delius i Statilius Simonides; na rok 1490 raptowny odjazd Celtesa; na rok 1483 i 1494 trzykrotny Sacrana rektorat, podczas którego znikają prawie nauki humanistyczne z wykładów na wydziale filozoficznym, jak znikają w latach 1495, 1496, 1497, aż do początku XVI wieku.

Prawdziwa zagadka historyczna, którą tylko hipotetycznie rozwiązać jestem w stanie, zagadka, z po za której wygląda dziwna walka wewnętrzna, w której humanista staje przeciw humanistom. Tłómaczyłby ją Stanisław z Łowicza narzekający na polaków, że swoich cenić nie umieją, stwierdzałby sam Sacranus, mówiący w aryndze do wjeżdżającego J. Olbrachta o srożej burzy „którą przeszliśmy;” ale czy mówi o Uniwersytecie?—Spróbujmy rzecz wytłómaczyć.

Zaczęła się już na dobre owa slymna, charakterystyczna, bogata w skutki włóczęga humanistów po świecie, którąby można nazwać umysłową wędrówką narodów w XV i XVI wieku. Z kilkoma groszami w kieszeni, z książkami w torbie, dziwnym duchem przedsiębiorczości gnany, raz na wozie, drugi raz pod wozem, raz nocując w chacie wieśniaka, to znowu miłosiernie przyjęty w domu szlachecka, źle lub dobrze traktowany, ale zawsze pełen ducha i zapału, pełen humoru i cytatów łacińskich, skłonny do mówienia o wszystkim; szedł scholar, żak, pauper, w szeroki świat, niosąc jak żołnierz buławę marszałkowską w biednym swoim wiązadelku podróznym, co najmniej—sekretarstwo u możnych, co najwięcej — biskupią infule. Obok scholara, który żądzą wiedzy gnany, ale albo mniej zdolny, albo przeciwnościami zgnębiony, przepadł w niepamięci, tego półwaryata, półblazna, półmędrca, jakim jest niemiecki Till Eulenspiegel, nieśmiertelny typ tych czasów; też samą wędrówkę odbywa Erazm Roterdański, Reuchlin, Eoban Hessus, Mucian i Celtes. Kraków należał do punktów wytyczonych na mapach humanistów, nie tylko dlatego zapewne, że był miastem

uniwersyteckiem, że w niem kwitnęła matematyka i nauki wyzwolone, o których w Kronice świata mówi Schedelius, ale że był wschodnią kolonią kultury mieszczaństwa niemieckiego, bogatem i obiecującym łatwe utrzymanie miastem dalekiej, potęgą swego króla słynącej krainy Sarmackiej. W programie podróży Celtesa stała Ratysbona, Moguncya, Lubeka i Kraków, jako główne punkta Niemiec. Scholarowie ci nie samą naukę mieli na celu: w wyższym stopniu pociągało ich nauczanie samo od lekcyj prywatnych łaciny, coraz ogólniej pożądaných, do magisterium w uniwersytetach. Na ustach ich wszakże była przedewszystkiem kwestya, jak ich przyjmie nauka urzędowa, stara nauka, rozparta na katedrach uniwersyteckich, kolegiaci teologii i prawa, kolegiaci filozofii Arystotelesa, posiadający *de facto* rząd uniwersytetów europejskich paryskiego kroju, a z tym rządem razem najlepsze beneficya. Na całej linii europejskiej rozpoczynał się tutaj bój o wykład i o korzyści nauki. Niemiecka scholastyka stała twardo przeciw humanizmowi. Kraków od dłuższego czasu humaniora widocznie popierający, posiadający Kalimacha, mógł mieć siłę przyciągającą. Dodać należy, że w parze z humaniorami szła tu matematyka, astronomia z astrologią, szła medycyna, tem bardziej światu pożądana i obiecująca korzyści, im więcej (za psuciem się obyczajów od Włoch idącym, za zniewieścieniem pokolenia) przywiązywano się namiętnie do życia i jego warunku—zdrowia. Ztąd często humaniści i medycy w jednej osobie, jak Jan Ursyn, humaniści i matematycy, jak Albert z Brudzewa i późniejszy Mikołaj Kopernik, ztąd ten pojaw społeczny t. z. nauk tajemnych,—magii i astrologii, w Polsce w naszych astrologach, układaczach kalendarzy zdrowia itp. itp. Wszystkie te nowe kierunki, plód wieku XV, walić się zaczęły coraz gromadniej do Krakowa w postaci wędrujących scholarów, którymi napelnioną jest metryka uniwersytecka w ostatnich czterech dziesiątkach lat XV wieku, scholarów, którym dobrze powodzić się musiało, bo sławę Uniwersytetu głosili po świecie, a głosząc ją, ściągali oczywiście coraz nowych. Najwyższe cyfry nowych immatrykulacyj przychodzą też przeciętnie na te lata (przy przybyciu i zapisaniu się Celtesa np. cyfra 203), w cyfrach tych zaś znaczny bardzo procent przypada na cudzoziemców. Napływ ten musiał z czasem sprawić pewne starcia w uniwersytecie, musiał magistrów świeżo kreowanych lub przybyłych w tym charakterze, a nieposiadających uposażenia (kollegiatur) mnożyć, wzniecać spory o dziekaństwo, skoro Jan Sacranus r. 1480 przeprowadził bardzo charakterystyczną reformę. Podzielono kollegiatów na większych, mniejszych i ekstraneów, tj. do rady fakultetu nienależących, dano ekstraneom możność wyboru na dziekana tylko co lat 6 raz, przepisano obowiązek, aby nikt nawet owym ekstraneem nie zostawał, dopóki dwa lata obowiązków wszystkich kollegiata pełnić nie

będzie; zastrzeżono, że w razie nieporządnego wyboru dziekana, dziekana narzuci Uniwersytet. Ale nie dość na tem: zobowiązano uczniów aby sobie pewnego profesora wybrali na przewodnika i instruktora prywatnego. Narzucono też tego roku dziekana kanonistę, a bezpośrednio potem przez dwa lata zmniejszyła się liczba magistrandów.

Widać tu rękę porządkującą i powściągającą pozaszkolne nauczanie izbytni humanistów na wydziale filozoficznym przyplływ. Dodajmy do tego rozporządzenie r. 1485, aby dziekan z ekstraneów mieszkał w przywoitem miejscu, tj. w kollegium, jak wszyscy, zwrócone przeciw Janowi z Pilcy; dodajmy rozporządzenie pełne znaczenia i doniosłości roku 1491 a utwierdzimy się w naszym przekonaniu. W ślad za uniwersytetem paryżkim krakowski uchwała: „Gdy uczniowie przez zbytnie obcowanie z światem nie mogą służyć Bogu i nauce, gdy narażeni są na tracenie majątku ojcowskiego i hańbę zamiast owoców cnoty, postanawiamy, aby nikt odtąd z bakałarzy i uczniów nie mieszkał w mieście, ale w bursach, a to pod grozą wykluczenia od stopni akademickich, emolumentów i wygód Uniwersytetu — i pod grozą wypędzenia z miasta w przeciągu dni 8 do 14. Synom magnatów wolno mieszkać w mieście tylko pod nadzorem bakałarzy upelnomocnionych od rektora.”

W r. 1493 znowu Jan Sakran jest rektorem, a przez lata następne słabnie, w roku a 1496 znika, do roku 1500 ledwie słabe tylko objawia technienia kultura humanizmu w lekcjach Uniwersytetu. Wśród ram rozporządzenia r. 1580 a 1491 przypadają znajome daty o głośnym Konradzie Celtocie, daty, które same jedyne, prócz kilku wiadomości z Aktów rektorskich tego czasu o burdach Niemców z węgry i innych nieporządkach, do nas doszły; — daty, które jeżeli odsłaniają nam wszystkie barwność humanizmu zagranicznego, to świadczą także wymownie, że się humanista, Jan Sacranus i jego koledzy niepróżno i nie bez podstawy zabierali do energicznych kroków dyscyplinarnych, takich samych, jakich około tego czasu użyto w Paryżu.

Zapisuje się Celtos roku 1489 między scholarów uniwersytetu w półroczu letniem, a więc tuż przed swoim opuszczeniem Krakowa. Przybył jednak do Krakowa już w roku 1487, przybył z Włoch na Wiedeń, gdzie go cesarz Fryderyk uroczystie na poetę ukoronował, on, co był przedtem w Lipsku, Kolonii, Erfurcie, a cieszył się względami Fryderyka ks. Saskiego i Jana Dalburga, biskupa Wormacyi. Nie zapisał się więc, gdy przybył. On miał uchylać głowę, on, uczeń starszego Agrykoli, przed humanizmem Jana Sakrana! on, posiadający już podówczas europejską sławę? Zapisał się, gdy odjeżdżał — nowa zaiste zagadka... Nie zapisał się, bo nie przybywał, ani dla sławy uni-

wersytetu, ani dla samych wykładów matematyki Alberta z Brudzewa, bo Albert z Brudzewa dopiero w r. 1474 zostawszy magistrem, był w początkach swojej kariery, a *Theoricam planetarum* wydał w r. 1495; ale przyjeżdżał jako przyjaciel i protegowany Kalimacha, który o jego zaletach mógł się w roku 1486 podczas swojej podróży do Kolonii lepiej dowiedzieć; przyjeżdżał opromieniony świeżo laurem poetyckim od Cesarza — nie jako scholar — niepodobna; przyjeżdżał chyba, i to moja hipoteza, jako sprowadzony przez Kalimacha i króla reformator Akademii!

Nigdzie tego czarno na białem napisanego nie ma, a jednak mnóstwo rzeczy jest w historii, które były i z czasem odkrywają się że były, chociaż je zatarło do niepoznania, bo odkrywają się w końcu na mocy zbiegu okoliczności. Zatarł ślady Celtes, bo porażkę walną otrzymawszy, a w roku 1497 zrobiwszy z wolą młodego cesarza Maksymiliana w Wiedniu to, co mu się w Krakowie nie udało, t. j. zreformowawszy Uniwersytet tamtejszy na humanistyczny, poprzestał tylko na dwóch wykrzykach boleści w poezyi:

w wschodnie pod złą wieszczbą zdążałem strony

i drugim, gdy mówi o utracie swoich książek

sarmaekim zgubiono mi je podstępem,

zatarła Akademia, bo im bardziej rosła sława Celtesa, im krzywiej patrzano na górze na chybienie reformy, tem więcej miała przyczyny milczenia.

Tymczasem pozostał przecież jeden ślad, że Celtes nie jako scholar, ale jako poeta, jako słynny humanista przemawiał do Uniwersytetu. Jestto wiersz w epigramatach wyjęty z tej przemowy, wiersz, który mógł rzeczywiście pomylić pisarzy. Pełen on prośb, aby z pobłażaniem słuchała jego głosu ta słynna naukami wyzwolonemi i płodami geniuszu szkoła krakowska, jego skąpym od Minerwy obdarzonego darem! Tylko, że nauki wyzwolone nie kwitnęły w tej szkole do miary Celtesa; tylko, że Sakran, opiewający Ś-go Jana Kantego życie i cnoty, nie pisał jak Celtes, chociaż był uczniem Filelfa. Tylko, że Celtes nie chwali Uniwersytetu za to, za co mógł go chwalić: za teologię i filozofię, a teologiem i to głębokim był Sakran, a filozofia miała podówczas znakomitego reprezentanta w Michale z Bystrzykowa, w którym scholastyka, rzecz dziwna, tu, w Krakowie sięgała granic najdalszych abstrakcyj. Jest jakaś w tem nieprawda, jest w tem tylko skarbienie sobie łaski, jest w tem owo pochlebstwo, którego najmisterniejszymi przyprawiaczami są humaniści. Mowa i wiersz nie przydały się na nic; Konrad nie uczył nigdy

w Collegium minus, bo Konrad nie był magistrem, a może dla tego, że był protegowanym Kalimacha. Uczył on poza uniwersytetem, a jako słynna osobistość, ciężył całą wagą na uniwersytecie. W owem Towarzystwie nadwiślańskiem, założonem w Krakowie obok pseudonimów humanistycznych, których nielatwo odgadnąć, ale pod któremi, jak pod *Andrzejem Pegazem*, wedle wiersza Celtesa, mieści się syn wielkich przodków, pod pseudonimami Fusilius (Gossinger), Statilius Simonides, Jan Terinus, spotykamy znajome nam nazwy Kalimacha, zawsze na czele plejady, Brutusa (Alberta Brudzewskiego), Jana Ursyna, lekarza i autora *Modus epistolandi*, Rudolfa Agrykolę młodszego, Walentego Eckiusa, Wawrzyńca Raba (Korwina) z Nowego-targu na Szlązku, Jana Somerfelda (Aesticampiana), także znanego humanistę. Pięciu ostatnich są magistrami uniwersytetu; Albert Brudzewski przyszedł już na nim do pewnej powagi; dwaj ostatni zowią się uczniami Celtesa. Z poezyi Konrada, ze wspominków w dziełkach kilku tych ludzi, da się złożyć obraz nietylko Towarzystwa wiślańskiego, ale i życia humanistycznego koła wogóle. Mówiono w owem Towarzystwie o językach łacińskim, greckim i hebrajskim, o prawach rzymskiem i kanonicznem, o naukach przyrodzonych. Czy była to igraszka, pogadanka? Że nie, ręczy nam stanowisko gościa Kalimacha. Jak wszędzie, reformator humanistyczny przypuszczał zrazu szturm do Uniwersytetu, chwając jego wielkość i mądrość; gdy uniwersytet był głuchym, stawiała *Sodalitas Vistulana; Danubiana, Rhenana*, aby go podkopywać. Jedni ludzie, jdden opór, jedna po obu stronach polityka. A teraz życie poza *Sodalitas!* Niezawodnie nie tak wytworne, jak na dworze Lorenzo Medici, ale za to nie moralniejsze od przeciętnego życia humanistów XV wieku we Włoszech, końca XV i początku XVI wieku w Niemczech. Epikureizm, łączący użycie umysłowe ze zmysłowem. Celtes, Ursyn, Somerfeld, Korwin, w tem, co pozostawili po sobie, dali mu świadectwo. Znamy nawet damy serca tych panów, jak znamy damy Kalimacha, Świętochnę i Fannię. Damami serca Celtesa były w Moguncyi Ursula, w Lubece Cymbrika Barbara, w Krakowie Hasilina (Hassa), której właściwego nazwiska nie znamy, bo podane jest tylko grubą i ordynaryjną nieprzyzwoitością.

Nie mamy czasu na cytowanie poezyj miłosnych Celtesa do Hassy, nie są one bez prawdziwego poetycznego talentu. Tłómaczył je prof. Mecherzyński. Są to części sławnego *Libri Amorum*, wydanego z rysunkami Dürera, o których pisze jeden z współczesnych historyków niemieckich, że przewyższają Owidyusza najdrażliwsze erotyki.

Złożmy teraz rzecz razem, rozporządzenia Jana Sakrana i innych rektorów Uniwersytetu przed i po Celtesie, unaocznijmy sobie raz jeszcze, co się działo w gronie *Sodalitas Vistulana*, a czego chciał uni-

wersytet zamknięciem młodzieży w bursach, a choćbyśmy najbardziej żalowali, że Kraków nie przyjął reformatora, uznajmy, że to nie sama zazdrość chleba, nie same sztywne formy kasty uniwersyteckiej go wyłączały; że wyłączyła go ta wielka zasada chrześcijańska, żądająca, aby ten nie był nauczycielem, kto może się stać nauczycielem zepsucia. Żaden wiek zapewne nie był bez zepsucia i średnie wieki je miały, ale zepsucie w szkole — tego i średnie i nowe wieki lubić nie powinny. Człowiek, co szczerze, chociaż niezupełnie dobrymi wierszami opiewał Jana Kantego, zmarłego niedawno jeszcze, bo r. 1472, nie mógł znieść człowieka, który choćby najlepszymi wierszami opiewał rzeczy niemoralne.

I tu druga moja hipoteza, że Celtes z Krakowa wyjechał nagle, może przymusową drogą, może z Kalimachem, który w końcu r. 1489 jechał na owe zuchwale poselstwo do Innocentego VIII. Zapisuje on się na Uniwersytet roku 1489, widać próbując ostatniej drogi, która mu pozostała; i ta droga widać już zapóźna, skoro w r. 1490 jest w Budzie, a nie ma czasu zabrać swoich książek Platonów, Pitagorów, Cyceeronów! Brudzewski miał odesłać te kodeksa, ale furman zgubił je po drodze! *Dohus sarmaticus!* Uczony, humanista zostawiający rzadkie kodeksa! to chyba zmuszony je zostawia. Niedobrze się widać Celtes rozstawał z niewdzięczną Sarmacją, ziemią przekłętą zimna północnego, on, któremu się Wisła przedtem wydawała tak piękną, brzegi jej tak kwiecistymi!

Humanistyka ograniczyła się na uniwersytecie do r. 1501, do nielicznych wykładów Somerfelda, Stanisława z Krakowa, Adama z Łowicza, Piotra z Krakowa i innych, większą częścią ekstraneów; przez cztery półrocza 1496—1497 prawie jej nie było. Celtes pozostał w relacjach listownych z Ursynem, Somerfeldem, Korwinem, Brudzewskim. Ten ostatni, jako sekretarz W. ks. Aleksandra, opuścił Uniwersytet za instancją Fryderyka kardynała w r. 1494, z zastrzeżeniem praw swoich za powrotem. W poczynającej się literaturze, drukach końca XV a początku XVI wieku, płyną dwa kierunki obok siebie: Ursyna, Korwina i Somerfelda *Hortuli elegantiarum*, Jana z Głogowy i Michała z Bystrzykowa dzieła filozoficzne, a Somerfeld powiada, że Uniwersytet kwitnie w jednym tylko szczególnie kierunku, matematyczno-astronomicznym Wojciecha z Brudzewa.

Nie zginął jednak kierunek humanizmu poza Uniwersytetem. Na rok 1492 wypadła zapisanie się na niego Henryka Bebeliusa (Henricus de Babenhausen), jednego z najgłośniejszych humanistów niemieckich, który już r. 1497 był profesorem filozofii w Tybindze, a zarazem jednego z najzdadliwszych satyryków w rzeczach kościelnych. Rok przed nim im-

matrykuje się wielki Mikołaj Kopernik, którego pracę humanistyczną, tłumaczenie Teofilakta Simokatty, wydaje w Krakowie Korwin r. 1509, który jako poeta łacinski pisze: „Siedm gwiazd,“ poemat, Urbanowi VIII przez Brosciusza poświęcony.

Tak i Mikołaj Kopernik, stwórca nowego systemu świata, ten, co ziemię niegdys w środku niebios pojmovaną, zepchnął na stanowisko skromnej planety, największa naukowa chluba Polski w wieku XV, był humanistą i ocierał się w dniach młodości na ławie uniwersyteckiej o Henryka Bebla, uznanego przedślanca Mucyana, człowieka, który nazwał Cycerona apostołem swoim i pontifeksem, Mucyana, który nieobyczajność w piśmie posunął do ostatnich granic cynizmu. Tutaj też jądro zagadki humanistycznej, która wstrząsała XVI wiekiem. Poganizm, odżywający w humanizmie, wzbudzał współcześnie najsprośniejsze namiętności, najstraszliwszą pogardę chrześcijaństwa i Kościoła i najwyższej aspiracye duszy ludzkiej do wiedzy, do prawdy, do badania; on odsłaniał orgie palacu Cezarów i Platona ducha niebotycznego, on Owidyuszem budził Celtesa, a Homerem i Wirgiliuszem Dantego, Ariosta i Tassego; on zbroceniami, on przesadami i kultem misteryów starożytnych budził Paracelsa, kabbalą Reichlina, Hipparchem i Ptolomeuszem wyzywał Puerbacha i Kopernika. W jednej i tej samej ludzkiej piersi musiał się spotkać ten duch po ludzku olbrzymi, często cudownie do chrześcijaństwa zbliżony, który przekazało pogaństwo, z tem okropieństwem bez granic, które przekazało także, z wyuzdaniem obyczajów greckich i rzymskich, które znamy za Tyberyusza i Nerona czasów. Ta pierś zaś średniowieczna, pierś szczególnie młodych narodów, miała krewkość straszłą, o jakiej my dzisiaj nie mamy pojęcia, pohopność do złego nadzwyczajną, ale nie znała takiej wyrafinowanej niemoralności; ta pierś miała w średnich wiekach żelazny puklerz — wiary i karności. W tej piersi ważyły się złe i dobre wpływy pogaństwa pod skrzydłami ducha chrześcijańskiego, od tego ważenia się nie był wyjęty nikt, kto żył podówczas. Walka ta była tak silną, że przyczyny jej bardziej niż kiedykolwiek stawiano za człowiekiem, że Mefistofeles i Helena wylaniały się z Fausta, a djabeł pokazywał się Lutrowi na Wartburgu; że długo jeszcze, długo, każdy znaczniejszy człowiek wierzył w swój horoskop, chociaż już zakwitnęła astronomia. Ale jeżeli wiek ten nadzwyczajny nie wydał bohaterów moralnych, jeżeli nie wydał książąt podolywających ogromowi zadania i rozwiązujących niezliczone zagadnienia społeczne, jeżeli przeważali w nim książęta Hamlety lub ludzie stronnictw religijnych, jak Filip II, i nieubłagana, krwawa, fatalna Elżbieta angielska, jeżeli nie wydał wielkich mężów politycznych, zastępujących książąt, bo ci albo pisali utopie, jak Morus, albo je stwarzali, jak Zamoyski, to wydał ol-

brzymie typy religijne Piusa V i Ignacego Lojole przeciwko plejadzie reformatorów; w świecie zaś pracy duchowej ziemskiej największe dzieła tam, gdzie nie było kwestyi religijnej: w astronomii, w matematyce, w algebrze, na polu odkryć geograficznych i gdzie religia, przestając być sprawą rozumu i dyskusyi, staje się sprawą uczucia i fantazyi — w świecie sztuki. Wiek szesnasty nie zna wielkiego historyka, filozofa, nawet poety pierwszego rzędu: on zna tylko Kopernika, Kolumba i artystów. Pod koniec jego w XVIII zjawia się Descartes i Szekspir, pod koniec jego, z walk jego, już przechylających się w inną fazę, wychodzi pogodna i mądra głowa Henryka IV.

W gwiazdy musi uciekać duch ludzki z tej strasznej rozterki piersi ludzkiej, jeżeli chce coś stworzyć całego, wiecznego, prawdziwie nieśmiertelnego, cyframi i liczbami posługiwać się, aby spocząć na łonie najwyższej prawdy. Musi jak Kopernik na pięknym zawsze obrazie mistrza Matejki, zawisnąć na galeryi starego tumu i zapomnieć, jak się tam klóci na dole pacierz księży z psalmami protestantów... Tam, w gwiazdach przychodzi do równowagi i każe sobie pisać na grobie: Chrystusie, nie błagam Cię o łaskę, którąś dał Piotrowi i Pawłowi; o tę błagam Cię, którąś dał rozpiętemu przy Tobie na krzyżu!!

Ale właśnie dla tego, że ta pierś ludzka była wtedy rozpiętą na krzyżu wielkich przeciwieństw, że tem rozpięciem w społeczeństwie mieszało się wszystko, że niem miały nieznanne przedtem potęgi inteligencji, wyrrywającej się z potęgą tytana z powijaków średniowiecznego porządku, że w tem powietrzu, napelnionem siarką, niebawem miał się zjawić, jak w pracowni Fausta,¹ Mefistofeles z słowem na ustach: *Eritis sicut Deus, scientes bonum et malum*, co mówię—zjawiał się wszędzie... że gotowała się w Kościele reformacja, wybuch społecznej wojny niemieckiej, poprzedzony olbrzymimi nieporządkami w starym radzieckocехowym ustroju miast, że, jak zobaczymy niżej, w samym polskiem społeczeństwie szlacheckiem zbliżała się gwałtowna burza przeciw duchowemu i świeckiemu możnowładztwu — tam! na wyżynach, gdzie rządzenie jest codzienną funkcją, koniecznem zajęciem, ustawną myślą, na wyżynach Kościoła i państwa, w otoczeniu biskupów, senatorów i królów, stawia się upornie, nieodbitie kwestya humanizmu i średniowieczyzny. Tam, gdzie dla teoryi chociażby najlepszej, dla formy chociażby najdoskonalszej, dla prawdy chociażby najoczywistszej, w praktyce z dnia na dzień, wobec gwałtownie nasuwających się potrzeb, niewolno, ba! prawie niepodobna odtrącić środków, które daje chwila; niepodobna zamykać się w twardej konsekwencji; tam musiał z tym demonizmem przenikającym wszystko, tym samym, który dzisiaj ma rewolucya i środki rewolucyjne, przenikać humanizm, słać sobie drogę na

dwory biskupów, książąt, królów, papieży. Wiemy, jak to czynił w Europie, natraciliśmy przykład z samym Celtese, który odtracony w Krakowie, reformował Maksymilianowi Uniwersytet wiedeński; moglibyśmy te przykłady przedłużyć niezmiernie, ale spieszymy do Polski. W Polsce było to samo, było po części nawet o tyle gorzej, że sami rządzący mniej mieli tego doświadczenia wieków, jakie miano na Zachodzie, że w Polsce na wyżynach społeczeństwa zawsze panował niezmierny, chorobliwy pociąg do nowości zagranicznych. Ale pomyślmy sobie biskupa, biskupa głęboko przejętego swoim zadaniem, który wśród rozprzegającego się religijnie społeczeństwa myśli o dobraniu najlepszych kaznodziej i nauczycieli swemu ludowi? Czy nie będzie chciał takich, którzy złe znają, którzy mają wielką naukę, zdolną pojąć, zrozumieć, zgłębić i odeprzeć fałszywą naukę swego czasu, takich, którzy rozporządzą temi samemi środkami wymowy, siły argumentów, erudycyi, jakeimi rozporządzają nieprzyjaciele wiary? Będzie chciał zapewne. Otóż chce musieli Konarski, Tomicki, Chojeński, Maciejowski. Czy mogli to być scholastycy?—Posłuchajmy tezy, której bronił największy z nich Michał z Bystrzykowa, doktor paryzki przy magistraturze swojej r. 1485 d. 20 Czerwca. Cytuję dosłownie: „Czyli materya pierwotna jest istotnością rzeczywistą i potencyjną, wprost przez się pojmwalną i wykładalną, czyli jest od istotności formy i negacyi formy rzeczywiście odłączoną i bez sprzeczności od niej odłączalną!”

Nie zasługuje na wysmianie mistrz krakowskiej szkoły, podziwiany społecznie jako cudo spekulacyi, uznany dzisiaj przez tych anglików i niemców, którzy scholastycznej szkole przywrócili przyzwoite miejsce w historii filozofii. Racyonalizm niemiecki, z protestantyzmu powstały, skończył formułami Hegla, który byłby niezawodnie jedyne dla naszego Michała z Bystrzykowa towarzystwem. Oni byliby się niezawodnie rozumieli. Ale tu stawia się pytanie: Czy można było społeczeństwo leczyć Michałem z Bystrzykowa? Zdaje nam się, że nie; podobnie ks. Bismarek nie chwytalby się zapewne rozrzucania dzieł Hegla kosztem państwa aby je leczyć na Liebknechta i dzisiejszego Bebla!

Uniwersytet krakowski znajdował swój szczyt w Michale z Bystrzykowa, ostatnim ze znakomitych abstrakcyjnych duchów scholastyki. Zamek i pałac biskupi myślały inaczej: przypuszczały one przez XVI wiek szturm do uniwersytetu w bardzo różny sposób, z ogromnemi odcieniami w sposobach — o uwzględnienie kierunku i potrzeb czasu. Co dwór myślał, o tem później, w trzeciej leceyi obszerniej powiem; tu napomknę mimochodem tylko z przyczyny pisma pełnego znaczenia dla naszego przedmiotu, pisma anonima humanisty, znanego pod tytułem dzieła Elżbiety Jagiellonki, córki Fryderyka, wdowy Kazimierza Jagiel-

Iończyka, zwróconego do najstarszego syna Władysława: „O wychowania królewskiego dziecka.” Oczywiście, nie pisała przecież tego traktatu Elżbieta, ani na nią samą spada za niego odpowiedzialność; ale że pozwoliła istnieć mu ze swoim imieniem, to znak czasu. Traktat ten jest programem humanistycznym wychowania dzieci królewskich, w radykalnym Kalimacha kierunku. Można by mu poświęcić osobną prelekcję: tu przebiegniemy koło niego i chwycimy główne rysy. Zaczyna od przepisu karmienia dzieci królewskich nie przez mamki, ale przez matkę, przechodzi do obowiązków religijnych i tu poleca słuchanie mszy codziennie, odmawianie modlitw do Matki Boskiej, przyczem o pobożności Kazimierza Jagiellończyka, króla i królewicza, i uwaga, że pobożność książąt zjednywa przychyłość poddanych, jak świadczy Aleksander Wielki, który nawet przesądom pogańskim przypisywał tę moc cudowną. Cały ten ustęp o religii nie licuje z resztą, jest jakby podsłuchanym na dworze Jagiellońskim i *ad usum Delphini* wtrąconym w myśl królowej Elżbiety. Następuje wyliczenie cnót, które księciu przyswoić trzeba: mężstwa, cierpliwości, tęgości, pewności siebie, otuchy w złych czasach. Tu już wpływamy na fale humanistycznej moralności i pedagogii, a zarazem na fale alegoryj humanistycznych, zdobiących nagrobki nieboszczyków. Przechodzi się jako do podstawy edukacji, do preceptora, przy preceptorze na wzór stawia *Kalimacha*, nauczyciela łaciny u synów Kazimierzowych. Poduczwszy się miernie łaciny, ot, igraszką ma się młody książę wziąć do poetów, byle nie sprosnych: do Wirgiliusza, Homera, listów Cyncerona i Cyropaedii, najsilniej przez Kalimacha polecanej. Przytem niech ćwiczenia ciała używa, niech się oddaje polowaniom, byle bez niebezpieczeństwa. Niech się nauczy słuchać grzecznie prośb poddanych, nagradzać hojnie najmniejsze podarunki, niech będzie skromny, a wytworny w jedzeniu i piciu i unika przykładu złego: króla Macieja Korwina, który zbyt za kołnierz nie wylewał. Niech odtrąca pochlebców, a czyta historię Cezara, Salustyusza, V. Maksyma, Kwinta Kurcyusza, niech uczy się z nich unikać zbytnej ambicji i żądzy panowania. Niech szuka prawdziwych przyjaciół i niech przedewszystkiem sprzyja naukom i ludziom uczonym. Tu dosłownie: „Gdyby Kazimierz i Olbracht nie byli tak wspaniale traktowali Kalimacha, nie byłaby żadna o nich pamięć przeszła do potomności.” Tam więc szukać trzeba przyjaciół i doradców, z tymi obmyślać zamiary, które innym tać należy. Na zewnątrz: grzeczność, uprzejmość i roztoczenie przepychu i gracy imponujące ludziom, w którym mistrzem bywał Jan Olbracht, zmarły zeszłego roku.

Cóżbyśmy dali za to, aby poznać autora tego misternego traktatu, miękkiego jak rękawiczka, śliskiego jak wąż, bezczelnego w owym wyrażeniu o Kalimachu, napisanego *in domo aliena* z zastosowaniem się

do świętości domowych, nawet do nienawiści do Macieja Korwina, a więc z zastosowaniem się do wszystkich jego obyczajów, a *pro domo sua*, aby tam własny wpływ i obyczaj, system Kalimachowski po śmierci Kalimacha zaprowadzić. Pisać go mógł tylko włoch, który bezpośrednio słał sobie Kalimacha dołę, który się insynuował. Znamy tylko jednego: Jana Sylwiusza Sicula, powołanego z Padwy do Wiednia przed r. 1500, którego też w r. 1500 już w Wiedniu nie ma, który w r. 1506 był profesorem prawa na uniwersytecie krakowskim, a w r. 1508 ma proces przed rektorem o zle o uniwersytecie wyrażanie się. Wstawia się za nim Jan Łaski, kanclerz koronny, a rektor Maciej z Miechowa i Bartłomiej z Znina, dziekan, wypierającemu się wszystkiego podają ręce. Nauczycielem Zygmunta Augusta jest Jan Siculus—czy nie ten sam? Jest wiele prawdopodobieństwa, do pewności trzeba dalszych poszukiwań, których pomyślny nie uwieńczył rezultat.

Jestto pierwszy cudzoziemiec, którego król posyła na uniwersytet krakowski po Celtésie. I on z uniwersytem w sporze. Drugi Garzias, hiszpan, praw doktor, niegdyś rektor Akademii Bonońskiej, powołany przez Zygmunta i Konarskiego, umiera r. 1518. W r. 1518 Zygmunt I posyła Piotra Rozyzusza, hiszpana, także prawnika, sekretarza królowej Bony, na mieszkanie do kolegium jurystów, z obowiązkiem wykładu. Pełny nauki, dowcipu, talentu, wesoły i dowcipniś Rozyzusz, umie przejednać nawet chmurne twarze profesorów, zżywa się z dworem, panami, wołają go do spraw różnych, a prawnik-humanista jest zarazem poetą, opiewającym z miłością dla Polski wypadki społeczne, wesołe i smutne!! Bogata natura—znowu starczyłaby na nową monografię! Doczekał się w Polsce późnej starości—umarł r. 1571. Cechy humanizmu, lekkość, przedsiębiorczość, pochlebstwo, są od niego nieodłączne. Popierał więc dwór humanizm, bo był humanistycznym sam, bo mnóstwo z szczegółów które wiemy, o dwóch ostatnich Jagiellonach, tłómaczy się tylko kluczem humanizmu. Popierał go na uniwersytecie, ale w drugiej linii; w pierwszej popierali go kanclerze uniwersytetu, biskupi: Konarski, Tomicki, Gamrat, Maciejowski. Ponieważ zdążamy do wybuchu reformacyi w Niemczech i oddziaływania jej na Polskę, jako terminu dzisiejszej lekcyi, przestaniemy na Konarskim, który wszakże w tych sprawach posługiwał się długo swoim archidyakonem Tomickim. Zdąza on do reformy uniwersytetu w r. 1505, a w r. 1510 wskutek polecenia Synodu piotrkowskiego, za oboma razami chodzi głównie o wydział filozoficzny, a więc o humanizm. Za oboma razami Uniwersytet coś czyni, ale aby się zdało, że coś czyni; rzecz pozostaje ta sama. Wtedy Konarski gniewa się, nakłada na majątek uniwersytetu kontrybucyę powszechną. Uniwersytet apeluje do papieża Leona X, apeluje do Synodu łęczyckiego

i zwycięża biskupa. Leon potwierdził przywileje uniwersytetu, Synod także. Rektorem, co walczył z biskupem, był Michał z Bystrzykowa, nasz filozof. Biskup nie dał za przegraną: 29 Marca r. 1518 papież Leon X polecił reformę uniwersytetu arcyb. Łaskiemu, biskup. Konarskiemu i Tomickiemu, podówczas już przemyskiemu biskupowi. Przedsięwzięto ją w r. 1521, gdy już wybuchła reformacja.

Jakie szczegóły tej walki, po czyjej stronie była racya?—bo przypuścić można z góry, że przodownicy uniwersytetu, księża, nie dla czezej przyczyny opierali się biskupowi, a biskup nie dla czezej przyczyny wyczerpywał wszystkie środki. Szczegóły nadzwyczaj zajmujące. Od r. 1501 nowa, niezmiernie liczna falanga humanistów idzie wstępnym bojem na uniwersytet. W r. 1510 jest ich 16. Co ci ludzie piszą, z czem się odezwą, zwrócone zawsze ku protektorom, których mają w górze: do królów, magnatów, biskupów, księży wysoko położonych. Ludzie ci iść muszą przez *furculae caudinae* uydziału, które im zgotował Sakran organizacją 1480 roku. Muszą być ekstraneami dwa lata, potem wchodzą do fakultetu na ekstraneów, potem dopiero mogą, zasługując się wyższym sferom, coś dostać. Pcha ich świat możny, sądzą ich ludzie ducha Michała z Bystrzykowa i Jana z Głogowy. Zaczynają od autorów łacińskich: czytają Owidyusza, Horacyusza, Persyusza, Wirgilego i prozaików. Ale katedry klasyków uposażone nieliczne—nie ma tam karyery; więc próbują wyklądać np. t. z. *Metheorum*, *de generatione*, *topicorum*, *de coelo et mundo*, perspektywę, średniowieczne dyscypliny Arystotelesa, a oto w ciągu kursu, nie dawszy sobie rady, czy zbrzydziwszy sobie przedmiot, wracają do Bukolik, Georgik, Pliniusza. Czasem pisze dziekan w notacie: źle skończył, w jednej godzinie trzy księgi przeleciał. Czasem nie skończył wcale. Pedele mieli prawo zapisywać nieobecność magistrów na wykładach kreskami; kresek takich w *liber diligentiarum* przy humanistach pełno. Często zaczyna magister w kolegium a kończy w bursach; czasem bierze sobie godzinę po za obowiązującymi urzędowemi, aby wyklądać tem swobodniej Persyusza. Notuje wtedy dziekan, że się uchyla z pod dozoru. Częścią integralną nauki są dysputacye—obecność na nich niezbędnym obowiązkiem: ekstranei (humaniści przeważnie) albo solidarnie na nie nie chodzą, i to bywa najczęściej, albo solidarnie chodzą jak w r. 1510 i 1511. Jakże musiały się wydać te dysputy między starym i młodym śwatem! Oczywiście przy gorącej krwi ówczesnej, starym niebardzo musiały być miłe, bo i u nich mnożą się kreski nieobecności. Protegowany biskupa Tomasz z Obiedzina, kolegiat, nie chodzi wcale—*nunquam*. Płyną też ekstranei jak woda: wykląda kurs—dwa kursa, ginie bez śladu; próbuje znowu—znowu odchodzi. Dziesiąty ledwie czepia się mocniej

i, albo ugina kark pod jarzmo panujące, albo za silną protekcją posuwa się dalej; reszta odchodzi oczywiście na guwernerkę, albo gdzieś do szkół na prowincyą. Niepokój ten wewnętrzny działa i na starych: i oni zaniedbują lekcye i dysputy—obwinienia wzajemne—kłótnia nieustanna. Wojna też toczy się o dziekanat, który co sześć kursów przypada ekstraneom. Gdy przypadnie jak w r. 1511 na Jakóba z Ilży, lekcyj humanistycznych więcej; gdy w r. 1514 Marcin z Leżajska dziekani, zjawia się nawet pierwszy raz *Grecyzna*, przez Walentego Poznańskiego wykładana. Lekcye arystotelesowskie, jak *de generatione*, nie dochodzą już czasem dla braku słuchaczy; za lat kilkanaście cały ich szereg będzie zapisany jako wakujący, bo kłótnia, która się toczy, najgorzej działa na młodzież. Dzieli się ona—masa młodsza stoi za humanistami. W bursach bitki, w mieście awantury. Wychodzą ostre zakazy nienoszenia broni. Sąd rektorski w XV wieku rzadko potrzebujący wkraczać, w XVI ciągle i twarde ma przed sobą sprawy. Walka dwóch wiedz i dwóch na świat poglądów u tych, co uczą, musi podkopywać wszelką karność u tych, którzy się uczyć mają. Humanisci są popularną, postępową stroną, stroną walczącą — porywają młodzież.

Przypatrzmy się ich wartości rzeczywistej, pod względem humanistycznym, zdaleka. O mnóstwie nazwisk nie powiedzieć nie możemy: przesunęły się i zginęły bez śladu. Somerfeld, Korwin trwają dalej, drukują—może najlepsi i najzdolniejsi; luminarzem jest Paweł z Krosna, autor mnóstwa poezyj łacińskich okolicznościowych, zjawiający się na wydziale 1508, nauczyciel Dantyszka i Krzyckiego, protektor Rudolfa Agrykoli z Wassenburga młodszego. Drugim—Rudolf Agrykola, guwerner synowców biskupa Konarskiego, w r. 1519 wtłoczony na wydział (bo nie był magistrem), gdzie wykłada Fasty Owidyusza—poeta łaciński okolicznościowy miernej wartości. Obok nich synowie patrycyuszów krakowskich: Erazm Morsztyn i Erazm Beck, wedle Coksiusza Anglika równający się Ficynowi i Policyanowi, umierają wcześniej; Jan z Szadka wykłada w szkole miejskiej u Panny Maryi. Korwin, Somerfeld, Agrykola puszczają prócz pism własnych różne mniejsze pisma humanistów z drukarni krakowskich: wydają Erazma Roterdamczyka, Beroalda, Filelfa, Laurencyusza Valli drobiazgi. Rozpatrzywszy się w tem wszystkim, a dzisiaj to za skazówką katalogu XVI wieku K. Estreichera już łatwiej, oceniwszy owoce, przychodzi się do przekonania, że to ludzie niezmiernie ruchliwi, bystrzy, wymowni, nie bez talentu, ale że im daleko do gruntowności naukowej, że im łatwiej Erazmów między sobą widzieli, tem im dalej było do Erazmów. Ludzi tych, jak okazałem, wbrew protekcji, która ich otacza z góry, nie lubią matadory uniwersytetu, trudni są w ich posuwaniu i dopiero wtedy, gdy dali dowody prawdziwie chrze-

ściańskiego usposobienia w piśmie i słowie, puszcza ją wyżej. Aby jednak pokazać, że nie humanizm oni przesładują, ale fałszywe jego kierunki, zdarza się, że Michał z Bystrzykowa bierze na siebie wykład Cicerona, że Sakran kilkakroć drukuje swój *modus epistolandi*, a gdy Eoban Hessus, jeden z najprzewrotniejszych humanistów sprowadzony na dwór biskupa pomezańskiego Hioba v Dobbenek, myśląc o pozyskaniu Zygmunta I pisze Epithalamium na jego wesele z Barbarą Zapolską i w nim Chrystusa zamiast Apolina woła, wyszydza go Paweł z Krosna: z kąd mu się to wzięło, jemu, co zawsze całe piekło pogańskie dla swoich utworów wyludniał. Wszystko zatem można powiedzieć o ówczesnej opozycji, tylko nie to, żeby była opozycją częściej głupoty i zacołania; ludzie ci patrzyli głębiej a znaczącem jest, że tam, gdzie pewnie humanizm był jaknajlepiej widziany, na dworze Leona X, wypadł dla nich wyrok pomysłny w walce, którą toczyli.

Dwa wszakże były pola, na których scholastyka krakowska szła najtwardziej przeciwko wyżynie dworu i Kościoła a dzieliła ten kierunek z scholastyką niemiecką i francuzką. Był to wstręt przeciw greczyźnie i hebrajszczyźnie. Od owych czasów strasznych polemik nie zostawiono za to na scholastyce całej nitki, obrzucano ją błotem bez końca.

Opowiadano i szerzono, że ciemnota mlichów uważała grekę za język umyślnie wynaleziony, a hebrajszczyźnie przypisywała wpływ cudotwórczy, przerabiający każdego chrześcianina na żyda. Mógł to zresztą powiedzieć jeden lub drugi ciemny żywiol; mogło się to szerzyć między ludem nie bez przyczyny z powodu innych objawów, o których niżej będzie. Ale dla czego rozumniejsi scholastycy, mianowicie Grzegorz z Szamotuł w Krakowie nie chcieli greki? Nie dla Homera, nie dla Platona: nie chcieli dla Nowego Testamentu w oryginale greckim i dla tłumaczeń które mu dawano! Dotąd wykładano pismo św. tylko z Vulgaty, tylko wedle komentarzy Lombarda i sum św. Tomasza; swobodny wykład pisma wedle widzimisia gramatyków, był bezpośrednim przedślańcem ruchu kościelnego reformacji; ten ruch scholastycy czuli lepiej niż go odczuwano na górze, bo byli na dole, bo widzieli. Widzieli pisma Erazma, widzieli pisma Reichlina, widzieli pisma sławnego Agrikoli; a jeżeli ci byli mistrzami w podnoszeniu kwestyj najdrażliwszych, w zabijaniu całej powagi nauki szkolnej o wierze bez wyraźnego zrywania z Kościołem, to na dole wypowiadano tysiące razy rzeczy, które już z tem bezpośrednio graniczyły. Dlatego to uniwersytet nie przyjął mimo poleceń i nacisku Piotra Tomickiego, swego ucznia Jeżego Libana, nauczyciela u N. Maryi Panny r. 1511; przyjął dopiero 1520 na jeden kurs, aby uczył języka greckiego; dla tego Wincenty z Poznania wykładał tylko kurs jeden grecki język 1514,

dla tego dopiero w latach 1520, i następnych kilku, gdy już wstępnym wydziałowi Agrykola wykłady w skutek presyi z góry ryzpoczął, gdy mnożyć się zaczęły lekcye niemilych magistrów i autorów, Jerzy Liban z Lignicy podejmuje gramatykę grecką, Jakób z Sieradza Hezydoda.

Walka ta dzisiaj od nas tak oddalona, tak trudno zrozumiała, już dla tego, że humanizm jako znajomość starożytności, jako wiedza o niej stanął prawie wyłącznie w obozie chrześcijańskiego, idealnego na świat zapatrywania, że dzisiaj prawie stoi w jednej linii z innymi naukami historyczno-filozoficznymi przeciwko skrajnym kierunkom i wywodom filozoficznym przeciwnym chrześcijaństwu: już dla tego, że już dawno odłączył ziarno od plewy w starożytności, rzeczy moralne i obyczajowo godziwe od nieznoszących uczciwego oka ludzkiego; rzeczy wielkie i rzeczy nikczemne; że odbudował tę starożytność pracą tysięcy głów uczonych od Dacierów do Jahnow, a filologia stała się dziś bogatą zawsze jeszcze kopalnią, ale komunikującą już z lingwistyką aryjską i archeologią przedhistoryczną. Chrześcijanie — jesteśmy dzisiaj wszyscy humanistami, kochamy starożytność i widzimy w niej jeden więcej argument wiary naszą sprawdzający; walka przeniosła się na inne pole — ale podówczas.....

Zrozumiałsem może będzie za to jedno jeszcze, co dla charakterystyki owych czasów przywiodę. Był to stan, gdzie dla jednej najdroższej sprawy, dla sprawy wiary, opierali się jedni, nacierali drudzy; gdzie z tą sprawą wiary łączyła się sprawa polityczna, społeczna, sprawa przyszłych pokoleń, sprawa edukacyi; gdzie jednym chodziło o nowe światło i nowe środki tego światła, o słowo pootężne i działające, o sposoby zwalczania fałszywych mniemań, godzących w to, co duszy najdroższe; jak chodziło drugim o przytłumienie, o opanowanie, o uregulowanie światła i ognia, ba! może pewnym jednostkom o zduszenie go zupełnie dla tegoż samego ideału chrześcijańskiego, a chodzić mogło tem więcej, że widzieli, jak chwycił się ich sanyh, jak się wysoko dostawał!

W tej dusznej, a przecie tyłoma świetnymi głowami błyszczącej atmosferze, w tej chwili ciężarnej burzami, które się przerwały dopiero na chwilę, wiek przeszło potem, westfalskim pokojem, w tej chwili, gdy Kopernik zwracał oczy ku niebu za nowym świata systematem, a Kolumb już po życiu pełnem boleści zawiął do grobu, w chwili, poprzedzonej bezpośrednio badaniem Pism św. przez Erazma Rotterdamskiego, Reichlina, Eobana Hessa, Huttena, Agrykolę, nie u nas w Polsce, ale tam w Niemczech, z kąd wychodziły walki Henryka IV z Grzegorzem VII, Fryderyka I z Aleksandrem III, Fryderyka II z Grzegorzem IX, gdzie Konstancya i Bazylea, człowiek organizacyi żelaznej, chociaż bez zbroi, w habicie tylko mniszyn, od lat kilku rozpoczął bój z Kościołem, z pa-

pieżem Leonem X. I stała się rzecz straszna, rozdzielająca chrześcijańską ludzkość na dwa obozy, w chwili, gdy na krzyż godził półksiężyce, gdy zbliżyła się ruina Mohacza! stała się rzecz, której skutki przetrwały turków ruinę, a która w trzy wieki po reformatorze wywołuje znowu w innej formie, ale w konsekwencji tego, co się podówczas stało, żelazne boje. Reformacya, jak świat chrześcijański ówczesny zawichrzyła do gruntu, tak i na humanizm wpłynęła stanowczo. Rodziła i humanistów z czasem na dwa obozy: obóz katolicki i akatolicki. Rozdzieliła i u nas: Modrzewski i Orzechowski, Jan Łaski młodszy i Hozyusz, Uchański i Karnkowski, Sienicki i Zamoyski i samotny już, bo nie mający sobie odpowiedniego drugiego w potęgze słowa, górujący natchnieniem nad całym wiekiem ks. Piotr Skarga, Skarga, kończący ten wiek prorocत्वem—oto rozszczepiony szereg ludzi, którzy wszyscy, wśród reformacyi kształcili się na starożytności. Walka przeszła w inną fazę, w której z obyczajowej, naukowej, szkolnej, stała się religijną i kościelną. a jako taka, do najgłębszych głębin poruszyła ludzkość chrześcijańską.

(D. c. n.)

KUZYNKA JOASIA

PRZEZ

MISS JULIĄ KAVANAGH, (*)

przetłóżył A. P.

Kiedy raz moja Kuzynka Joasia przyszła mi powiedzieć ze swoją zakłopotaną minką: „Wiliamie, pan Forbes oświadczył się o moją rękę i został przyjęty,“ pomyślałem sobie, że muszę już być nie na żarty starym i, jak to mówią, bezpiecznym kuzynkiem, kiedy się nadaje do podobnych zwierzeń.

(*) Miss Julia Kavanagh (1824—1877) rodem z Irlandyi, córka uczonego lingwistyka, pierwsze i ostatnie lata swego życia przepędziła we Francyi, gdzie też spoczywa na ementarzu w Nancy. Zwróciła na siebie uwagę piśmem dla młodzieży: „*The three paths*“ 1847 i powieścią „*Madeleine*“ (przekład polski El. Ziemięckiej 1856). Następnie wydała kilka poważnych prac historyczno-biograficznych o kobietach (np. *Women in France during the XVIII century* i inne), Z powieści więcej znane „*Nathalie*,

Zostawmy więc nagrody w książkach, listach pochwalnych i tym podobnych odznaczeniach dla pańien i drobnych malców, a dla młodzieży męzkiej wyrosłej, zastąpmy je wyżej wskazanemi.

Antoni Celichowski.

ODRODZENIE I REFORMACYA W POLSCE.

PIĘĆ ODCZYTÓW PUBLICZNYCH
JÓZEFA SZUJSKIEGO
W ZIMIE R. 1880.

(Ciąg dalszy. Zob. Zeszyt 143).

III.

Doprowadziliśmy w ostatniej lekcji do wybuchu reformacyi w Niemczech. Fakt ten, pelen doniosłości w dziejach, był niezawodnie skutkiem rozterki moralnej, którą w świat chrześcijański wniosło odrodzenie starożytności; był on względnem zwycięstwem, reakcją myśli chrześcijańskiej, nie mogącej wyżyć w sprzeczności między myślami nowemi a starymi tradycjami, między zdobyczami głowy, pociągami serca a rozkiełnaniem zmysłów. Luter wziął do swojej klasztornej celi Wirgiliusza i Persyusza, a wyszedł z Ewangelią tłómaczoną po swojemu. *Suendige gut, aber glaube noch besser, so sagt Jesus Christus und ich Jesu Christi unuwerdiger Apostel*, oto cyniczny wykrzyk, który wydał twardy asceta, gdy nie tylko już ascetyzm jako niezgodny z naturą ludzką sądził, ale wogóle zwątpił, aby co innego prócz wiary człowieka zbawić mogło. Gorszym jeszcze pesymizmem tchnie ponura, z ustami robespierowskiemi głowa Kalwina; twórcy nauki o predestynowanem z góry potępieniu lub zbawieniu. Pycha rozumu i nauki, połączywszy się z trwogą moralną stoczonego wyuzdanemi namiętnościami człowieka, doprowadziła go do chwili, gdzie z boleścią odsłonił rany moralne duchowieństwa, społeczności zeświecczenia i wyuzdanie, a wnioskując głośno a fałszywie: Ludzie źli, rzecz zła! bo to duchowieństwo i to społeczeństwo było z tej samej gliny, co on, dotknięte tą samą walką i tem samem srogiem przeje-

ściem moralnem; porwał się tysiącem i tysiącem osobników do walki ze wszystkim, co było, mieniąc się mądrzejszym i bardziej natchnionym, niżli wielowiekowa spuścizna Kościoła. Motorem był mu ten duch, który ogarnął namiętnie starożytność, w którego oczach upadająca szkolarska uczoneść średnich wieków wydawać się musiała bładą, czczą, bezpłodną, ciasną a despotyczną, a pierwszym kamieniem obrazy było mu to, co również na tej starożytności wyrosło: kopuła Panteonu, wyniesiona w niebiosa herkulicznym duchem Michała Anioła, której kosztą mieli pokryć wierni chrześcijanie Juliusza II i Leona X, był humanistyczny liberalizm religijny i miękkość obyczajów duchowieństwa humanizmem wywołane. Ty nie wierzysz, a mnie każesz wierzyć i płacić! oto sens ukryty Niemiec stojących za Lutrem. Ty wzorowym nie jesteś, a każesz mi prowadzić życie wzorowe, oto myśl Polski Orzechowskiego i Reja — myśl starego donatyzmu, potępionego w pierwotnych apostołskich czasach Kościoła, myśl-macierz wszelkich odszczepieństw, która żąda, aby Kościół i duchowieństwo było nieustannym cudem świątobliwości, gdy tam, gdzie świętość najbliżej, walka ze złem była najsroźszą, upadki po ludzku najkonieczniejszymi. Gdyby ci ludzie, którzy poszli za tą myślą gniewliwą, impetyczną a płytką, wedle słów biblii: *fortes non scandalisantur*, umieli byli zajrzeć w dusze wielkich i potężnych tego świata, dygnitarzy Kościoła i dygnitarzy państwa, gdyby umieli zgłębić myśli najwyższe, jakie unosiły się nad światem, a nie pociągały do zerwania jedności Kościoła, gdyby umieli wyjść po nad indywidualizm własny, namiętności narodowe, społeczne, czego się ma prawo żądać od każdego człowieka, podejmującego się świat na nowe tory prowadzić, byliby się przekonali może naprzód o tem, że co ich boleło, boleło i innych; że z czem oni walczyli, z tem walczyli i inni; że nie tylko cyników samych, ustami sercu i myśli kłamiących, miał między sobą ten obóz, z którym występowali do walki, ale ludzi mądrości wielkiej i duszy wielkiej, którym prawdy chrystyanizmu, za wcieleniem starożytnego świata, w krew i soki intelektualne pokolenia, rozwijały się w głębinach duszy z taką niewidzianą dotąd siłą z powijak wyobrażeń średniowiecznych, jak z Chrystusa Orcagni rozwinął się Chrystus Ostatecznego Sądu, jak z pieśni Franciszka z Assyżu rozwinęła się poezya włoska, z dykcjonarza Brunetta Latini pełnia wiedzy kardynała Bembo Sadoleta, Bellarmina lub Baroniusza. Ludzie ci czuli i wiedzieli, że w starożytności jest antyteza chrześcijaństwa, bo istotą i duszą jej religia domowego ogniska, rodu, plemienia, narodu, państwa, bo znamieniem jej wykluczać innych jako barbarzyńców, a stawiać siebie, w dyby kuć tłumy niewolników, aby utrzymać przy władzy tych, co dzierżą budowę społeczeństw, ludzie ci wiedzieli, że chrześcijaństwa

absolutna wyższość nad starożytność; to katolicyzm tylko! Ta myśl jedna, a przy tej stali wytrwale i dzielnie, wznosi ich w nieskończoność ponad tłum reformatorów, ta myśl najwyższa ludzka przeczy stanowczo i przeczyć zawsze będzie bajce wierutnej protestanckiej szkoły niemieckiej, aby reformacja miała być czynnikiem postępu w historii! Piękny postęp, polegający na odstępstwie od tego, co samo jedno zapewniało zwycięstwo w duchowej walce z zmartwychwstającą starożytnością, na rozbiciu ludzi w nienawidzące się wzajemnie obozy różnowiercze, na zamęcie pojęć podstawnych moralnych o stanowisku człowieka na ziemi, społeczeństwa do państwa, państwa do powszechności kościelnej! Postęp? jakby wszystkie rzeczywiste czynniki postępu wiedzy i rozwoju ducha ludzkiego, wynalazek druku, prochu, odkrycie Ameryki, zmar: twychwstanie starożytności klasycznej, system Kopernika, od których datuje się czas nowy, nie były w reformacji właśnie znalazły pierwszej przyczyny, marnującej ich najpiękniejsze owoce, wojen domowych religijnych, polemiki piśmiennej, różnowierczej, bezpłodniejszej a szkodliwszej od wszelkiego scholastyizmu, zapasów Anglii i Hiszpanii, oddalających o wiek prace kolonizacji w nowo odkrytych ziemiach, zaciętości fanatycznej, rzucającej się na plody ducha ludzkiego, jako bluźnierstwa przeciwko prawdom bożym?

Dzisiaj prawie trzeba być ślepym, aby tego nie widzieć. Ale cofniemy nasze bezpożyteczne „gdyby“ za cofnięciem reformacji z pomiędzy czynników postępu ludzkości. Doczeka się i ona swego Taina, który jej porachuje wszystkie zrujnowane kościoły, dzieła sztuki i wiedzy ludzkiej, wszystkie akta barbarzyństwa i orgie rozpusty, które zakrywano dotychczas wygodnym płaszczem postępu. Wracamy do naszego założenia: reformacja była pierwszą abdykacją wobec ducha starożytności z tych idealnych postulatów, które postawił Kościół Chrystusa w średnich wiekach. Każdy, na swoją biblię, swoje biblii tłómaczenie, swojego mistrza, swojego króla lub księcia pana, któryby tego bronil i tem administrował. Ma się to nazywać wolnością, jak śpiewa Ulyk v. Hutten:

Den stolzen Adel ich beruf
 Ir frommen Städt euch werfet uf,
 Wir wollens halten ingemein,
 Lasst doch nicht streiten mich allein.
 Erbarmt euch übers Vaterland
 Ihr werthen Deutschen regt die Hand,
 Ist doch die Zeit zu heben an,
 Um Freiheit kriegten: Gott wills han!

Obrachunek tylko mylny, bo jeżeli się chce naprawdę wolności, nigdy się nie ucieka pod opiekę mniejszego i bliższego pana z pod większego i dalszego. Ten bliższy daleko ma silniejsze ręce do odebrania wolności, a gdyby Hutten w konsekwencji swoich doktryn obudził się dzisiaj w skórze pruskiego socjalisty, byłby się o tem przekonał. Ale stwierdzając odstępstwo reformacyi od najwyższych myśli chrześcijańskich, wyprowadzając ją z motywu moralnego zgorszenia, intelektualnej pychy, narodowych i społecznych nienawiści, nie myślimy odbierać jej ówczesnym adeptom, a tem mniej dzisiejszym wynawcom wiary tego usprawiedliwienia, które daje z blizka badany proces historyczny. Dzisiaj właśnie zająć nam się przyjdzie kilkudziesięcioma laty w Polsce, które lepiej, niż każda teorya narzucona z góry tłómaczą stan społeczeństwa uprzedzający wielki religijny kataklizm. Reformacya wybuchła u nas w Polsce o dwadzieścia ośm lat później, jak w Niemczech; czas ten przedreformacyjny będzie nas dzisiaj zajmował. Ujrzymy w nim, jak humanizm na wyżynie społeczeństwa, acz głośno i wymownie protestując przeciw odszczepieństwu, stosunkowo najsiłniej przyczynia się do zażegnienia pożaru myśli odstępczej na dole, jak w umysłach młodych i gorących, a co za tem idzie i w masach, które do wielkiego ruchu religijnego należeć mogły, przestrzeń nie większa napozór od wymiaru włosa oddziela umysły, religijnemi kwestyami wstrząsane, czy mają iść na drogę herezyi, czy na drogę ratowania zagrożonego Kościoła. Epoki takie, w których się płaczą moralne motywa z wątkiem myśli ludzkiej w nierozzerwalne węzły, w których ostatnie pobudki ludzi toną w tajemnicach woli i sprawiedliwości Boskiej lub tajemnicach jednostki, tam przed Bogiem odpowiedzialnej, niezawodnie należą do najtrudniejszych i najdrażliwszych do traktowania, z góry też muszą się zastrzedz, abym tu co innego podać mógł, jak to, co po dosyć pracowitem studyum epoki podać można, sąd w dobrej wierze powzięty, który może uleść znacznym modyfikacyom wskutek nowych odkryć lub dalszych badań.

Jak dalece przyjęcie jakiejś nowej teoryi, nowej nauki religijnej zależnem jest od chwilowego usposobienia, w jakim się społeczeństwo znajduje, od kierunku jego namiętności narodowych i społecznych, świadczy obojętność Polski na pierwszy objaw luteranizmu, świadczy, że on właśnie najmniej w społeczeństwie naszym przyjął się i rozkrzewił, że na razie więcej niechęci i wzgardy niż powodzenia spotkał. Przecie nie brakło w Polsce aspiracyj różnowierczych, a nawet ciągu śladów herezyi od hussytyzmu. Statuta drugiej połowy wieku XV, mianowicie plockie, mówią szeroko o heretykach i herezyach, przechowały się poświadczone ślady utrakwizmu w Wielkopolsce i anabaptyzmu na Mazowszu. Nie brakło żywych stosunków między miastami polskimi

a niemieckimi, a szlązkami i pruskiemi w szczególności, a przecież, z wyjątkiem tych ostatnich, gdzie społeczna sprawa, jak w Gdańsku, połączyła się z luterstwem, mało słyhać o luterstwie w miastach polskich, a rewizye księgarń dopiero w r. 1535 wykazują towar zakazany pod tym względem. Za to co kilkanaście wierszy w bibliografii p. K. Estreichera spotkasz wierszem lub prozą filippikę przeciw Lutrowi, wydaną w Krakowie, Krzyckiego, Dantyszka, Dobrogosta, Tidemana Gize, przedruki Jana Ekiusa i Erazma Roterdamczyka, którego wystąpienie przeciw nowatorowi religijnemu katolicy humaniści z gorącym witają zapalem. Zdaje się prawie, jakoby pod wpływem tego wystąpienia Uniwersytet nawet zmienił swoje niechętnie dla humanizmu usposobienie, bo w najbliższych latach po roku 1520 bujnie płynie źródło humanistycznej wymowy w *Collegium minus*; Rudolfa Agrykolę zapisuje się w *Liber diligentiarum* z lekceważącym *Rudolphus poeta legit*—a dopisuje z sarkazmem: *legit negligenter*, czyta Coxus, autor dowcipnej pochwały Akademii, między wierszami której czytać można, że humanizmu nie lubi; czyta nareszcie Grzegorz w Lignicy gramatykę grecką i tłumaczy Hezyoda. Reformuje się teologia i wprowadza między innymi pompacyjny doktoratów teologicznych ceremonial. Zdaje się, jakby duchowieństwo i Uniwersytet nabrały otuchy wobec ogólnego umysłów od luteranizmu odwrócenia, na które narodowe niebawem zaczęły działać motywa. W r. 1520 i 1521 toczyła się zwycięzka wojna z Albrechtem brandeburskim, rozerwana w końcu, a raczej zawieszona rozejmem; umysły były pełne naprężenia, jak się skończy sprawa ze słusznie znienawidzonym Zakonem, a oto wszystkie wiadomości, jakie ztamtąd przychodziły, świadczyły, że to luteranizm, że to niemiecka kościelna rewolucya podejmuje się rozwiązania zagadki i usunięcia z tego świata średniowiecznego potworu. Margrabia Albrecht puścił się w tulaczkę po Niemczech za pomocą przeciw Polsce, za wydobyciem z pod ziemi żołnierzy i pieniędzy, a znalazłszy wszędzie obojętność lub napominania (u strony katolickiej), oswajać się zaczął z myślą wittenberskiego reformatora, który mu radził iść za swoim przykładem: ożenić się i zrzucić suknię zakonną. Na tę samą myśl przychodzili widać bracia zakonnicy i duchowieństwo Prus, oddawna ślepą uległością zepsutemu Zakonowi skażone; wśród ruiny powszechnej rozpoczynała się orgia reformacyi tak dobrze odzwierciadlająca się w piosnce społecznej: achowanej w liście Krzyckiego:

Lièben Brüder esset und trinket das Beste,
 Unser Orden steht leider nicht feste.

Odbierano klasztory i kościoły, przesładowano wiernych obowiązkom swoim księży. Kopernik, podówczas administrator dyecezyi warmińskiej, którego zajęcia naukowe mieli niebawem wyśmiać maskarami fanatyczni elblążanie, walczyć musiał z coraz nowemi zamachami grabieży i profanacyi, knutem przez Zakon, a popieranem przez ludność niemiecką. W Gdańsku przybierał ruch religijny pod kasnodziejami luterskimi Heggem i Knadem zakrój rewolucyi socyalnej przeciw bogatemu patrycyatowi i popieranej przez tron, rodzinie Ferberów wymierzonej. Pomimo, że i w Polsce już języki bardzo w sprawie religii i Kościoła były wolnemi, że Krzycki pod r. 1522 pisał: Upada nabożeństwo, cześć dla religii upada; a nie brak skazówek, że za uchwaleniem wojny z Prusami przez Sejm piotrkowski roku 1524, naród szlachecki byłby poszedł z wielkim zapalem, aby skończyć z krzyżakami. Wśród takiego stanu rzeczy z jakimżto przychodzi nam się najbliższym kolejną lat spotkać wypadkiem! U wyżyn społeczeństwa, reformacya w pierwszym swoim objawie luteranizmu znalazła grzeszną, gorszącą, zabójczą pobłogę, ba! nawet pewien rodzaj politycznej aprobacyi tam, gdzie go znaleźć nie była powinna, z kąd wychodziło nawet owo wspomniane powyżej, wczesne jej i bogate w edykta i pisma potępienie! W r. 1525 *przyszło nagle do zgody z Albrechtem Brandeburskim na zasadach*, które wobec moralności i wobec religii i wobec polityki były skandalem i małodusznością bez granic, przyszło do owego hołdu sekularyzowanego księcia wywołki na rynku krakowskim, którym chlubił się jakby czemś dla nas zaszczytnem, a z którego urosło tyle straszego złego w dziejach naszych.

Das ist der Fluch der bösen That,

Dass sie unendlich Böses muss gebären;

można tu powiedzieć z Szyllerem! Zadać Zakonowi cios ostateczny wojną, skorzystać z anarchii religijnej, która kraj pruski toczyła, być mścicielem porujnowanych ołtarzy i podeptanych świętości, było w r. 1525 rzeczą politycznie łatwą i rozumną, rzeczą przecinającą raz wszelkie instancje Stolicy Apostolskiej i cesarza za instytucją i własnością Zakonu, rzeczą załatwiającą radykalnie spory i walki z tyłowiecznym Polski nieprzyjacielem. Karol V pomimo świeżego zwycięstwa nad Franciszkiem, Klemens VII dla tego właśnie niebezpiecznego zwycięstwa, nie byłiby uczynili kroku za Zakonem, Król polski miał za sobą zasadę: niszczył i usuwał z grona żyjących to, co samo sobie samobójczy cios zadało. Ale politycy polscy: Szydłowiecki i Tomicki, ci sami, co niedawno powiedli króla na wielką abdykację dynastycznych dążeń ku Za-

chodowi, na Kongres wiedeński, w krótkowidztwie i zamięłowaniu utylitarystycznym, nie umieli drgnąć myślą śmielszą, zasadniczą, co więcej, nie umieli być, czem byli powinni, pierwszy kanclerzem katolickiego państwa, drugi biskupem przedewszystkiem; oni wynaleźli czy przyjęli, to jedno, półśrodek, depcący całe *decorum* katolickiego państwa, przerzucający Polskę do obozu fautorów zaledwie powstałego protestantyzmu. „Czy prawda, że Król polski sekularyzował wielkiego mistrza, czy prawda, że sekularyzował dobra kościelne w Prusiech, czy prawda, że wydaje córkę swoją za księcia Albrechta, a to wszystko bez wiedzy i zezwolenia Stolicy Apostolskiej?“ Temi mniej więcej słowy napadł Klemens VII Jerzego Myszkowskiego, posła prymasa Łaskiego, który zrzucając odpowiedzialność na króla i dwór, wedle instrukcyi prymasa, do nich miał Papieża odkazać po odpowiedź. Ale wiedziano, co zrobiono na dworze polskim, wiedziano, czemu nie pytano Stolicy Apostolskiej, czemu spieszono się z dokonaniem rzeczy pełnej wstydu i zgorzienia. Przez cały prawie post, opowiada Krzycki w apologetycznym liście do barona Pulleona, wrzała walka w Senacie polskim i argumenta tej walki przytacza z ozdobnością dobrze wypracowanego humanistycznego elaboratu. Byli tacy, którzy twierdzili, że Zakon ten Stolicy Apostolskiej podlega, że bez jego woli i wiedzy niszczone być nie może, że z cesarzem sroga o to powstanie wojna, że owe pogwałcenie ślubów, owo branie żon przez w. mistrza, komandorów i rycerzy uchodzić będzie za dziejące się za naszą wiedzą i wolą i złą nam u chrześcian opinię zgotuje; że nie należy ufać przysiędze tych, którzy ją Bogu złamali. Na to odpowiadała druga strona obszerniej, wymowniej, liczniejszymi argumentami, bo Krzycki stał po drugiej stronie: Nie obchodzi nas Zakon i śluby zakonne, nas obchodzi prawo, które mamy do ziemi pruskiej, tego prawa strzegąc, musimy Zakon wyrzucić i Sejm ostatni uchwalił, aby go wyrzucić, bo szkodliwym jest, jak szkodliwymi byli templariusze. Tymczasem stało się to samo z siebie, Zakon przez luterstwo upadł, ziemia do prawego pana swego wraca, upadku religii w tych stronach nie my jesteśmy przyczyną, jeżeli się jeszcze podnieść ma, stać się to może jeszcze najprędzej pod naszym królem, pełnym uczuć religijnych. Takie argumenta więc zwyciężyły, do takich odkazywał Tomicki po wytlómaczenie i wyjaśnienie zaszłego faktu, dodając, że uczyniono to, co uczynić było koniecznem, co nakazywały interesa własne, jakich wszyscy ludzie pilnować przywykli.

Zanim pójdziemy dalej, *pytanie, jak do takiego faktu przyjść mogło*, prowadzi nas do uzupełnienia obrazu, już zapowiedzianego w pierwszej lekcyi, pomiędzy postacie humanistycznych polityków XV i XVI wieku, którzy zaczęli od doktryn Kalimacha, Grzegorza z Sanoka

i Ostroroga, a doprowadzili do faktu, w zasadzie niezawodnie z niemi zgodnego, bo nie oglądającego się na średniowieczną hierarchię świata, w praktyce jednak niezawodnie godnego potępienia wobec wytworniejszych i zdolniejszych tamtych umysłów.

Powiedziałem powyżej, że gdyby tylko iść za analogiami fizyognomii, przyszlibyśmy do przekonania, że kierunek myślenia humanistów w końcu XV i początkach XVI wieku stanowczo zwyciężył. Nie potrzebujemy na nich poprzestać, od fizyognomii i stroju możemy pójść do piśmiennych pomników i ustaw, pism politycznych, listów politycznych, druków najdawniejszych, od piśmiennych pomników do faktów politycznych. Warstwa za warstwą idą ludzie, którzy pod względem zapatrywań swoich na średniowieczny świat porządek dadzą się dosyć dokładnie oznaczyć i zdefiniować, którzy pozwolą się, że się tak wyrażę, wyauskultować historycznie, co do swego zapatrywania na Kościół i państwo. Uczynimyż to, ile możliwości, przechodząc generacye aż do generacyi faktu r. 1525.

Na dworze Kazimierza Jagiellończyka spotkałiśmy już Kalimacha dobrze przyjętego, osłoniętego przed rekwiwicyami papieżkiemi, doszłego do godności, stanowiska i znaczenia. Wobec niego w melancholizny cień usuwa się Długosz, narzekający na swój czas, na ludzi nowych przemilczający więcej niż narzekał. Przypisać to przyjęcie Kalimacha zapewne jego przymiotom i zdolności, w wyższym jednak stopniu gruntowi, na którym się znalazł. Narodowe i dynastyczne aspiracye na dworze Kazimierza Jagiellończyka kłóciły się fatalnie z hierarchią średniowieczną, wychodziły na korzyść polityki i wyobrażeń humanistycznych. Za w. mistrzem i Zakonem w myśl konserwatywnej polityki średniowiecznej stawała Kurya rzymska, rzucała klątwy na buntujących się przeciw niemu poddanych, utrudniała i warunkowała traktatu turuńskiego potwierdzenie. Kazimierz Jagiellończyk nie przyjął roli egzekutora wyroków apostolskich na Jerzym Podjebradzie, wołał czekać, pośredniczyć, z Jerzym o następstwo dla syna się układać, a gdy Maciej Korwin podniósł chorągiew Kościoła ambicyą gnany, stał się naturalnym Korwina wrogiem, popadał w klątwy kościelne, wchodził z związki przeciw niemu z niezadowolonymi poddanymi, a trzymając twardo duchowieństwo, ubezwładniał broń kościelną Kuryi. W tej atmosferze rodziła się polityka państwa, partykularyzmu narodowego, patryotyzmu nie znoszącego rozkazów wielkiego centrum chrześcijaństwa, którą w Polsce wyobrażał Jan Ostroróg, w Czechach Jan z Rabstajnu. Posłuchajmy, co mówi ostatni zwrócony do katolickich panów czeskich, idących z Korwinem na Podjebrada: Miłość własnego narodu i własnej ojczyzny jest najwyż-

szą miłością. Nią odznaczali się rzymianie, dziedziczną była w rodzie Decyuszów. Rodzice dają nam tylko życie, ojczyzna wychowanie i obowiązki. Jeżeli tę ojczyznę tak srodze rozdierają, kto zdrowy na umyśle, może na to spojrzeć bez troski. Nikt nam nie dowiedzie z waszych kanonistów, aby wolno było prywatnemu pod grozą klątwy i po padnięcia w grzech śmiertelny iść przeciw własnej ojczyźnie, jako nieprzyjaciółce Stolicy Apostolskiej. Posłuchajmy, co mówi Ostroróg: Wy świetni panowie, kolumny, podstawy i korzenie ojczyzny, czynicie tak zawsze, abyście kochali ojczyznę, jak siebie, więcej rzecz publiczną, jak rzecz prywatną, bo na rzeczy publicznej jedynie wzrasta i kwitnie sprawa prywatnych. Jeżeli rzecz publiczna się pochyli i prywatna musi paść ruiną. Aby zaś od rzeczy najwyższych zacząć, mniemam, że posłuszeństwo we wszystkim Papieżowi, nie jest zgodnem z rozumem. Król polski nie ma nad sobą nikogo, prócz Boga. Jakież dziwne, charakterystyczne zetknięcie się z ustępem Machiavella w dziele *Discorso sul Tito Livio*. Nie może kraj żaden być zjednoczonym i szczęśliwym, jeżeli nie jest posłusznym jednemu tylko rządowi: monarchicznemu czy republikańskiemu. Jeżeli rząd Italii tak zorganizowanym nie jest, zawdzięczyć to mamy tylko Kościołowi samemu. On to powołał Karola W. aby zniszczyć włoskie królestwo Lombardów, on z pomocą Francyi zniszczył potęgę weneccyan. Oto przyczyna, że Włochy stawały się łupem obcych łupem każdego, który je chciał opanować. Miał on zawsze dosyć sił aby jedność Włoch zniszczyć, nie miał nigdy, aby ją przeprowadzić.

A więc, dziwne wysunięcie naprzód Czech i Polski w polityce patryotycznej, emancypującej się z pod hierarchii rzymskiej a schodzącej się z ostatniemi dążeniami ghibellinizmu we Włoszech. Do Czech i Polski przystępują Węgry, niechętne polityce Korwina i idące w kolej czesko-polską. Motywa narodowe, schodzą się wcześniej, niż w Niemczech północnych i Anglii z teorią humanistycznej polityki, legizmem rzymskim umocnionej, aby tu wzniecić antikuryalny kierunek. Pamiętajmy zawsze, że humanizm, acz pod względem badania starożytności wówczas niegłęboki, niósł z sobą z wzorów starożytnych niechybnie, fatalnie dwie tendencje: tendencję państwa, jako najwyższej organizacyi ludzkiej i tendencję religii, państwu poddanej, z państwem złączonej, religii narodowej. Wszystko, co dawał Cycero, Wirgiliusz, Liviusz, Homer, dążyło do tego: świat starożytny był pod tym względem przeciwnożnikiem chrześcijańskiej idei ludzkości, narodowość budził, budził tendencję do wiar i kościołów narodowych.

Tylko pod jednym względem panuje w wyobrażeniach historyków bardzo powszechna omyłka, jakoby humanizm był elementem stawiającym monarchizm. Można to powiedzieć o legizmie rzymskim, stawiają-

cym słowami Tadeusza Suessa lub Nogareta władzę świecką wbrew duchownej, Fryderyka II lub Filipa Pięknego wbrew Grzegorzowi IX lub Bonifacemu VIII, ale nie o humanizmie. Humanizm był teoretycznie i literacko republikańskim, praktycznie był że się tak wyrażę, akomodującym się do okoliczności, był politycznie bezwyznaniowym. To co mu przedewszystkiem imponowało, była wolność grecka, obrady komicyków rzymskich, cnota republikańska Katonów; z Tacytem oburzał on się na despotów, z Brutusem na Tarquiniusów i tego najwięcej w jego pismach. Praktycznie miał on dziwną giętkość: był teokratą przeciw husytyzmowi za Piusa II, narodowcem z Janem Rabsteinem przeciw Kuryi, w Pomponiuszu Laetysie zwalczał starożytnym Pontifeksem nowoczesnego Papieża, jak niegdyś trybunem ludu Rienzim zwalczał cesarzy i królów, był nadwornym republikaninem arystokratycznym u możnych, demokratycznym u mas, na wszystko znajdował wzory w starożytności, zawsze w zakresie antytetycznych do średniowieczyzny pojęć. W osobie wybornego typu swego Erazma Roterdamczyka, był on chwałcą pokoju, umiarkowania, pogromcą ambicji a gdy przystąpiły inne czysto materialne motywa, adoratorem polityki Zygmunta, sekularyzującej dla miłego pokoju Prusy, zawierającej rozejmy i pokoje na wszystkie strony, pośredniczącej między ogniem i wodą, Franciszkiem i Karolem V, między Zapolyą i Ferdynandem. Idealem polityka humanistycznego stał się też w końcu filozof, człowiek roztropny, spokojny, popychający z dnia na dzień taczkę swoich obowiązków, pamiętający rozumnie o sobie, mecenas nauk i poetów, jak ideałem dyplomaty mówca, umiejący wyrazić się poprawnie i zręcznie, orator!

Możnaby z tego w końcu wnosić prawie, że im czystszy humanista, tem gorszy polityk, czy polityk zasady, czy polityk faktów dokonanych i powodzenia i tak jest rzeczywiście. Niepodobnaby sobie prawie wytłómaczyć bezpłodności, daremności usiłowań, nieskuteczności wszystkich wytwornych, świetnych, w zewnętrznym wystąpieniu imponujących umysłów u nas i zagranicą, które przecież nic nie zbudowały, niczemu nie przeszkodziły, nic nie zażegnały, od Bemba i Morusa, do Tomickiego i Krzyckiego, jak tym brakiem gruntu pod nogami, tem panowaniem słowa i frazesu dobrze utoczonego, mających zastąpić wszystko co niegdyś dawało siłę i skutek, tem utraceniem wątku dawnego niezgodą wewnętrzną na wątek nowy, ba prawie abdykacją, że go nie ma....

Wszakże ten politycznie burzący a nic jeszcze nie stawiający element, zawsze gotowy do rady, czasem cyniczny, słowem, projektem, piśmem czyn zastępujący mniej dotkliwie dał się uczuć na Zachodzie, gdzie spotkał się z starszą rządu tradycją, z wytworzonymi obozami politycznymi, z posiewem monarchizmu przez legizm pozostawionym.

W Polsce, Czechach i Węgrzech było gorzej. Poruszył on tam do gry walkę stanów i wywołał w Polsce, rozbudził w Czechach i Węgrzech życie stanowe, wszystkie formy średniowieczne zachowującego parlamentaryzmu. Elementa stanowe, raz wydobyte z uświęconych pęt średniowiecznych, które w hierarchii kościelnej i w średniowiecznym porządku, w zgodzie królewskości z episkopatem znajdowały, że tak powiem swój węzeł gordyjski, trzymający je w karności, wyleciały jak wiatry Boreasza, niestety, niewedle Ostrorogowego moralu, nakazującego im ogarniać rzecz publiczną; ale wedle tego naturalnego wszelkim emancypacyom procesu: mierząc rzecz publiczną interesem swoim prywatnym.

Budząca się obywatelskość ma w historii fazę pierwszą z konieczności nieobywatelską. Nie lubi ona płacić podatków, ale wskazuje na tych, którzy więcej mają, aby je płacili; nie chce iść na wojnę, póki w teje samej mierze inni na wojnę nie pójda, chce większej wolności dla siebie, a powściągnięcia tych, którzy mają większą władzę i znaczenie; chce ograniczenia tych, którzy więcej zarabiają pieniędzy, chce zmuszenia do większej pracy i zależności tych, którzy znajdują się pod jej władzą. Zanim z tego pierwszego, chłopskiego pojęcia przyjdzie do objęcia interesów, do miary, do sprawiedliwości, do rozumu stanu, do polityki, długie i długie upływają lata, a społeczeństwa często giną, zanim się to stanie.

Z taką to obywatelskością stanął parlamentaryzm stanowy w Węgrzech, Czechach i Polsce pod koniec XV i na początku XVI wieku. Czechy i Węgry straciły swój byt niepodległy już w roku 1526; pośrednio w skutek awantur parlamentarnych pod Rakos i Hatvan, Polska przetrwa burz wiele a zobaczymy czem skończy w wieku XVI, w wieku, gdzie jej przyszło po dysolucyi zasad, które przyniósł humanizm, przemieść dysolucyą religii, które jej przyniosła reformacja.

Uwagi te dają się w całości zastosować do przebiegu dziejów naszych schyłku XV wieku, aż do pamiętnego faktu sekularyzacyi Prus. Zewnętrznie to szereg porażek tem bardziej niespodziewanych, im mniej dotąd wytłomaczonych. Porażka węgierska 1471 je rozpoczyna następuje wrocławska 1474, potem nowogrodzko-pskowska 1477, potem druga węgierska 1490 brata przeciw bratu, potem wołosko-turecka 1497 1499, potem wiedroska 1502, potem smoleńska, potem abdykcyja na kongresie wiedeńskim 1515 z dążeń dynastycznych na zachód, potem niezakończona wojna z Albrechtem, w końcu skandal polityczny 1525. Coś zgnilego w Danii, powiedziałby historyk, dopóki za głębszem w rzecz wnikięciem, z przyczyny wewnętrznych procesów na ten czas przypadających nie zaczęto wy-
najdywać jakiegoś błogosławionego, obiecującego stanu przejścia w tych

czasach, który tylko królowie nieudolnością swoją popsuć mieli. Tymczasem faktem jest, że Kazimierz Jagiellończyk, wstrzymując arbitralną swoją polityką z dnia na dzień, wszelki dalszy organizacyjny i prawodawczy rozwój, ambycją dynastyczną wysilając się przeciw Zachodowi i Kuryi, zaniedbał i Polskę i Litwę i zostawił synom spuściznę ciężką i problemów pełną. Padła ona w udziale dwu wychowańcom Kalimacha, jego wpływem przejętym, a sądząc z skutków, rady o ile były nowe, o tyle mało zbawienne. Olbracht i Aleksander, przy bliższem rozpatrzeniu się w rzeczy, mają jeden kierunek posługujący się pierwszy oparciem się na pozyskanej masie szlacheckiej, której już Kazimierz Jagiellończyk używał, drugi na Ruszczyźnie przeciw katolicko-litewskiemu Senatowi. Olbracht, po paniętnem ustawodawstwie 1496, w którym pełnemi garściami rycerskiemu stanowi koncesyj udziela i na parlamentach prowincjonalnych państwo opiera, stawia wszystko na kartę tajemniczej, olbrzymiej wyprawy tureckiej, którą samowolnie, wbrew Senatowi, wbrew bratu, zwraca przeciwko Wołoszy a pośrednio i Węgrom, a poniosłszy ogromną klęskę, przyciśniony wyprawami Turków, cofa się na całej linii. Aleksander, ograniczony zrazu przywilejem r. 1492 przez możnodawców mu narzuconym, przyciśniony przez Moskwę, chwyta się myśli wielokrotnie w kole humanistycznym krakowskiem podejmowanej, myśli jednoczenia szyszmy z katolicyzmem, jako nieprzedstawiającej dogmatycznych trudności. Myśl ta tkwi w przyjaznych dla obrządku ruskiego wyrażeniach Kalimacha, włożona w usta Grzegorza z Sanoka, wygląda z stosunków kółka humanistycznego z Bernardem Rusinem i Fyolem, który drukuje mnogie książki ruskie w Krakowie,

Zestawiając z tą wiadomością fakt, że Papież Aleksander VI nawet obedyencyę Sołtana metropolity kijowskiego w r. 1500 tylko z największą przyjmował ostrożnością, że sekretarzowi Sapiesz, składając też obedyencyę, ponownie święcić się kazał, że rzeczy unii koniecznie o biskupa wileńskiego Tabora opierał, przychodzimy do przedświadczenia, że początki tej sprawy zjednoczenia musiały być niezmiernie pod względem kościelnym luźne i podejrzone. Jakoż jeżeli Aleksander księżniczkę Moskiewską poślubia, jeżeli biskup tenże sam związkowi błogosławić nie chce, jeżeli następnie Aleksander znajduje się nieustannie między podejrzeniami w. księcia o nawracanie żony a napomnieniami stolicy Apostolskiej, aby ją nawrócił lub oddalił, przypisać tylko to wszystko małżeństwu i niewczesnej ingerencji politycznej w sprawę dwóch wiar, prowadzącej najfatalniejsze skutki. Królem polskim zostawszy, widzi się Aleksander ograniczonym przywilejem nielnickim r. 1501 i unią katolickiego senatu polskiego z litewskim, zrywa się przeciw ostatniemu do za-

machów w sojuszu z kniazem Michałem Glińskim i rusinami, gdy interwencja Jana Łaskiego i dobrze, tylekroć nam znajomego Jana Sakrana wstrzymuje go, a sejm 1505 roku ogranicza go ustanowieniem wszechwładzy stanowego parlamentu. Dążenia monarchiczne obu wcześniej zgasłych synów Kazimierza skończyły się źle, w jednych i drugich było wiele ducha emancypacyi, ale mało gruntowności, dalekonośne ale niepraktyczne pomysły: polski Machiavell, którego się dość wyraźnie na tle obrazu widzi, a widzi tem lepiej, że około Aleksandra i Olbrachta spotyka się całą plejadę znanych towarzyszy Akademii nadwiślańskiej: Macieja z Drzewicy, Piotra z Bnina, Alberta z Brudzewa i Erazma Ciołka sekretarzy Aleksandra, okazuje się na polskim gruncie świecącym raczej niż świetnym politykiem, siejącym wiatry i zbierającym burze.

Na pobojowisku, gdzie poległy myśli Olbrachta, Aleksandra i Kalimacha, analogicznie prawie z tem, co się dzieje w świecie naukowym, staje towarzysz Sakrana, *Jan Łaski*, humanizm domorosły, na szlacheckim gruncie wszczepiony. Sieradzki szlachcic, dorobkowiec, uczeń humanisty Andrzeja Gorry na uniwersytecie krakowskim, łacinnik nietęgi, prawnik niegłęboki, zdawał się jednak iść za polskiem szlacheckiem przysłowiem: nie święci garnki lepią, a obrotny, zręczny, energiczny, namiętny, pełen fantazyj i pomysłów, był niejako wcieleniem tej przedsiębiorczości, która odznaczała szlachtę tego wieku. Nikt tak szybko, jak on, nie zrobił karyery, co jeśli nie zawsze świadczy o charakterze i kwalifikacyi, zawsze świadczy o sile woli i zdolnościach. W r. 1502 sekretarz króla Aleksandra przez wpływ kardynała Fryderyka, posłany na Litwę, może nie bez związku z społeczną broszurą Sakrana, której kilkanaście lat potem do memoriału o szymnie Papieżowi podanego używa w r. 1503 już jest kanclerzem, staje wbrew Aleksandrowi w obronie katolickiego litewskiego senatu wbrew Glińskiemu, ratuje Litwę dla Zygmunta, a pod jego pieczęcią rozegrywa się druga, wielka z Rusią walka wywołana poniekąd eksperymentami króla Aleksandra. Podstawą Łaskiego jest szlachta; on to usuwając oligarchiczny przywilej r. 1502 redaguje ustawy 1504, i 1505 i kładzie podwalinę pod parlament trzech stanów. Dopóki on kanclerzem, parlament ten idzie z królem zgodnie, świadkiem ustawy sejmów 1507 i 1510, dalej rozwijające myśl parlamentarną. Szlachcic, nienawidzi Łaski plebejuszów garnających się do dygnitarstw duchownych, nienawidzi w szczególności Erazma Ciołka, biskupa plockiego, niegdys lutnistę i wierszopisa. Wiążą się z tem nowe sejmy przeciw plebejskim kanonikom uchwały. Pamiętający o sobie, wsuwa w konstytucję, aby kanclerze mieli pierwszeństwo do dygnitarstw kościelnych. Nieprzyjaciel Kallimacha i konsortów, podobny on przecież do nich w polityce względem Kuryi. Pizona i Achille-

sa de Grassis poselstwa o ligę przeciw turkom otrzymują za niego chłodną odprawę, a gdy arcybiskupem zostaje 1510 programem jego staje się dlań emancypacja archidiecezyi od Rzymu tak daleko idąca, że zaniepokaja króla i nieprzyjaciół Łaskiego. Więc podczas dłuższego na koncylium laterańskiem w Rzymie pobytu, gdzie sprawa Prusakonnych szczególnie zajmować go miała, Łaski porządkuje sprawę patronatu w dobrach rycerskich, wyjednywa kanonikaty kościołów katedralnych wyłącznie dla stanu szlacheckiego, niemniej otrzymuje t. z. *legatio nata* dla arcybiskupów gnieźnieńskich, która przenosząc liczne sprawy nuncyuszom powierzone, w zakres działania prymasa, usamowolniała też o tyle Kościół w Polsce. Przecież pełen słusznej narodowej nienawiści do Zakonu, prymas należał niezawodnie do głosujących przeciw sekularyzowaniu w. Mistrza Albrechta, zastrzegał się przeciw niemu, słowem nie szedł tak daleko jak Tomicki, Krzycki i Szydłowiecki w lekceważeniu hierarchicznego z Rzymem związku. Myślał on wiele o sprawie krzyżackiej, podawał projekta, aby Zakon przenieść na Podole do obrony przeciw Turkom, aby go spolszyć, aby w. Mistrzem, oczywiście za dyspensą papieżką uczynić króla polskiego, a nawet żeby Albrechta za tą dyspensą wynagrodzić arcybiskupstwem gnieźnieńskiem, które sam zajmował, a z którego ustąpić był gotów. Na innem też polu przyszedł arcybiskup do ostrego z Rzymem zatargu. Nieprzyjaciel domu austriackiego był on także wrogiem polityki, którą Szydłowiecki i Tomicki kongresem wiedeńskim 1515 roku zainaugurowali, polityki przymierza z Austryą, ale i abdykacji wobec Austrii, a chociaż stanął na drugim planie, w oddaleniu od dworu i kancelaryi nie przestał wywierać z daleka wpływu, którego się owa polityka obawiała, rzucając też na niego pełnemi garściami słuszne i niesłuszne zarzuty, w prozie listów i poezyi epigramatów Krzyckiego. Pozostały zawsze drzwi jakies sekretne, któremi dostawały się rady Łaskiego do króla Zygmunta, a rady te wrzały zawsze niechęcią do rozpanoszonych w świecie hiszpanów, Karola V i Ferdynanda, sympatya do wszystkiego, co im w drodze stawało a więc do Zapolyów, Francyi i nawet do Turcyi. Wszakże to on niezawodnie wpłynął na małżeństwo króla pierwsze z Barbarą Zapolską. To też gdy Jan Zapolya odebrał Ferdynandowi połowę węgierskiego dziedzictwa, Łaski z synowcem swoim Hieronimem, wojewodą sieradzkim, rozpoczął politykę na własną rękę, politykę zmierzającą do poparcia Zapolyi. Wskutek podróży Hieronima Łaskiego do Paryża, przyjechał do Polski 1527 poseł francuzki Ringoni, a sposób jego odprawy świadczy, że Zygmunt przynajmniej co do propozycji małżeństwa księżniczki francuzkiej z Zygmuntem Augustem nie był zupełnie obcym planom Łaskich. Ale i potem postępuje Hieronim albo z najwyższą aro-

gancją, albo z pewnem tajemnem z Zygmuntem porozumieniem. Zapolya po przegranej szuka przytułku i pomocy w Polsce, wspiera go Tarnowski i Łascy, król jakby przez szpary chciał patrzeć, na Litwę się usuwa; negocyując sprawy Zapolyi w Konstantynopolu, negocjuje Hieronim traktat z Polską, który Zygmunt przyjmuje! Na zachodzie brano to wprost za grę dwuznaczną a Klemens rzucił piorunujące na arcybiskupa *monitorium*, *monitorium* zwać go Judaszem i zdrajcą chrześcijaństwa, polecając królowi jego doręczenie i wykonanie. Zygmunt się od tego wycofał, instancyonował za arcybiskupem, jak spólcześnie robił wszystko, aby zatrzeć wrażenie dwuznaczej polityki wobec cesarza i Kuryi. Mimo rękopiśmiennych nawet Tomicyanów, mimo prac ks. Korytkowskiego, Hirszberga i Zeissberga, nie mamy ostatecznego klucza do tej zagadki, to pewna, że arcybiskup nie może w tej sprawie uchodzić tylko jako ofiara synowca, że logiczny istnieje związek między jego życiem a ostatnimi jego prawdziwie tragicznymi chwilami.

Druga warstwa historyczna, nosząca nazwę: Szydłowiecki, Tomicki, Krzycki, Dantyszek, nie ma ani heroicznej indywidualności, ani tragicznego końca Łaskiego, pełna ona owej miary i umiejętności życia, którą tak sławili humaniści, a która przeniesiona i zastosowana do polityki, o ile była bogatą w słowa i półśrodki, o tyle daleką od stanowczości i energii. Wiedeńskich i włoskich humanistów wychowaniec Szydłowiecki niesie od pierwszej chwili szkodliwą wobec Austrii uległość w interesu polskie; chełpi się, że jest pensyonarzem Maksymiliana, a historia jemu w pierwszej linii zbyt ni wgląd na interesa Albrechta przypisać musi, złe języki spólczesne dodadzą, że i gdańszczanie musieli doń trafić przekonywającemi środkami, gdy szło o sparaliżowanie gniewu królewskiego. Tomicki, lipskiego i krakowskiego uniwersytetu uczeń, człowiek wytrwałej pracy, wielkiego wykształcenia i wytwornej wymowy, góruje niezawodnie nad współczesnymi rutyną i znajomością interesów w kościele, państwie i sprawach nauki, dążeniami najoswieceńszych humanistów-księży, stać się umie niezbędnym, koniecznym, ale udział bezpośredni w fakcie 1525 świadczy niezbitcie, jak daleko szła u niego emancypacja w sprawach politycznych z kościelnymi związanymi. Dostyć też rozczytać się w obszernej półprywatnej korespondencji z jego czasów, którą mieszcza Tomicyana, aby się przekonać, jak roztropnie a bez walki liczy się z dworem, z kaprysami i wolą królowej Bony, z podrywanymi chwilowemi króla do większej energii, jak ściśle łączy się u niego interes klikki własnej z jego politycznem działaniem. Niezawodnie, że to człowiek mądry i biegły, znający swoich ludzi na pamięć; muzyk, który wybornie gra na swoim instrumencie, człowiek wreszcie, który niezawod-

nie ma chęci i wolę czynienia wiele dobrego, ale posuwający trzeźwość, miarę, chęć utrzymania siebie i swoich do tego stopnia, że najbystrzejsze oko nie dosłodzi poza tem wszystkim czegoś więcej, jak polityki z dnia na dzień, urzędowania dla urzędowania, a często prawie bezmyślności. Taką jest polityka austriacka, taką węgierska, taką turecka, odmienną może trochę wewnętrzna. Tu Tomicki jest dynastycznym, tu przeciwnikiem sejmowego ruchu szlacheckiego, tutaj sceptykiem w sprawie reform prawodawczych, za którymi zwykle Łaski stawia. Spokojna jego natura nie nadaje się do agitacyi, trybunem ludu być nie chce i trybunów ludu nie lubi. „Nasza izdebka prawodawcza“, mówią w jego kołach o parlamencie szlacheckim. Ztąd obok szacunku niepopularność, ztąd niepopularność ludzi jego szkoły, jak Choiński, Hozyusz, Maciejowski, ztąd też sama niechęć do hałaśliwej szlachty redaktora jego aktów S. Górskiego.

Uzupełniają ten kierunek poniekąd siostrzeniec Krzycki i Jan Dantyszek, uzupełnia Hozyusz w pierwszej epoce swojej. Gładki, dowcipny, dworak pochlebca z odcieniem lekkiej ironnii, nie ma Krzycki powagi Tomickiego, poezye jego młodości graniczą o miedzę z Celtesem i Corbusem, epigramata na cześć Bony tchną galanterią labusiów XVIII-go wieku, w których tegość kościelną trudno uwierzyć. Przytoczmy choćby wierszyk o zającu, upolowanym przez Bonę w Niepołomicach. Zając ów nieboraczek mówi :

Nie wiem, czy masz pochwalić, czy opłakać moją
 Śmierć wędrowczą, co ujrzyś, że leżę bez duszy.
 Nie było mnie równego pośród leśnej głuszy,
 Skokom moim najlepsi strzelce nie dostoją,
 Nie szybkości też większej upadłem ofiarą,
 Lecz tej, co przed nieszczęsnym klacz wstrzymała karą:
 Nie! nie mogłem nie spojrzeć w oblicze bogini,
 W gwiazdy ócz; usta, róży pestyjskich siostrzecz,
 Szyi białość, co kości wstyd słoniowej czyni.
 Spojrzałem! Wtedy za kark chwycę mnie charcice,
 Rozkosz mi była śmiercią, lecz życiem zarazem.
 Śmierć mi była rozkoszą, skoro za rozkazem
 Tej padłem, której jeńcem cały świat się wyzna,
 Najpierw ten, co Jowiszem zwie go swym ojezyczna.

Wiersz ten niezawodnie przetłómaczyłby o wiele lepiej Krasicki lub Naruszewicz. A nieoderwany to rys człowieka, który przez życie dworskie i polityczne płynię z zręcznie utoczonym dowcipem na ustach, trafną i bystrą czasem uwagą, wybornem znawstwem ludzi, z pełnym zawsze trzosem wiadomości o wszystkim, z drobiazgową zbieranych

skrzętnością. Umie on wyborną satyrą odtworzyć sejmazyatycki r. 1535, pełen burz oligarchii demagogizującej, umie napisać elegiczny wiersz: Skarga Rzeczypospolitej i religii, gdzie tak wybornie chwyta charakter epoki przedreformacyjnej:

Co w duchownych niedobrem, tłum to na kościół rozciąga,
Upada nabożeństwo, cześć dla świętości upada...

Umie z zasobem bystrości i dowcipu schłostać Lutra i półironicznymi argumentami zbić deputacyą fanatycznych gdańszczan, którzy się na apostołkę do Krakowa wybrali. Podobny on w tem wszystkiem do tyłu i tyłu dygnitarzy kościelnych swego wieku, uznających niebezpieczeństwa i przewrotność różnowierstwa, umiejących w tym kierunku działać na panujących, ba! nawet zdolnych do kroków bardzo energicznych, a przecież bezsilnych wobec złego, bo świat ich filozofią się nie przejmując, bo nie podzielił tak umiejętnie swego czasu między Boga i mamonę, nie odłączył Kościoła od sług, nie będzie miał ich politycznych obaw, ale owszem z nieprzystawania ich życia do zasad wyznawanych, wyciągnie konsekwencye wstrząsające wszystkiem.

Niewiele słów mamy do poświęcenia Dantyszkowi i Hozyuszowi w tej epoce, z których drugi rozpoczyna dopiero swój zawód. Szkoła też sama, szczególnie u Dantyszka, jowialisty i wybornego współbiesiadnika, komponującego wiersze do wina na tempo średniowiecznych pieśni kościelnych, dyplomaty na swój wiek wcale bystrego i zręcznego, utrzymującego dwór swój w toku europejskich wypadków z zmiennych Karola V rezydencyj. Pewna służbistość, obowiązkowość, ład i krytyczność niemiecka przebija od pierwszej chwili z piśmiennych zabytków tych ludzi, przebija i ten wyższy zmysł polityczny, którym Niemcy nad nami przodują. Wiemy już, jak patrzył na lenno w. Mistrza Albrechta Dantyszek, doświadczeńszy i wytrawniejszy; posłuchajmy co o nim pisze młody Hozyusz, podówczas sekretarz Tomickiego. Nie chwyta on jeszcze strony religijnej, zbyt jest dzieckiem swego otoczenia, chwyta polityczną i mówi o apologii Krzyckiego, zwróconej do Puleona:

Powiedz, ktokolwiek przeczytasz te sprawy,
Czyli nie nazwiesz monarchę szalonym,
Co mogąc łatwo skończyć z zwyciężonym,
Wzrok mu swój wolał pokazać łaskawy?
Pokazał temu, co niedawno jeszcze
Byłby niewdzięczny szarpał mu wnętrze,ności,
A oto wielbi ten czyn enej mądrości
Chwała biskupów, wieszcz nad inne wieszczel!
Lecz bodaj myśl twa w rzecz wejrzeć umiała,
Zrozumiesz, jak się owa sprawa stała.

Bardzo ostrożnie — bo wiersz sekretarza — a bardzo rozumnie. Tak rozpoczynał ten, który w dalszem życiu stał się jednym z filarów tak zwanej przez protestantów niemieckich niektórych reakcyi katolickiej, człowiek, który niezawodnie przeszedł w umyśle burzę swego wieku. Zamykamy nim plejadę ludzi, którąśmy do 1525 przesunęli, jako człowiekiem, który sam jeden bystrzej na fakt zaszyły poglądał, a tem samym zapowiadał się jako człowiek przyszłości. Do tej przyszłości jeszcze daleko, jak zobaczymy, a w najbliższych czasach, ujrzymy go w zapasach z duchem wieku, w przetworzeniach różnych, zawsze jednak w bardzo charakterystycznej postaci, którą przybierają wśród wypadków ludzie niezwyklej miary.

A teraz wracamy, od czegośmy zaczęli, do faktu 1525 r. i podejmiemy bezpośrednio jego skutki. Na razie fakt 1525 przyniósł z sobą gwałtowną, afektowaną reakcyę przeciw luteranizmowi, srogie edykta przeciw mało jeszcze w Polsce, w tej formie przynajmniej, widocznemu złemu, wyprawę króla 1526 do Gdańska, gdzie mimo usiłowań Szydłowieckiego, a przyczajenia się Tomickiego w Malborgu, pościano ekscentów protestanckich za to, co niedawno temu nie szkodziło Albrechtowi brandenburskiemu, a gdzie zarazem świętny dwór, panicze polscy, uroczyście przyjmowali królową duńską, jadącą do przyszłego swego eksmnicza! Klemens VII, zrazu tak oburzony, udobruchał się prędko, czy z obawy przed czemś gorszem, czy z przyczyny złych z Karolem V stosunków. Skandal napadu Rzymu przez wojska Burbona i Frundsberga protestantów, niby to wbrew woli i wiedzy Karola, napełnił świat chrześcijański r. 1527, posypały się odstępstwa książąt niemieckich. W hiszpańską niewolę popadł Kościół; czas, abyśmy mieli swego patriarchę, pisze Hieronim Łaski z dworu francuzkiego do Leonarda Miedzileskiego, biskupa Kamieńca. Tymczasem przemówił Erazm Rotterdamszyk, *lux mundi*, w liście do Zygmunta I r. 1527. Drukuje się ten list osobno w Krakowie, jako wotum zaufania świata uczonego, danego polityce polskiej. Hozyusz pod portretem Erazma umieszcza wiersz:

Czyżje to portret? Portret Erazmowy,
Lecz jaki Erazm? Jeden jest na świecie
Najobszerniejszej między ludźmi głowy
I najuczeńszy! Kto jest? dobrze wiecie!

I oto, co pisze Erazm: Pierwszy u ciebie spokój kraju i oszczędność krwi chrześcijańskiej, jak zdobycze i opinia tłumu. Pięknie, bo i ozdobnie powiedział, kto powiedział: królewska to, słyszeć o sobie złe, gdy się dobrze czyni. Gdy tyle razy przeciw Prusom szczęśliwie wojowałeś, przecież dla miłości pokoju wolałeś księciu Prus części ziemi

odstąpić, jak całą podbić, co tak łatwą było dla ciebie rzeczą. Ten prawdziwie wielki i wzniosły, co nie zazdrości wyższym a niższych i słabszych nie gniecie, co nie dąży, aby władał jak najszerzej, bo to i zbrodniarzom los zdarza, ale to, co jego własnością, rządzi jak najlepiej... Nie mają tu rzeczą ubliżać powadze tego, którego Chrystus postawił na czele Kościoła, a jeżeli mam być szczerym i sam on byłby szczęśliwszym i najwięksi mocarze świata mniejby walczyli ze sobą, gdyby przekonany o błogosławieństwie pokoju z żadnym z monarchów w sojusz nie wchodził, ale ojcem wszystkich jednakowo się okazywał.

Tego rodzaju platonizmo-polityczne elukubracje Erazma nie wywarły niezawodnie wpływu na Francję, Anglię, Niemcy, Hiszpanię; tradycja polityczna poszła górą nad teokrytową sielanką, ale u nas, gdzie się je spotyka w traktacie Sykula, w tysiącu listach Tomicyanów, u wielkiej liczby autorów i mówców, stwierdzić się musi, że to humanizm wpłynął na mężów stanu Zygmunta i Zygmunta samego, na teorie popularną, że Polska nie podbija, tylko swego strzeże, wpłynął, jak zwyczajnie na młodsze i mniej doświadczone narody wpływają hasła, frazesa głoszone przez pewne kierunki dogmatyzowane i powtarzane na slepo.

Ale jeżeli list Erazma pochwalny pieczętuje co dopiero wykazany związek naszej polityki z humanistycznymi teoryjami, to skandal r. 1525, nieodkupiony tendencyjną i brzydką repressją Gdańska w r. 1526, skandal napadu Rzymu r. 1527 i skandal procesu arcybiskupiego w r. 1530 tłómaczy aż nadto, że w ciągu najbliższego lat dziesiątka, od 1530 do 1540 zjawiać się już zaczynają groźne objawy religijnej rozterki. Gdy u szczytu społeczeństw zaczynają trzaskać helki i rysować się sklepienia, koniecznym objawem społeczeństwa na dole jest niepokój i duch nowatorstwa. Politycznie on aż zanadto widzialny: sejm azyacki, sejm r. 1537, wojna Kokosza tegoż roku, chwilowe dążenia do reakcyi r. 1538, odwrót z tej drogi r. 1539, coraz wybitniejsze występowanie szlacheckiego ruchu pod braćmi Zborowskimi, a gdy interes każe, pod magnatami, jak Kmity, rzeczy to powszechnie z dziejów polskich znane. Wkraczając one w zakres Kościoła jako domaganie się rewizyi przywilejów duchowieństwa, klasztorów i opactw, pociągania soltysów duchownych do służby wojennej, wykonanie statutu o usunięciu plebejuszów od kościołów katedralnych. Można by te objawy pominąć, lub wyłącznie tylko tarcu politycznemu i społecznemu przypisać, gdyby nie było innych. Ale oto pod r. 1528 spotykamy pierwszy proces o herezyę Jakóba z Ilży, magistra na wydziale filozoficznym Uniwersytetu krakowskiego. Różny od innego Jakóba z Ilży astrologa, który umiera r. 1532; Ilża od r. 1517 wyklada różne rzeczy humanistyczne i arystotelesowskie: Hora-

cyusza, Topiki i Etykę, otrzymuje kościół Ś-go Wojciecha, później i posadę kaznodziei na Zamku. Proces r. 1528 załagodzony, odnowił się r. 1534, apologia Hły, badana przez Jerzego Myszkowskiego i Mikołaja Bedleńskiego wypada źle; nasz mistrz przyznaje się, że posty, cześć Świętych i Matki Boskiej nie uważa za obowiązujące, wyrok zapada zaocznie, bo r. 1535 Jakób ucieka do Wrocławia. Nie minął fakt bez wrażenia, w następnych latach 1536, 1539 widać pewne krzątanie się około Uniwersytetu, chorującego obecnie coraz widoczniej na zniechęcenie i zaniedbanie się profesorów starszych. Wychodzi reforma wydziału filozoficznego, polecająca, aby do Donata *Vetus Ars, Posteriorów* Arystotelesa i ksiąg *de Anima* młodzież nakłaniać, do dysput filozoficznych zachęcać; młodych magistrów, odciągających od nich, a prywatnem uczeniem zadających Uniwersytetowi największą szkodę, karcić. W r. 1538 wygnano *Modus epistolandi* Erazma, w tymże roku otrzymał rektor cenzurę religijną ksiązek na księgarnie krakowskie. Uniwersytet już poniewczasie zupełnie chciał się bronić Arystotelesem! Starych nie poruszył, młodych nie wstrzymał, za Jakóbem Hłą między młodymi magistrami spotykamy cały szereg imion: Marcina z Opoczna, Jana z Koźmina, Marcina Glosa, Wawrzyńca Dyskodya, którzy wszyscy przez Magisterium wydziału przeszli do swojej roli reformatorów. Lekcje w wykazach przerzedzają się, lista opuszczonych wykładów arystotelicznych rośnie, ekstranei humaniści płyną jak woda, klasyczne języki utrzymują się siłą wewnętrzną, którą im dała popularność, a nadto niezawodnie sama osobistość i opinie wyznawane przez młodych nauczycieli, Uniwersytet upada, nie żeby mu brak było humanizmu, ale że humanizm wzniecał bój nieustanny w jego łonie, że niestałość i zmienność magistrów nie dozwalała na prawdziwy rozwój nauki, a głośno podnosi ten ostatni punkt, jako najważniejszy, Szymon Marycki w dziele: *De scholis seu Academicis*, zwróconem w r. 1551 do nowego biskupa krakowskiego, jak głośno Orzechowski w *Fidelis subditus*, Przyłuski w *Statutach*, uderzają przede wszystkim w filozofię Arystotelesa. Zygmunt I, który zakazem r. 1534 udawania się na uniwersytety zagraniczne wsparł poniekąd krakowski, który w r. 1535 przed wykluczającym plebejuszów usposobieniem szlachty, z mieszczan przeważnie złożoną instytucję osłonił przywilejem szlachectwa, nadanym kollegiatom, w r. 1543 cofnął zakaz wyjazdu za granicę, z kąd teraz przez wykształcenie sił lepszych i sprowadzenie profesorów episkopat spodziewał się jedynego Uniwersytetu podźwignięcia.

Objawy Uniwersytetu świadczą, że walka zamiast osłabnąć, zmocniała; że podziemnie, nieznacznie przeszła w fazę religijną. Młodzież uniwersytecka, mająca w każdym mieście wielką na objawy czasu czułość,

w kilka lat po ucieczce Jakóba z Ilży, r. 1539, była świadkiem poruszającego do głębi widowiska. Na rynku krakowskim spalił sąd miejski patrycyuszkę Melchiorową z Zalaszowskich Weiglową, i znaczącą patrycyuszkę krakowską, podeszłą w leciech, jako trzykrotnie o judaizm skarżoną, przekonaną i ogłoszoną za heretyczkę przez sąd biskupi Piotra Gamrata. W protokóle wyznała Melchiorowa, że Trójcy Ś-tej nie uznaje, a wyznanie to kazaloby z ostrożnością przyjmować zarzut judaizmu, który zresztą płące się po świecie zachodnim, jako zwrot do Starożytności i hebrajszczyzny, w Piku z Mirandoli, Reuchlinie i Mucyanie, wywołuje polemikę Hogstratena z Preferkornem, ale co najdziwniejsza, w XV wieku, za biskupstwa Lutka z Brzezia, ma wyznawczynię w imię patrycyuszki krakowskiej Morsztynowej. Aryanie polscy przyznali się do swojej Weiglowej, której śmierć księga oficjalatu tutejszego zapisuje w wyrazach pełnych gorącego politowania... Był-że to pojedynczy wypadek, był-że to srogi przykład na pierwszym winowajcy, który nie uciekł, jak Jakób z Ilży? Godzi się wątpić. Puścił Weiglową Tomicki, osądził Gamrat, człowiek którego życie nie lepsze od reputacji, chociaż niezawodnie lepszą głowa. Tacy ludzie, z góry prawie powiedzieć można, dają złemu długo bezkarnie urastać, aż kiedy ich skompromituje, gdy opinia przeciw zaczyna, przesadzają nagle w ostrości środków. Tuż po spaleniu w maju jedzie Gamrat na Synod Piotrkowski Latalskiego, Hozyusz pisze mu mowę, mowę wzywającą potężnymi słowy duchowieństwo wyższe do poprawy obyczajów i gorliwości pasterskiej. „Te przyszły na nas czasy, że nie ma błędu tak niepobożnego, któryby nie miał swoich chwalców. Niech dowodem będzie kobieta, spadła w dyecezyi mojej na taki stopień nieprawości heretyckiej, że żaden z heretyków dotąd tak okropnie nie zbłądził. Gdyby na czas leczono jej duszę, nie byłaby do końca wytrwała w swoim okropnym uporze. Konniwencyą to tych, co przedemną dyecezyą rządzą; duch jej tak się zatwardził, że wolała śmierć raczej, niżli zdania swego odwołanie. Ale gdybyż ta jedna kobieta uległa srogiemu błędowi; okropnem jest, co mi ciągle donoszą i co niebawem na jaw wyjść może. Naszym to brakiem pilności zabijamy dusze; gorliwszemi są wilki w ich porywaniu, jak my pasterze, w bronieniu.“

Statutów Synodu r. 1539 ogłoszonych dotąd nie mamy. Wszakże mowa Hozyusza prowadzi nas w samo jądro ówczesnego położenia. Był to czas trzeciej z kolei warstwy ludzi epoki Zygmuta; po śmierci Łaskich, Tomickich, Krzyckich nastąpiła epoka Latalskich, Gamratów, Górków, Wolskich, Izdbieńskich, Dzierzgowskich, wyłącznie prawie Bonie zawdzięczających wyniesienie swoje. W czasach groźniejszych curaz episkopat schodzi na zaopatrzenie dygnitarzy i sług królewskich,

jest przedmiotem targu. Łukasz Górka, pięćdziesięcioletni, spuszczaąc synowi województwo poznańskie, zostaje biskupem kujawskim; Gamrat prawniczemu wykształceni i względem królowej wyniesienie zawdzięcza, o innych mało, niestety! dobrego powiedzieć można. Cechą ich główną, powszechną, brak wszelkiej kwalifikacyi do urzędu, który zajmują, brak studyów teologicznych, brak znajomości kanonicznego prawa. Za takim przykładem z góry idziy ześwieczczenie duchowieństwa, garnięcie się świeckich do tłustych beneficyów za jednym szlachectwa przywilejem, garnięcie się nawet do opactw nie-mnichów i nie-księży, noszenie sukni świeckiej i broni przez duchownych, wejście ich w społeczeństwo religijnie zachwiane z polem nowocześniejszych opinij o rzeczach Kościoła, z nowościami literackimi zagranicznego odszczepieństwa na ustach. „*Legit libros Lutherianorum, suspectae fidei,*” oto, co z ust kompetentnej opinii czytamy o nich—biskupach. Na dole zaś, w niższych warstwach duchowieństwa, w tych szeregach, gdzie znajdowały się najrzeczywistsze zasługi, nauka, dawna wzorowość obyczajów, nie prowadzące do stopni wyższych, jeśli szlachectwa brakło, i znowu zaniedbanie i upadek, skutki złego dozoru, chaos musiał być równie wielki, równie groźny. Grzmiał ztamtąd głos kaznodziejów: Jakóba z Kleparza, Jana ze Lwowa, Stanisława z Łowicza, ucznia Sakrana i humanisty, Melchiora z Mościsk, Łukasza Aquilina, o których żarliwości i groźnych przestrojach cuda opowiadają nam współcześni. W r. 1540, w sam dzień Wielkanocy, nieznaną zakonnik wpada na ambonę katedry krakowskiej, opowiada, że Bóg objawił mu ruinę Kościoła i społeczeństwa, wywołaną zbytkiem zepsucia i występków. Sprowadzają wizyonera z ambony, dowiadują się, kto jest; dowiadują, że nietylko przyzmysłach i rozumny, ale człowiek wysokiej świętobliwości. We wnętrzu dusz najszlachetniejszych niepokój, boleść, przerażenie rośnie w nieskończoność. Zwrot przeciwko niedobrym sługom Kościoła w słowie duchownem nieunikniony prawie, on nadto miarą powodzenia i popularności kazania i oto dzieje się, że kaznodzieje młodszy występują z piorunującymi mowami, a w mowach tych odbrzmięwa słowo i myśl Lutra, jak u Wawrzyńca Dyskordyi, u Leonarda Dominikanina. Zdarza się i to, że kaznodzieja, jak Łukasz Aquilin, dowodzi prymatu Stolicy Świętej, a doznaje jawnych oznak niezadowolenia od Leonarda Słończewskiego, biskupa Kamienieckiego. Stan prawdziwie rozpaczliwy, w którym powaga, nie umiejąc być powagą, szuka popularności; podwładni, pragnący powagi, muszą z tą walczyć, która istnieje. Ten też stan prowadzi nas do zrozumienia, dlaczego Hozyusz mógł być w tak bliskich i serdecznych stosunkach z Azianem i Janem Łaskim, późniejszym reformatorem kościołów protestanckich w Fryzyi, a podówczas kanonikiem

krakowskim; że widząc, co się dzieje, widząc bezwładność Rzymu ówczesną, woła w r. 1541: ależ pchają nas chcących niechających do Lutra!

Jaki też duch wieje tam, z góry, od dworu starzejącej się coraz i coraz gorszej królowej Bony, jaki w najwyższych sferach inteligencji w kołach najwytworniejszego humanizmu — zobaczymy. Tu uzupełnić nam jeszcze należy obraz stwierdzeniem, że Bona, owa piękna jak obraz Leonarda de Vinci księżniczka medyolańska, córka nieszczęśliwej wdowy po Franciszku Sforzy, Izabelli, odprowadzona do Krakowa przez głośnego Prospera Colonnę, uchodzącego za kochanka jej matki, opiewana kolejno wierszami łacińskimi przez wiedeńskich i krakowskich humanistów, wcześniej bardzo, bo już od roku mniej więcej 1522 czynnie mieszająca się we wszystkie sprawy państwa, zmieniająca obyczaj i ton dworu, ściągająca Włochów, od księży poczynając a na lutnistach kończąc, żeniąca Polaków z Włoszkami, wniosła do Polski czynnik cywilizacji italskiej w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu, a w nielepszym od Kalimachowego gatunku. Jej niezawodnie zawdzięczamy renesans w zabytkach architektury, renesans, który własnych nie zbudził rzemieślników, a dalszy rozwój rodzimej sztuki mieszczańskiej uchylił; jej zawdzięczamy przyczynienie się do utworzenia tego *medium*, z którego wyrósł *Dworzanin* Górnickiego, jako pendant do Cortigiana Castiglionowego, jej atoli także podziękować musimy za ten pociąg magnetyczny który wiódł do Polski reformatorów religijnych włoskich, idących dalej i radykalniej, niż kiedykolwiek szedł Luter. Liberalnym był dwór Bony i królowa sama w rzeczach religii, czy kiedy chodziło o jawnego heretyka, jak Aleksander Sculteti, kanonik warmiński, czy o nominacje biskupów niezbyt kanonicznych, a zadufanych nad miarę w wpływy swoje włoskie u Kuryi Apostolskiej. Niewyczerpana w środkach władania i mącenia, otoczyła ona szczególną opieką zakon Franciszkański w Polsce, szląc mu komisarzy nadzwyczajnych z Włoch, uchylających się z pod biskupiej jurysdykcji. Takim około r. 1537 był Marek z Turreveneto, takim od r. 1540 Franciszek Lismanino, spowiednik królowej. Mieli oni być reformatorami klasztorów w myśl społecznie we Włoszech objawiającego się ruchu; o Lismaninie wiemy tylko, że reformy w klasztorze Ś-go Andrzeja daleko nie doprowadził, bo tylko do nieustannych sporów z zakonnikami. Ale i Franciszkanie już w r. 1540 zarzucili mu wprost odszczepieństwo. Niedaremnie! Kazania Bernardyna Ochio, głośnego kaznodziei kapucyńskiego z Sieny, protegowanego Vittorii Collonny, które sprowadziły nań proces w r. 1541 i rzuciły na drogę odstępstwa, kazania udzielone mu przez Bonę, miały wedle Lubienieckiego rzucić Lismanina w grono ludzi, których między rokiem 1545 a 1548 za

protoplastów ruchu reformacyjnego uważa. Jestto Jan Trzycieski, poeta łaciński i grecki, Bernard Wojewódka, księgarz; Jakób Przyluski, pisarz grodzki, Andrzej Frycz Modrzewski i kanonicy krakowscy; Jakób Uchański, później arcybiskup gnieźnieński, Fl. Zebrzydowski, później biskup krakowski! Wątpimy, aby tego potrzebował Lismanino, a stwierdzamy tylko, że z tej kuźni wychodziły kazania Franciszkanów Franciszka i Wojciecha Litwinów, kazania Opoczny, Jana Szoldrskiego i Jana z Koźmina, że cecha rozmów, którą prowadzono, a które Lubieniecki podaje, była wyraźnie aryańska, spokrewnioną z dążeniami, Ochina, Serveta, Socyna i tak zwanej Wincentyńskiej szkoły różnowierczej.

Taką przybierają rzeczy postać, gdy Zygmunt Stary, w leciech podeszły, coraz bardziej do grobu się chyli, gdy na stolicy krakowskiej po zmarłym Gamracie zasiada podkanclerzy Samuel Maciejowski (1546), gdy powszechnem jest mniemanie, że wcześniej lub później, niedalej jak ze śmiercią króla, do przewrotu politycznego i religijnego w Polsce przyjść musi. Pogodna i szlachetna twarz Samuela Maciejowskiego, piękna acz miękka i delikatna raczej, niż silna postać Zygmunta Augusta, zwracają oczy wszystkich na siebie. Pierwszy, niepodejrzany w rzeczach wiary, wysoko wykształcony, wobec dworu Bony samodzielnie zachowujący stanowisko, nie tai się, że wizyty biskupie i poprawa obyczajów duchowych powinny być podstawą i początkiem zwrotu na lepsze, wskazuje też wyborną okazję odzyskania sympatii mas przez uczynki miłosierdzia wobec nędzy wywołanej dwuletnim prawie głodem i pomorem. Budzi on powszechne zaufanie i szacunek. Drugiego, jak zwykle następców tronu, wiążą z myślami reformy religijnej i politycznej: otoczenie jego, kaznodzieje gwałtownie na kler powstający, upoważniają do tego poniekąd. Na sejmie roku 1547, niecierpliwa Izba poselska przez usta Łupy Podlodowskiego, ledwie nie wyraźnie wypowiedziada królowi w oczy, aby przestał panować. Biedny 80-letni starzec zaczynał od zwycięstw, od rozbicia groźnej koalicji austriackiej, od całego szeregu proponowanych reform, cofnął się już r. 1515 z polityki dynastycznej przeciw Austrii, w roku 1525 z polityki jedynie zdrowej wyrzucenia zakonu aż do ostatnich jego, zlutrzających epigonów. Panował lat 41, obejmując kraj zawichrzony a pozostawiając go w przededniu wielkich religijno-politycznych rewolucyj. Był pracowitym, dobrej woli i uczciwym, był przyjacielem moderacy i półśrodków, pokoju i medytacyi, jak prawdziwy uczeń humanizmu. Śledząc go w Tomicynach, widzi się, że nie umiał być twardym i iść wytrwale wbrew ludziom, co go otaczali, ale umiał się zaciąć przeciw jawnemu złemu, nawet wbrew Bonie, gdzie było mężowi najtrudniej. Jakich miał ludzi,

widzieliśmy; przypuszczać też można, że nieraz Łaskiego żalować musiał. Nic łatwiejszego, jak zrobić go kozłem ofiarnym za wszystko zle jego wieku, lepiej jednak podobno rozdzielić winę między niego i wiek. Zrozumie się wtedy, że o zbawieniu społeczeństwa nie decyduje sam rozum, same zbawienne projekta, trafne widoki, nawet dobre chęci, decyduje moralna siła, która rozumowi zbawiać, zbawiennym projektom wcielać się, trafnym zapatrywaniom zwyciężyć pozwoli. Zrozumie się wtedy, dla czego kochali go i szanowali współcześni, odbijającego na tle tego wieku pobożnością, poczuciem godności królewskiej, najlepszą chęcią w każdym kierunku, uczciwością od niepobożnych, od ciasnych utylitarystów, od ludzi złej wiary i przewrotnych środków, od chciwców i pragnących tylko użycia i zadośćuczynienia ambicyi. Myśl też strudzona widokiem czasów tych do gruntu zawichrzonych ludzi, którym zabrakło dawnej podstawy, a nowej sobie nie zdobyli, najsmadniej jeszcze, spocznie przy tem sercu, które pozostało czystem i szlachetnem, które, jeśli bezsilnem było wobec potęgi złego, nigdy nie było na nią nieczułym, a ponad tę orgię szlachecką wyłącznego opanowania Kościoła i jego dygnitarstw, orgię zgubną, rzucić umiało słowa danego Uniwersytetowi przywileju: lepiej własnemi chlubić się czynami, jak zasługami przodków, ani mniejszem to szlachectwo, które się własną nabywa cnotą! Ktokolwiek też widział, jak w czasach burzliwych najwytrwalsze osobistości zachowawczego zadania nie zdołają wstrzymać biegu wypadków, kto pomni, jak kończy Karol V, stokroć w siły zasobniejszy, ten zdoła zawsze policzyć Zygmunta do dodatnich postaci naszej historyi i powiedzieć o nim, co mówi kaplicy Jagiellońskiej napis: *Beati, qui in Domino moriuntur.*

(D. c. n.)

PRZEGLĄD

LITERATURY POLITYCZNEJ W NIEMCZECH.

(ROK 1878 i 1879).

- 1) Gneist. — Gesetz und Budget. Constitutionelle Streitfragen aus der preussischen Ministerkrise vom März 1878. Berlin 1879.
- 2) Lorenz v. Stein — Rechtsstaat und Verwaltungsrechtspflege — Zeitschrift für das Privat- und öffentliche Rechte der Gegenwart. Wien 1879.
- 3) Froebel. — Die Gesichtspunkte und Aufgaben der Politik. Eine Streitschrift nach verschiedenen Richtungen. Leipzig 1878.
- 4) Maurus. — Der moderne Verfassungsstaat als Rechtsstaatkritik. Heidelberg 1878.
- 5) Unger. — Ueber die Gültigkeit von Staatsverträgen. Zeitschrift für das Privat und öf. der Gegenwart. Wien 1879.
- 6) Felix Stoerk. — Option und Plebiscyt bei Eroberungen und Gebietscessionen. Leipzig 1879.
- 7) Strauch. — Zur Interventionslehre. — Eine voelkerrechtliche Studie. Heidelberg 1879.
- 8) August von Miaskowski. — Die schweizerische Allmend in ihrer geschichtlichen Entwicklung von XIII Jahrh. bis zur Gegenwart. Leipzig 1879.

Każdemu zapewne znanym jest często powtarzany ogólnik: iż literatura odzwierciadla wiernie ducha swego narodu, i przechowuje wszystkie właściwości, oraz dążenia, jakie się wytwarzały wpośród społeczeństwa. Zdanie powyższe nie znosząc bynajmniej swobody indywidualnej i nie krępując twórczości autorskiej, sprawdzało się bezwątpienia i w dziedzinie nauk państwowych. Życie codzienne ze swemi nieustającymi nigdy potrzebami i pragnieniami, pozostawało w tym jak i w innych kierunkach w nieustannym związku z nauką, pobudzało myśl

ODRODZENIE I REFORMACYA W POLSCE.

PIĘĆ ODCZYTÓW PUBLICZNYCH
JÓZEFA SZUJSKIEGO

W ZIMIE R. 1880.

(Ciąg dalszy. Zob. Zeszyt 134)

IV.

Wypadek prywatnej natury w życiu młodego Zygmunta Augusta, jeżeli coś prywatnem w życiu panujących zwać można, wpłynął stanowczo na pierwsze lata jego panowania i opóźnił wybuch burzy reformacyjnej. Król ożenił się potajemnie z Barbarą, wdową po Gasztoldzie, wyznał to przed ojcem podczas sejmu ostatniego za jego życia, pozyskał wczesnie pomoc Samuela Maciejowskiego i Jana Tarnowskiego dla faktu dokonanego, gdyby go miano atakować. Zaatakowano go: zaatakowała Bona, Górka w Wielkopolsce, Kmita w Małopolsce, zaatakował episkopat z arcybiskupem Dzierżgowskim na czele. Ci pierwsi nie bez głębokiej przyczyny. Jeżeli Maciejowski, Tarnowski i Radziwiłłowie chcieli wyzyskać korzystne położenie młodego władzcy, który nie potrzebował być ani wybrany, ani koronowany, bo był już jednym

i drugim, to wszystkim mącieliom, a i wszystkim zmian pragnącym pożądanem być musiało zaatakowanie króla o małżeństwo, aby od niego wytargować jak najwięcej, aby zakwestyonować nawet objęcie władzy przez niego. Najsmutniejszą niezawodnie rola duchowieństwa w tej grze; duchowieństwa występującego przeciw nierozzerwalności małżeństwa, biorącego grzech rozwodu na siebie i obiecującego rozdzielić winę na głowy królestw; alez nie będziemy się dziwili, wiedząc, jaka była jego od Bony zależność. Bądź co bądź, król śmiało postawił czoło burzy, a w jego ewangelicznych dykcjach, których w obronie małżeństwa używa, w jego zachowaniu się pełnem godności i energii, w społecznem oddaleniu kaznodziejów Wawrzynca Dyskordyi i Jana z Koźmina, w użyciu i wyniesieniu Stanisława Hozyusza, widać wpływ spokojnego a mądrego biskupa krakowskiego Maciejowskiego. Król młody starał się dla biskupa o kardynałstwo w Rzymie; z planem tym wiązały się zapewne daleko sięgające reformy kościelne. Ale duszne od zamieszki religijnej powietrze gęstniało z dniem każdym, a król miał się znaleźć niebawem wobec nowego sejmu, wobec pierwszego radykalniejszego wytoczenia sprawy religijnej na tym sejmie.

Zbliżającą się burzę poprzedziły złowróźbne ptaki. W nocy z dnia 14 na 15 Maja 1549 r. przyszło do sławnej burdy studenckiej z ludźmi kanonika Andrzeja Czarnkowskiego, później biskupa poznańskiego, w szkole probostwa Wszystkich Świętych. Zabito w niej studenta Jerzego z Pienian. Nazajutrz insultowano dom kanonika. Studenci szukali sprawiedliwości: nie wymierzono jej, natomiast uwięziono kilku ekscedentów. Studenci zgromadzili się więc dnia 4 Czerwca w kościele Ś-go Floryana, gdzie po nabożeństwie śpiewając: *Ite in verbum universum!* opuścili uniwersytet. Przywódczą miał być Marcin Głosa; wraz z nim giną nam ekstranei: Stanisław, syn malarza, krakowianin, Walenty z Królewca, Sebastyan z Wrocławia, Stanisław z Pilzna, Józef Konarzewski, Stanisław Rosatus. Emigracya nie była powszechną, jak późniejsze podają źródła, przypadła zaś na świeże reformy biskupa krakowskiego, między innymi na usunięcie zastarzałych dysput, a zastąpienie ich t. z. progimnastami, przy których wyjaśnianie autorów dobrej sławy (*probat*) miało być głównem zajęciem.

Jeżeli ten wypadek miał niezawodnie przyczynę w tarcu, jakie między wyższem duchowieństwem a najdrażliwszą częścią ludności, młodzieżą, istniało, to inne niemnziej znaczące zapowiadały groźny wybuch. Napaści na księży ponawiają się; procesy wyśmiewające obrzędy kościelne włóczą się podczas karnawału r. 1549 po ulicach; dotknięta kłątwa o grabienie dziesięcin, szlachta ostentacyjnie wchodzi do kościołów

podczas nabożeństwa, a znany nam już Jakób Przyłuski w kościele Ś-go Michała głośno protestuje przeciw bulli jubileuszowej. Mikołaj Oleśnicki z Pińczowa i Mikołaj Lasocki z Pelcznicy pierwsi profanują kościoły i wprowadzają do nich różnowierczych ministrów. Zatargi z wyklętym o dziesięciny Hieronimem Ossolińskim nie ustają; sypią się pozwy duchowne; Dziaduski, biskup przemyski, grozi klątwą Stanisławowi Orzechowskiemu, gdyby ogłoszony zamiar ożenienia się chciał przywieść do skutku. W Wielkopolsce domy najznakomitsze przyjmują gościnnie wygnanych z Czech braci czeskich. Zgromadzone w Kwietniu r. 1550 sejmiki huczą od programów politycznych i krzyków na duchowieństwo. Chaotycznie, ale potężnie wysuwają się ludzie, wyrastają i objawiają się myśli, które niebawem całe panowanie Zygmunta Augusta napelnią: Mikołaj Sienicki, Hieronim Ossoliński Chełmianie, Sierakowski i Krzycki Wielkopolacy, za nimi z księgą praw, świeżo powtórnie zredagowaną, ekscedent w kościele Ś-go Michała Jakób Przyłuski, pisarz grodzki krakowski, Stanisław Orzechowski jego przyjaciel. Egzekucya polityczna, społeczna, ekonomiczna, religijna, rysująca się już od r. 1537, stem różnorodnych artykułów, gravaminów, desideratów w instrukcyach sejmikowych, jako program szlachecki rusza z rozwiniętą chorągwią na sejm majowy piotrkowski. Dwa lata temu, kładziono w pierwszym jej artykule oddalenie Barbary, robiono z niego ultimatum, bo tak chciała zręczna Bony i Kmity intryga; teraz oekniono się, spostrzeżono, że król tylko zmocniał, że dotąd nic nie przyrzekł, że zawiera sojusz na własną rękę, sądzi i rządzi, jak mu się podoba, a nawet zbytnie po stronie duchowieństwa staje. Ze społeczeństwa długo wodzonego na pasku, ale burzonego ustawnie przez przewrotny dwór Bony, ambitnych, możnych, przez nowatorów młodych, kształconych na humanizmie i myślach religijnej reformy, powstaje zbiorowe dążenie do jakiegoś ideału samorodnego, improwizowanego wśród największego galimatyaszu dawnych i nowych pojęć, starej tradycyi i nowych aspiracyj. Księga Jakóba Przyłuskiego i artykuły 1550 r., domagające się między innymi jej w świat puszczenia, są tego ciekawą pamiątką.

Koło wspomniane w r. 1546 przez Lubienieckiego, koło zgrupowane około Trzycieskiego, Wojewódki, Przyłuskiego, Frycza Modrzewskiego, Uchańskiego, Lisnanina, koło, z którym Orzechowski ma niezawodnie blizkie i serdeczne relacje, rusza się, działa. Jestto koło religijno i politycznie rewolucyjne, koło humanistyczno-reformatorskie. Wszyscy jego uczestnicy bez wyjątku są świetnymi łacinnikami i zwoleńnikami klasycznej literatury, wielu z nich helenistami i hebraistami, poetami łacińskimi nieposledniej wartości.

Ale nie tylko wykształceniem, ale i całą moralną stroną wiążą się oni z humanistami. Ta sama u nich pewność siebie, gorliwość w szerzeniu nowych myśli, w pukaniu wszędzie, polecaniu dzieł swoich dydakcjami; taż sama dworność i zamilowanie roli polityków-sufferów; taż sama wzajemna admiracja, granicząca często o miedzę z gwałtownym poswarkiem; tenże sam w gruncie epikurejski pogląd na życie; taż sama emancypacja ciała i jego namiętności, a po za tem wszystkim niepokój wewnętrzny, zmienność wyobrażeń religijnych, czasem jakaś melancholia, występująca nagle po wesolej biesiadzie z dobrymi towarzyszami lub gwałtownej dyspacie. W przeciwieństwie do tych, z którymi walczyli, owych pogodnych i okrągłych humanistów na tłustych beneficjach, żaden z tych ludzi nie robi karyery, nie przechodzi nawet granic teoretycznej szermierki; giną, można powiedzieć, bez wieści i śladu, i przypadkowo tylko odnajduje się datę ich śmierci; ztąd ochota bierze taka brać ich za ludzi i męczenników idei, za niepamiętających o sobie, za prześladowanych. Ależ nie! męczennikiem żaden z nich nie został, w nędzy żaden z nich nie umarł; poginęli oni w tej bujnej walce z samymi sobą i z zadaniami, które sobie postawili, spalili się pełnią życia i użycia pełnią, wtrącili w labirynty religijnej dyskusji bez końca, rozbili niemożnością wynalezienia równowagi dla siebie i drugich. Ludzie genialni bez dzieł genialnych i czynów geniusza: kategoria bardzo w Polsce zawsze bogata w egzemplarze i podbudzająca nas do świetnych a niespełnionych nadziei.

Pierwszym w tej kolei Przyłuski, pisarz grodzki krakowski. Widzimy go schylonego nad księgą inskrypcyj, ważącego w głowie swoją nową kodyfikację z komentarzami i piszącego łacińskie wiersze na marginesach lub pod terminami :

Cześć to niemala bracie szlachetę sądzić,
 Sędzią być ziemskim razem i pisarzem,
 Wolałbym jednak, by Bóg rozporządzić
 Raz zeżleciał wielkim praw mych komentarzem;
 Gdyby raz wiecznej to zasługi dzieło
 Dla czei potomnych gotowe stanęło...
 Niestety, znowu zbliżają się roki,
 Do stóp sędziego obwinion się wlecze,
 A ja znów widzę, jak szybkimi krokami
 Muza odemnie i chwala nieciecze.
 Gdyby był sędzią, Mantuo, wieszcz twój luby,
 Nigdyby trojań nie opiewał zguby.
 Ja, równie jemu stawy upragniony,
 Czemuż w te smętne zagnałem się strony?
 Czemu karmiony Muz nadzieją marną,
 Na melancholię tu umieram czarną,

Robię, co nie chcę, czego chcę, nie robię,
 Z wolą i czynem staczam ciągle boje: ...
 Oto wędzidło skarg nalożę sobie
 I lepszem jutrem złe dzisiaj ukoję!

Gotowiśmy mniemać, że to melancholiczna, blada, chuda postać siedzi nad księgą sądową. Pociesza nas Andrzej Trzycieski:

Ktokolwiek spojrzysz na tę twarz dostojną,
 Na pierś szeroką spojrzysz u Jakóba,
 Zdziwisz się pewnie, jak Kamena luba
 Na tym tłuscioczu kładzie skroń spokojną!

Potężna też tylko fizyczna organizacya podolać mogła obojej pracy. Już w r. 1548 wydał Przymusi pierwsze swoje Statuta, które nań uwagę zwróciły; dzieło w porównaniu z drugim wydaniem kuse, niedonoszone, mnóstwo braków mieszczące; w r. 1550 już miał w rękopiśmie drugie, obszerne wydanie, około którego niemały musiał być hałas, skoro na sejmie domagano się jego wydania i wprowadzenia w życie, skoro król dwa razy kazał sobie pokazywać i zatrzymywał w skutek przestróg „sykofantów“ manuskrypt, aż w r. 1551 dopiero dał pozwolenie druku i polecił je do rozpatrzenia kompetentnym władzom, zakazując wszelkiego przed czasem używania i stosowania. Do autoryzacyi było wtedy zapewne tak daleko, jak zawsze; zarozumiałość tylko stronnicza mogła się z niem natrącać, mogła mieć nadzieję, że tendencyjna kompilacya ustaw, opatrzona w krzykliwe paszkwile przeciw duchowieństwu w kształcie komentarzy, może otrzymać moc obowiązującą; że praktyczną może być książka, mówiąca o wszystkich rzeczach i niektórych innych, jak np. o wybieraniu sobie żony, o zdradliwości kobiet i obchodzeniu się z niemi. Wszakże jako dzieło partyi, prowadzi nas dzieło Przymusiowego *in medias res* ówczesnego religijno-politycznego ruchu. Jako mecenasi lub współwiercy polityczni stoją obok niej Piotr Kmita, Spytek Jordan, Mateusz Stadnicki, Mikołaj Rej, Andrzej Trzycieski, Stanisław Orzechowski. Porównanie pierwszego wydania, nieśmiało tylko tu i owdzie zwracającego się przeciw duchowieństwu z wydaniem drugim, płynącym pełnemi żaglami do narodowego kościoła, oderwanego od Rzymu, uczy, jaki przewrót stał się od 1548 do 1553 roku. Komentarze tego drugiego wydania mieszczą w znacznej części kolej myśli polityczno-religijnej sejmów najbliższych, komplikacyę ustaw polskich z wtętami postanowień synodu bazylejskiego i rzymskiego prawa, większą część podręcznego programu egzekucyjnego izby poselskiej z cechą różnowierczą.

Dzieli się statut Przyłuskiemu na ksiąg sześć: O osobach państwa od króla poczynając, o rzeczach skarbu królewskiego, o prawie cywilnym i karnem, o stosunku państw feodalnych, o rzeczy wojskowej. W tych oddziałach ma Przyłuski sposobność mówić o wszystkim, co się urzędzenia i społeczeństwa państwa dotyczy; księga też jego jest społecznie zwodem praw i szerokim politycznym traktatem. Odnacza się ona przedewszystkiem wysunięciem króla naprzód, jako tego, który królików rządu powściąga, a części Rzeczypospolitej, początkiem, językiem, religią różne, przepisami ustaw w jedności utrzymuje, którego elekcję w jednym i tym samym rodzie przedstawia się prawie jako formalność, gdy się w pierwszym wydaniu ani o królikach nie mówiło i elekcję jeszcze wysoko stawiało. Zkąd taka nagła zmiana, niebardzo szczerą jednak, skoro starannie skodyfikowano tuż obok wszystkie zastrzeżenia praw, przywilejów, wolnej elekcji i wszechmoc sejmów koronnych wysoko postawiono, skoro na tytu innych miejscach czytamy myśl: Król nic nie robi, nic nie zamierza, nic nie mówi nawet, jak to, co z głębi waszej woli na publiczny wyszło widok! Podejrzana jakaś ofiara zmocnienia władzy królewskiej, której ukryty zamiar przeziara już na karcie 23. „Ponieważ imieniem Rzeczypospolitej obejmuje się pożytek narodu w sprawie zbawienia dusz, opieki ciał i własności, widna jest, że król ma posiadać mądrość rzeczy bozkich i ludzkich z przyrodzenia, z nauki i ćwiczenia po nad wszystkich poddanych, jest przywódcą i sędzią!“

Postępowanie więc w myśl narodu i uchwylenie steru rzeczy bozkich, oto warunki *sine qua non*, a myśl ta poparta starym testamentem, prawem rzymskiem i romanizującemi ustępami z statutu Kazimierza Wgo!! Pod warunkiem uznania takiej misji króla, pod warunkiem spokojnego znoszenia ustępów dzieła przeciw Rzymowi, Babilonem zwanemu, niemniej hojnym jest Przyłuski dla episkopatu polskiego, zostawia mu jego prawa, wolności, przywileje, dziesięciny aż do prawa ekskomunikacji, z którą się godzi, byle stanął kościół osobny, królowi poddany. Wtedy oczywiście przydałaby się na katolików! Wszakże niewinne słowa przywileju Unii r. 1401, w których Jagiełło, nawróciwszy Litwę, oświadcza, że poczuwa się do obowiązku zapewnienia duchowego pokarmu tym, nad którymi ziemską dzierży władzę, wyzyskane zostały dla kodyfikacji jako osobny artykuł, dowodzący kapłańskiego urzędu królewskiego. Ba! Przyłuski pomaga królowi w przyszłym dziele, pisze traktat o Mszy Ś-tej i Sakramentach, kresli plan synodów, rozpoznaje heretyków od katolików, Kościół prawdziwy od fałszywego, który nie przestaje nazywać powszechnym i katolickim. Z niepospolitą też zrę-

cznością wyjmuje Przyłuski z synodyków biskupich wszystko, co mu potrzebne, między innymi—reformę uniwersytetu krakowskiego w kierunku humanistycznym, nie cofa się nawet przed umieszczeniem Edyktu Wieluńskiego z r. 1424, byle urząd *świecki* przestrzegal, aby z gorliwości za tradycjami ludzkimi prawdziwa nauka nie była przesładowana! (fol. 170). Tylko edyktu królewskiego r. 1550, o którym niżej mowa będzie, nie zużytkował Przyłuski, bo ten nadto był wyraźnym, aby mógł posłużyć.

Jeżeli episkopat i króla tak zrećnie propaguje, Przyłuski dla nowej nauki niemniej zrećnym jest wobec Senatu. Myśl egzekucyi dóbr królewskich u szlachty popularna, u magnatów znienawidzona, za rodzaj socyalnej egzauktoracyi uważana, u niego prawie niedotknięta, w granicach ustaw dotychczasowych pozostawiona. Natomiast dla szlachty nie brak ponęty: jest podniesienie wysokiego znaczenia jej politycznej roli, jej wyłączności politycznej, jej uprzywilejowania ekonomicznego, jej uprawnienia do dygnitarstw świeckich i duchownych, ze szkodą mieszczan; jest odsunięcie stanowcze miast od roli politycznej, a zamknięcie ich w miejskich porządkach; jest ubrana w piękne słowa zależność kmiecia od pana i teoria o *servitus* rzymskiej stosowana do chłopów - niekmieci. Jest bezwzględne zapewnienie szlachcie uprzywilejowania handlowego wobec mieszczanina, które doprowadziło do ustaw zgubnych dla tego stanu w r. 1565. Program gotowy: wskazanie królowi, episkopatowi, senatowi, szlachcie, że za wykonaniem ustaw polskich w duchu wskazanym nic się właściwie prawie w Polsce nie zmieni, ale za to ulepszy się wszystko, zapanuje ład i porządek, przyczem, jak mówi na jednym miejscu Przyłuski, rzymskiego Papieża uważać można za pierwszego z biskupów Kościoła, byle na tem teoretycznym uznawaniu poprzestać, byle o sprawie religii rozstrzygal król, albo nawet ów starosta, któremu biskup ekskomunikowanego winowajcę dostawi.

Księga Przyłuskiego prowadzi nas więc *in medias res* ówczesnego zamętu pojęć, pochodzącego nieprzerwanym ciągiem od emancypacyjnych myśli Łaskiego i polityki bez zasad r. 1525. Rzecz ciekawa: stary Albrecht występuje w tej księdze jako miły i popularny u stronników myśli politycznej Przyłuskiego, książę; fakt r. 1525 odbiera pochwałę, a z księgi tej czerpiemy wiadomość, że to on, że to Albrecht z posłami ziemskimi r. 1552 upraszał króla uroczyscie, aby sprawę religii wziął w rękę!

Ktokolwiek sobie przypomni nasze przedstawienie stanu Kościoła w ostatnich latach Zygmunta Starego, ten zapewne uzna, jak groźną dla katolicyzmu była myśl, której dał wyraz Przyłuski. Była to zdrada je-

dności z zachowaniem infuł, przyborów, beneficjów, stanowiska, coś, co przypomina przewrót angielski. Któż się jej nie obawia z takim, jaki był podówczas episkopatem? Mogło do niej przyjść r. 1550, mogło r. 1552. Nie przyszło. Przypiszemy to naprzód Maciejowskiemu, który sam jeden z biskupów znalazł się od roku 1548 w przeciwnym, w królewskim obozie, przypiszemy gorliwości kapituły i uniwersytetu krakowskiego, które po jego śmierci z administratorem dyecezyi Janem Przerembskim na czele, wywołały walną radę 27-go Listopada r. 1550, gdzie postanowiono prosić króla o potwierdzenie i wznowienie edyktu wieluńskiego; przypiszemy królowi, który dnia 10 Grudnia po koronacji królowej Barbary, ten edykt wydał. Wszakżeż na sejmie w Maju t. r., na którym król dał generalne przywilejów potwierdzenie i przychylną na wiele artykułów podanych mu odpowiedź, przyjaciel Przyłuskiego, ks. Stanisław Orzechowski, wsparty opieką Kmity i kilku innych senatorów, zapowiedział w drażliwej mowie, że się wbrew swemu biskupowi *ożeni*, a wytoczenie tej sprawy przed sejm było jakby pierwszą apelacją do stanów Królestwa jako duchownego trybunału. Uratował sytuację Maciejowski, odkazując Orzechowskiego po pozwolenie do Stolicy Apostolskiej; ale czyż po tym pierwszym kroku, po wspomnianych wyżej zatargach, nie należało się obawiać wznowienia ataku? Kapituła i uniwersytet przytarli więc arcybiskupa i biskupów obecnych w Krakowie dla koronacji Barbary, aby żądali nowego juryzdykcyi swojej potwierdzenia; król je dał, edykt podpisali Zborowski i Kmita. Zebrzydowski, zostawszy biskupem krakowskim, próbował pierwszy jego doniosłości. Pozwał Konrada Krupkę, Mikołaja Oleśnickiego, Lasockiego o herezyę. Zasady przyszły do starcia w chwili prawie, gdy książka Przyłuskiego była już w całości gotową, bo znaną w manuskrypcie posłom r. 1550.

Starcie to okazało całą słabość duchowieństwa. Ławy łamały się od natłoku szlachty, towarzyszącej oskarżonym na sąd biskupi. Najznakomitsi przywódcy partyi: Marcin Zborowski, Stanisław Stadnicki, Hieronim Ossoliński podjęli się ich obrony. O wykonaniu wyroku przez starostwo miejscowe (gdzie rządził Kmita a sądził Przyłuski), oczywiście nie mogło być mowy. Pozwy szlachcie postawiły ją całą w jednym szeregu namiętnego oporu. Tarnowski stanął po stronie wolności — nie słyszymy o nikim, coby stanął przy biskupach. Ksiądz Orzechowski i Krowicki pożenili się z wielkim aplauzem braci szlachty z szlacheczkami pannami. Wobec takiego stanu rzeczy trzymali się ostro; za ledwie Dziaduski i Zebrzydowski, ów Zebrzydowski, którego znamy Dzierzgowski i inni zwątpili spiesznie — widzieli niemożebność.

Wtedy to zbiera się w Maju r. 1551 Synod piotrkowski, na który

kapituła krakowska układa instrukcję przez członków swoich: Piotra Myszkowskiego, Stanisława Górskiego i Marcina Kromera. Instrukcja ta, której każde słowo jest palącym ogniem, wytyka z największą bezwzględnością wszystkie błędy, wskazuje wszystkie ułomności wyższego i niższego duchowieństwa, wskazuje bezwzględnie wszystkie rany Kościoła w Polsce, wołając poprawy i reform. Benedykta z Koźmina, profesora uniwersytetu poleca jako teologa Synodowi. Żąda jaknajspieszniejszego sformułowania artykułów wiary katolickiej i uroczystej na nie ze strony biskupów przysięgi. Jestto krzyk tradycji kościelnej dobrej, surowej, wiarą i miłością przejętej, krzyk wołający o ratunek. Historyczne źródła nie dają nam przebiegu Synodu, ale domyślać się możemy, jak gwałtownem było starcie wojującego Kościoła kapituł z arystokracją duchowną świeckiego, a zwyczajnie nieszczęśliwego wyboru; domyślać się możemy, jak walczyły pozostałe tradycje Oleśnickiego z szlachecko-magnackim Kościołem rządowym, synowie mieszczańscy Hozyusz i Kromer z tymi, którym jako mieszczanom ułatwioną była droga duchowych dygnitarstw. Jakoż wyszły z Synodu liczne i zbawienne statuta, wyszło utwierdzenie biskupów na drodze dalszego z społeczeństwem o różnowierstwo boju, wyszło nowe związanie ich z Rzymem, wyszło sformułowanie wiary—*Confessio fidei* pióra Stanisława Hozyusza, które musiało być na czasie, skoro do r. 1573 doczekało się w Europie siedmnastu wydań, w Krakowie, Moguncyi, Dylindze, Antwerpii, Paryżu, Kolonii, Wiedniu, Rzymie, oraz tłómaczeń na język niemiecki, francuzki i włoski.

Pierw, nim Przyluski ostatecznie z druku wyszedł (r. 1553), a w nim owa najniebezpieczniejsza pokusa odpadnięcia od katolicyzmu bez zmiany widocznej stanu rzeczy, Synod piotrkowski zmocnił węzły kościelne, napiętnował istotę odstępstwa, przestrzegł przed polityczno-religijnym prorokiem sądu ziemskiego krakowskiego, udaremnił zdradę jedności katolickiej, podsuwaną przez prawodawcę humanistyczno-różnowierczego koła.

Jednego atoli zrobić nie mógł: nie mógł z gruntu odmienić ludzi na czele Kościoła stojących. Sejm r. 1552 cały zeszedł na swarze religijnym, na wytoczeniu sprawy o edykt r. 1550. Król zachował się wzorowo: oświadczył, że duchowieństwo praw jego dochować musi; ale gdy biskupi wyrok Dziaduskiego, na Orzechowskiego o bezprawne i skandaliczne śluby małżeńskie wydany, uchylając, zawiesili sprawę do orzeczenia Stolicy Apostolskiej, cóż dziwnego, że w jurysdykcyi nad świeckimi kroku dotrzymać nie mogli, skoro cały Senat świecki z szlachtą się połączył! Napróżno Zebrzydowski mianowany biskupem krakowskim,

nucił używaną do dziś dnia przez konserwatywnych racjonalistów piosnkę, że na religii stoją społeczeństwa i państwa, że z upadkiem powagi duchowieństwa królewska i senatorska upadnie: nie dano sobie wytłómaczyć, żeby do tej powagi potrzebną była jurysdykcya. „Czemże będę, gdy jurysdykcyi mieć nie będę, rzekł Zebrzydowski: „biskupem, czy woźnym?“ Łatwiej tobie, odpowiada Tarnowski, być woźnym, niż mnie niewolnikiem.“ Dozwolić musiało duchowieństwo na roczny interim co do jurysdykcyi nad szlachtą; musiano rozszerzyć go do poddanych szlacheckich. Ale w rzeczy najistotniejszej, w sprawie wiary, sejm r. 1553 wyszedł po za Przyłuskiego insynuacye. Sprawę wiary zawieszono do orzeczenia powszechnego koncylium; na koncylium to przeznaczono posłów. Byli to dwaj biskupi podejrzanej wiary: Drohojewski i Uchański, był Stanisław Tęczynski, wojewoda krakowski; towarzyszyć im miał z woli królewskiej sekretarz króla, Andrzej Frycz Modrzewski. Jeżeli też chodzi o atmosferę duchową, która mogła otaczać sejm roku 1552, Modrzewski prowadzi nas w jej tajniki, jak Przyłuski w atmosferę 1550 r. Minęło na teraz niebezpieczeństwo zdradliwego, chyłkiem przeprowadzonego zerwania z Rzymem; koncylium trydenckie stało na pierwszym planie, a więc apelacya do Papieża, do powszechnego Kościoła.

Wyższość Modrzewskiego nad Przyłuskim jest w szerokości jego poglądów, w otwartości i bezwzględności jego słowa. Zaczął od mów przeciwko mężobójstwu, gdzie z szlachetną werwą domaga się powściągnięcia swawoli szlacheckiej, lekceważącej życie ludzkie (1544 i n.), odsłonił przyłbicę swoją co do dążeń kościelnych w mowie: *De legatis ad Concilium christianum mittendis* (1546). Rzuca tam pierwsze myśli republikańskiej, reprezentacyjnej organizacyi Kościoła; chce, aby Synod, wybierający posłów na koncylium, przystępnym był ludziom świeckim; chce, aby ci świeccy rozprawiali tam o religii; chce, aby i świecki posłem na koncylium mógł być wybranym. Myśl nienowa, poruszana w Niemczech od r. 1524. Modrzewski umieścił dalsze jej rozwinięcie już przy pierwszym wydaniu swego dzieła „O poprawie Rzeczypospolitej“, ale wstrzymała je obawa „ludzi dobrych a trwożliwych“; dopiero więc w r. 1553 puszcza je z dedykacyą Zygmuntowi i posłom na koncylium, którym towarzyszyć nie chce. Weźmiemy go jako reformatora w całości, przypatrzymy się głównym jego myśli zarysom. Szczera to i szlachetna natura; popularności nic nie poświęca; jak Przyłuski, ostatniej myśli nie zakrywa. Nie poczytamy go ani na chwilę za monarchistę, nie poczytamy za bezwzględnego szlachty przyjaciela, nie przypiszemy mu dążeń wzmocnienia władzy królewskiej; doktryner to tylko humanistyczny

z pojęciem Rzeczypospolitej w głowie, przez króla rządzonej, króla określonego i senatem i radą przyboczną, i trybunami ludu—posłami ziemskimi, z odrzuceniem głosowania większością, któraby zdanie rozumne mogła skazać, z dozorcami obyczajów i małżeństw z starożytności wziętymi, z jedną też zaledwie myślą dodatnią, jasną: niedożywotności i elekcyjności urzędów. Moralista, wypominający szlachcie bezpożyteczne przedłużanie sejmów, przemilczanie sprawy najkonieczniejszej: równej na mężobójców wszelkiego stanu kary, ucisk ludu, zagarnianie beneficjów duchowych zdolniejszym i cnotliwszym, zbytek i zniewieściałość, gwałtowność i niemilosierdzie dla ludu. Równe prawo, równe podatki, potrzeba skarbu publicznego, potrzeba kolonij wojskowych w Ukrainie, chylenie się ku sukcesyjnej monarchii — oto reszta najwybitniejszych i jemu właściwych myśli. Między jego poziomem umysłowym a poziomem czynników politycznych, różnica wielka i stanowcza, na jego korzyść. Toż samo powiedzieć można o jego pierwszej o Kościele księdze. Nie idzie za zdradliwą Przyłuskiego myślą: jedność Kościoła umie ocenić i uszanować, buduje go z dołu elekcyjami księży z ludu, biskupów z księży, papieża z kardynałów i biskupów wszelkiej narodowości, staje silnie przy wyższości koncylium w myśl płaczącej się z hasłem po świecie bazylejskiej doktryny, chce, aby to koncylium objęło wszystkich: chrześcian, greków i rzymskich, chce, aby się rozprawiło z heretykami, aby wezwało świeckich, sam podaje mu materyał w roztrząsanych naj-falszywiej tajemnicach wiary, stając przy przy zupełnem Ojców Kościoła i tradycyi kościelnej odrzuceniu. Czuje się, że błędne kolo go porywa, że resztę życia przepędzi na walce o naukę Chrystusa, interpretowaną ludzkim rozumem wśród piekielnego gwaru tysiąca sekciarzy; czuje się, że ten duch racjonalistyczny, ale gorący zaprowadzi go do arianów, ale szanuje się go w tej walce, bo czuć pod nią to szlachetne serce, co się oburza na złe wieku, co się oddaje pięknemu marzeniu: że lepszymi będą ci, którzy wyjdą z wyboru tłumów, aby rządzić łodzią Chrystusa, że z tych wyborów wytworzy się najwyższy rozum, najwyższa cnota, najwyższe miłosierdzie ludzkie! Zapomina o jednej podstawnej, odwiecznej prawdzie: że człowiek pohopniejszy do złego, niż dobrego, że w tłumie przeważa złe nad dobrem, że *vox populi vox Dei*, ale tego Boga, który uczynił człowieka takim, a więc i tłum takim uczynił, który człowiekowi i tłumowi dał instynkt dobrego, a pierwiastkowi powagi: nielicznym, nielumnym, wolno i spokojnie myślącym, wszędzie i zawsze, a cóż dopiero w sprawach najwyższych zagadnień człowieka i społeczeństwa, pozostawić musiał zadosyćuczynienie temu instynktowi!

Myśl koncylium, oczekiwanie koncylium nie zawiesza religijnej zamieszki. Do zebrań jego nie przychodzi, a nawałność rośnie. Cze-

stemi zmianami papieży zbliżamy się do surowego Pawła IV. W Polsce zawieszenie jurysdykcji, wolność, działa przynęcająco na reformatorów zagranicznych; sprowadzony na profesora hebrajszczyzny przez biskupa Samuela Maciejowskiego Stankar, okazuje się być Antytrynitaruszem, Laelius Socynus, mistrz szkoły Wincentyńskiej, odwiedza r. 1551 Lisma-nina w Polsce; Lismanin sam, niedawno przez króla do godzenia Bony z Barbarą użyty, bibliotekarz jego, jedzie w r. 1553 do Wenecyi, Padwy, Medyolanu, Genewy, aby się zetknąć z koryfeuszami herezyi w sprawie polskiego wyznania. Siedzibą nowej nauki na Małopolskę staje się od roku 1550 Pinczów, gniazdo Oleśnickich. Mikołaj Oleśnicki wykrada więzionego w Lipowcu Stankara, gości niemieckich, francuzkich, włoskich wygnańców, zakłada jedną z najwcześniejszych szkół różnowier-czych. Przykład jego znajduje licznych naśladowców. Kto wie, co jest duch przekory w społeczeństwie polkiem, nie będzie się temu dziwił. W Krakowskiem ducha tego przedewszystkiem budził Zebrzydowski. Sam on jeden prawie nie zrzekł się jurysdykcji, na własną rękę na he-rezyę polował, pomocy starostów nie czekał, miał swoich zbrojnych lu-dzi biskupich; szedł w sprawę tem gwałtowniej, tem gniewliwiej, im sil-niej czuł milczący zarzut po drugiej stronie: Ty! przyjacielu i współ-wyznawco reformatorskich zasad! Nie udawało się to, chybiało: w naj-bliższem otoczeniu biskupa, marszałek jego dworu, znany z *Dworzanina* Górnickiego, Bojanowski był w spółce z nowowiercami. Nie udało się, a szlachta oddawała wet za wet. Wypędzano księży z probostw, ob-dzierano kościoły z przyborów, wprowadzano obcych przybyszów, mi-nistrów kalwińskich i luterskich, jacy się nadarzyli. Często nie trzeba było ich szukać daleko; ekstranei uniwersytetu, guwernerujący na pro-wincyi, nadawali się wybornie. Do politycznej dyskusyi nad statutem przybywała religijna nad biblią. Pieczeniarnstwo wędrujących apostołów, kłótliwych, niezgodnych, ale werwy pełnych, zapanowało na wsi. Szlachcic brał na ambicję; zabrawszy uposażenie proboszcza, żywił presbytera, dyskutował z nim, a majątniejszy szkołę przy zborze zakła-dał. Wizyta Padniewskiego dyecezyi krakowskiej roku 1567 straszne odslania spustoszenia. Trzecia część kościołów przynajmniej zamieniła się w zbory; wielką liczbę obsługiwali od czasu do czasu księża włóczę-dzy (*presbyteryi vagi*); osobny znaczny procent odpadał na probostwo administrowane przez świeckich, a od czasu do czasu tylko odwiedzane przez księży. Kumulacya beneficjów w rękach duchowych pozbawiała inne pasterza. Wstrząsnęło się do posad społeczeństwo. Lud biedny bardziej, niż kiedykolwiek, skłonny się okazywał do pijaństwa, próż-niactwa, zuchwalstwa, bardziej też, niż kiedykolwiek, ciążyła nad nim powściągająca ręka pańska. Przeciętnego ducha szlachty maluje naj-

popularniejszy jej przedstawiciel, Mikołaj Rej, którego od roku 1546 spotykamy na arenie politycznej, religijnej i literackiej. Z burzliwych ścian bursy Jerozolimskiej nie wynosi wiele nauki, ale ciekawość wielką; „przegryzować się umie“ samorodny, gruby, dziś ordynaryjnością raziący dowcip, płuca dobre, żołądek Falstaffa bez jego ociążalności; wszędzie spotykany w towarzystwie najznakomitszych ludzi religijno-rewolucyjnego obozu, stanowi jakby antypodę spokojnego, głębokiego, pełnego zebrania Modrzewskiego. Nie święci garnki lepia, powiada sobie ten wyborny typ szlacheckiego samouka i geniusza, Dantem polskim przez różnowierców zwanego, zową przesadą reklamy, jakiej sobie nigdy nie oszczędzili. Dante! pod każdym względem w karykaturze, bo jeżeli weźmiemy język, nie ma w nim postępu od kazań i pism religijnych świeżo odkrytych poprzedników; jeśli chodzi o ducha, nie ma możliwości i podstawy porównania. Ani poeta, ani prozaik, ani filozof, ani teolog, wszystkiego potroszę, a wszystko w małej mierze. Raczej Ulryk to Hutten polski, nie ów chudy, namiętny, wyrzeźwany namiętnościami, rozpustą i gwałtownością, jak tamten, ale zażywny, krwisty, facecyonista, zawsze gotowy do dowcipu, bo zawsze pewien homerycznego śmiechu braci szlachty. I to potężna organizacya fizyczna, imponująca śmiałością i pewnością siebie, niezawodnie daleko więcej niż pismami, które były tylko słabym pełni jego życia odblaskiem. Spotykamy Reja na sejmach, widzimy go tam jako autora wniosków o uporządkowaniu elekcji; gdy posłem nie jest, koło rycerskie prosi go do siebie, zasięga jego rady. okazuje mu uszanowanie. W pismach jego tu i owdzie dotknięte toczące się sprawy polityczne, egzekucyi, skarbu, obrony, unii, polityki zagranicznej, w kierunku właściwym egzekucyonistom, ani wymowniej, ani silniej, jak to czynił Przyłuski lub posłowie ziemscy mówcy: dociec zaiste trudno, czy to gardłowanie tylko i obnoszenie myśli, lepiej przez innych i gruntowniej pojętych, czy to wtórzenie pacierzowi za panią matką, czyli ślad poważnego i głębokiego w nich udziału, a może i inicjatywy. Spotykając się z jego wierszem pod r. 1543 p. t.: „Krótka rozprawa między trzema osobami: panem, wójtem i plebanem, którzy i swe i innych ludzi sprawy wyczytują, a także i zbytki i pożytki dzisiejszego świata“, bierze ochota uważać go przedewszystkiem za rodzaj patryarchy kierunku polemicznego przeciw duchowieństwu, którego mu nie zapomniano nigdy i na którym urosł jak na drożdżach w estymie powszechnej.

Miły wójcie, źle się dzieje,
 Ale się ten ksiądz z nas śmieje,
 Mało śpiewa, wszystko dzwoni,
 Msza nie była, jako łoni

Jutrzni też nigdy nie słyhać,
 Podobno musi zasypiać;
 Odśpiewa ją czasem sowa,
 Bo wzdry księdzu cięży głowa.
 A wzdry przecie jednak łają,
 Chociaż mało nauczają...
 . . . Ksiądz w kościele woła, wrzeszczy,
 Bieczka na ementarzu trzeszczy,
 Jeden potrąca kobiałką,
 Drugi bębmem, a piszezałką
 Trzeci wyciągając szyję,
 Woła — do kantora piję!
 Kury wrzeszczą, świnię kwieczą,
 Na ołtarzu jaja lieczą...

Tak pisał już Rej w r. 1543, jako ulubieniec Bony, jako protegowany Gamrata, trzymający od niego posesyjkę. Składając daty biografii znanej Trzycieskiego z papierami, które widział Juszyński, z reputacją, jaką miał u katolików, a nawet u kalwinów, rozumie się dalszy jego żywot, cały w ruchu, w emocjach, dyskusjach, biesiadach, synodach, sejmach, niezbyt moralnie poprawny, bo zamykano przed nim domy, gdy z czeredą zanadto wesołą towarzyszków i towarzyszek przyjeżdżał. Wśród nieustannych potrąceń, jakie dawało to życie, wśród podrażnienia ambicyi łatwo zdobytą sławą literacką, pojmuje się też, jak powstawały dzieła większe i mniejsze, dyalogi, apoftegmaty, pieśni, Wizerunek, Zwierzyniec, ba! najnaturalniej nawet w świecie Kazania (Postylla) i dzieło o Apokalipsie, bo przecie naprzekór księżom pisał je teolog szlachecki, co wprost wyprawiał maskary po mieście, co w późnym już wieku o napaści Filipowskiego na procesyę katolicką w Lublinie wyrażał się z cynizmem, obliczonym na chwałę śmiałka, której mu też nie poskąpił Lubieniecki.

Wśródki między poziomem umysłowym Reja a wysoką linią myśli Modrzewskiego, najbliższej prawniczych wywodów i adwokackich sztuk Jakóba Przyłuskiego, z biblią w jednej ręce, z statutem w drugiej, z średnim dosyć zasobem wiedzy, pozwalającym np. Solona czynić poddanym Krezusa, króla Lidy, a z dziejów polskich srogi nieraz czynić galimatyas, z wielomownością zabijającą, a przypominającą tautologie Reja, staje nareszcie od r. 1555 emancypowane z pod suflerstwa senatorów stronnictwo reformy polityczno-religijnej, złożone z Mikołaja Sienickiego, Hieronima Ossolińskiego, Jana Sierakowskiego, Krzyckiego, Ostroroga, nakładające izbie poselskiej wędzidło swego teroryzmu, który trwał do 1565 roku. Izba poselska nie wotowała, po odprawio-

nych naradach (tadinkach) szła do króla z mową (rodzajem angielskiego *speaker*), który zwyczajnie z ceduly czytał ułożony przez nią memoryal. Pomimo rozszerzenia się reformacji, nie myślimy, aby stronnictwo, o którym mowa, miało nie już jednomyślność, ale nawet wszędzie większość w kraju; faktem jednak jest, że wspomniani przywódcy nie doczekali się długo (do r. 1565) protestacji, że wota sejmików niejednokrotnie oświadczyły się za nimi, że trzymali w rękę ster rycerskiego stanu. Zrozumie to każdy, co zna łatwość, z jaką polacy ulegają terroryzmowi panującej opinii; zrozumie tem snadniej, że nietylko stan rycerski doznał tego losu, ale że doznał go senat świecki, a w pewnej części i duchowny, wiążący z programem szlacheckim swoje widoki, a przynajmniej bezpieczeństwo wśród burzy.

Stronnictwo to na sejm r. 1555 wtacza sprawę uchylenia różnic około religii na pierwsze miejsce, żąda od króla podjęcia inicjatywy *in saeris*, egzekucya praw staje chwilowo na drugim planie. Koncylium narodowe—oto jego pragnienie: pragnieniem dyskusya otwarta nad dogmatami wiary, rzuca między samouków teologicznych gatunku Mikołaja Reja. Program Przyłuskiego stawał na porządku dziennym trochę zapóźno. Biskupi umieli przypomnieć związek z Rzymem; stanął przy nich król, zarządził nowe interim jurysdykcji biskupiej; obiecał, że z żądaniem obu postaci w Sakramencie Ołtarza, małżeństwa księży, nabożeństwa w języku narodowym, annat na cele publiczne, zwołania powszechnego koncylium lub ewentualnie narodowego. Żaden duchowny nie podjął się takiego poselstwa; wyprawiono świeckiego Stanisława Maciejowskiego, który w instrukcyi miał owe żądania przedstawić jako żądania samej szlachty, a na ewentualne koncylium krajowe zażądać nuncjusza. „Wie król, stoi w instrukcyi, że nie jego rzeczą stanowić o religii,“ a przekonanie to Zygmunta Augusta jest tem szersze, że wypowiedział je w listach do Jana Łaskiego i innych reformatorów, podsuwających mu rolę teokraty! Faktem też jest, że w tych najburzliwszych i najtrudniejszych czasach *myśl owa teokratyczna rozbiła się o niego przedewszystkiem, o jego temporyzacje, o jego chłód polityczny.*

Mielibyśmy wszelkie prawo przypuścić, że był to skutek głębokiego wstępu do stanowiska, które zajął Henryk VIII-ty, wymordowawszy do siedmdziesięciu tysięcy ludzi, protestantów i katolików, dla przeprowadzenia sześciu artykułów sfabrykowanej przez siebie wiary, ale pozostawiając wgląd w sumienie Bogu; wolimy go obronić przeciwko zarzutowi, jakoby nie umiał ocenić doniosłości ofiary posłów dla zmocnienia władzy królewskiej. Czy mógł się król spodziewać zgody na religię, na wyznanie nowe, nawet wtedy, gdyby je był sam,

co mu było wstrętnem (a na tem polega jego zacność i uczciwość), postawił? Czy mógł z najgorszymi z episkopatu (bo lepsi nie byłiby poszli tą drogą), tworząc Kościół episkopalny w Polsce, przeoczyć, że gdy nie pierwszy szal popularności zerwania z Rzymem, opozycya, uderzająca podówczas w Kościół katolicki, zwróci się koniecznie, fatalnie przeciwko nowemu fabrykatorowi i to nie tylko, ze strony toczonych najróżnorodniejszym sekciarstwem różnowierców, którzy nie zgodzili się nigdy, którzy już w r. 1555 przeciwko Antytrynitaryuszom oświadczeń żądali, ale ze strony tych, co mieli stały punkt oparcia w powadze, najsilniejszej dźwigni religii, jedni w Rzymie, katolicy, drudzy w Konstantynopolu! Tego mogli nie widzieć zacietrzewieni różnowiercy, którzy na gadaniu i dyskusyi zasadzali zbawienie, co głosili tylokrotnie nonsens polityczny: *Ubi multa concilia, ibi multa salus*; którzy mniemali może, że małżeństwem księży i utrakwizmem zbliżą się do greków; o tem wiedział król, wytworny wychowaniec Zachodu, a głęboki Wschodu nieprzyjaciel. Ale czyż nie widział, co spotkało Czechy, czyż nie widział, że w tej Polsce, jak w Czechach, za mało było uległości, a za wiele indywidualanej swawoli? że Polska nie odosobniona jak Anglia, aby w niej wśród przeciwieństw religijnych, daleko kolosalniejszych, bo starych i nowych, przeciwieństw opartych o zagraniczne centra, przeprowadzić jedność religijną holokaustem tysięcy, jakim ją przeprowadził Henryk VIII!

Ale jeżeli nie było sił dosyć w różnowierstwie i złych katolikach, aby budować nową improwizacyę religijną, nie było ich i na to, aby szybko i stanowczo ratować Kościół. Wiszące w powietrzu Koncylium powszechne, podawało obszerne pole myślom reformy, w samemże jego łonie, nie wykluczało ich; *Roma locuta non est* stwierdzać różnowierstwo w każdym objawie myśli religijnej, podnosić konfesję katolicką episkopatu do zamkniętej i zmiany nieprzypuszczającej konfesji państwa, było niewłaściwem i szkodliwem raczej, niż pożytecznem. Zygmunt August, jak potężniejszy od niego Karol V, poszedł drogą *interimów*: w państwie parlamentarnie rozkołysanem mówił i obcował ze wszystkimi, kładąc nacisk na swoją niekompetencyę w rozstrzygnięciu spraw religijnych i podstawiając różnowiercom dyplomatycznie *Hic Rhodus, hic salta!* „Pogódźcie się! zgódźcie się na jedno, porozumieście się co do Trójcy Świętej!” Moglibyśmy życzyć sobie z jego strony więcej osobistego wyznawstwa, przykładu, mniej politycznego liczenia się z burzą reformacyi przy wyborach biskupów, mniej dwuznaczności, która ośmielała Vergeriuszów, Kalwinów, Melanctonów, Łaskich, że się doń zgłaszali listownie. Ale Zygmunt August był człowiekiem swego czasu, królewskość nie obroniła go od wpływu reformacyi, jak nie

obroniła od wpływu humanizmu. Ale w jego to umyśle, jak w umyśle tylu jego współczesnych, jak w umyśle Hozyusza, Kromera, Przerembskiego, Padniewskiego, Orzechowskiego, humanizm wydał owoce dodatnie, katolickie i cywilizacyjne. Dopatrzył humanizm nareszcie, że poddanie religii w ręce władzy świeckiej, jest powrotem do pogaństwa, że Chrześcijaństwo jest jedno, tradycyjne, kościelne, nieprzerwalne od Ś-go Piotra, broni człowieka przed tem sponiewieraniem, przed tem oddaniem wieczności temu, czemu się tylko doczesność należy. Ujrzymy, że około tej kwestyi obracało się całe dalsze życie Zygmunta Augusta, że walczył on z nią wśród największych pokus, że powaliła go w końcu, zdruzgotała — ale że z niej wyszedł z słowem historycznym: *Non si fara, che non convenga!* Wytaczanie mu procesu o to, że jej nie przesądził, jak Henryk VIII, wyrozumiewa się, jestto jeden z krzyków bóleści społeczeństwa, które małą, ale tem szanowniejszą mniejszością swoją, rwie się do warunków utraconych ładu i rządu, odboleć nie może, że one w przeszłości nie stały; wszakże pociecha tu łatwa, a pociechę tę przyjąć należy. Wskazaliśmy już niesłychaną problematyczność, wątpliwość korzyści z teokracji królewskiej w Polsce; wskazaliśmy, że byłaby ona poszła najprawdopodobniej drogą Czech do zupełnej anarchii jeszcze w ciągu XVI wieku; tu podniesiemy, że są rzeczy, których się nie poświęca dla niczego, nawet dla lepszej formy państwowego bytu; są rzeczy, których się nie czyni, nawet gdyby materialne zapewniały życie, bo dając formę, zabierają treść. Nie poświęca się dla formy treści społeczeństwa, którą była jego cywilizacja zachodnia, nie okupuje się życia ciała śmiercią duszy, postępu siły państwa retrogressyą myśli. Żądania szlachty r. 1555, które Zygmunt August w poselstwie od swoich odłączył, żądanie utrakwizmu, języka narodowego w Kościele, małżeństwa księży, jakkolwiek mogły się wydać społeczeństwu ówczesnemu, jakimkolwiek upadkiem duchowieństwa katolickiego były motywowane, były retrogressyą, były odrzuceniem aspiracyj Zachodu religijno-moralnych, jego wyższego duchowego pojęcia religii, były abdykacją w obec tych, nad którymi się miało w imię wyższości cywilizacyjnej panować... Czuł to ten, co niedawno w r. 1553 posłał do Rzymu memoryał, który wśród gwarnej szlachty, noszącej się z biblią i statutem, myślał o położeniu Narwy, Wilna i Kijowa!

Jeden zwykle jeszcze zarzut uderza w Zygmunta Augusta ze strony naszych historyków. Jestto zarzut niestanowczości, dojutrkowstwa, temporyzowania. Pojmujemy go ze strony społecznych jednego i dru-

giego obozu, którym król niedogadzał, ze strony tych, którym był za mało katolicki lub za bardzo katolicki. Pojmujemy porównawczą Warszawickiego chryję, gdzie chodziło o zaostrzenie antytez. Ale historyografia po trzech wiekach, która widzi, co król zrobił a czego zrobić nie chciał, nie powinna przecież mniemać, że ten tylko stanowczy, ten tylko ma zdanie, ten tylko energiczny, kto zawsze stanowczo odpowie, co zawsze wszystko wygada, ten, co decyduje się odrazu na lewo lub prawo. Podrzednym stanowiskom politycznym i społecznym nawet to niezawsze przystoi i niezawsze dla nich jest rozumem, nie dopiero najwyższemu i w najtrudniejszych okolicznościach. Ale czego w ogóle w trudnej epoce od króla żądać nie można, tego w szczególności spodziewać się nie można od Zygmunta Augusta najpodejrzliwszego z ludzi, najsamotniejszego z królów, nie wierzącego matce, nie wierzącego trzeciej żonie, nie dającego się do ostatka powodować najbliższemu z przyjaciół. Gdy wejrzymy w stan moralny społeczeństwa, przekonamy się, że miał on pełne prawo nie wierzyć ludziom, szanować tylko najmniejszą ich liczbę. Skoro tak jest, dziwnem byłoby potępiać za chwiejność, dwulicość, dwuznaczność, tergiwersacją tego, który na chwiejności, dwulicowości, dwuznaczności, tergiwersacji politykę założył; dziwnem żądać od niego, aby dał o sobie ostatnie dokumenta późniejszemu historykowi, aby się wyśpowiadał jak pan Pasek, albo pan Poczobut! Sprawiedliwiej patrzeć na rezultat chwiejności i tergiwersacji, bo w rezultacie są dopiero ślady pobudek. Tak chwiejny w wierze Zygmunt August nie dopuścił ostatecznie narodowego Kościoła, chociaż go chciał Modrzewski, Przyłuski, Uchański, Radziwiłł, chciało silne stronnictwo; to miara jego siły politycznej, którą w historii brać należy nie wedle tego tylko co kto zrobi, ale wedle tego czemu się nie podda i czemu przeszkodzi. I dla tego to najlepiej osądził go bezpośrednio interesowany poseł austriacki Andrzej Dudycz, mówiący o nim: Bez jego woli nic w Polsce uczynić nie można. Z przyczyny jego głównie oporu i tergiwersacji, nie poszło w Polsce tokiem myśli Przyłuskich, Modrzewskich, Rejów; dzięki jemu, w znacznej części pozostaliśmy przy katolicyzmie i zachodzie.

Roztoczywszy szerzej jedną z kwestyj spornych, szybciej przebiegniemy wypadki. Poselstwo Maciejowskiego padło na twardego Pawła IV; o dyskusyi na takim gruncie mowy być nie mogło; legat surowej szkoły papieża Aloizy Lipoman, był w drodze do Polski. Z zapalem przyjęły go kapituły i Uniwersytet, z pewną trwogą duchowienstwo, król z razu z wielką gorliwością, różnowiercy z nienawiścią, która się wnet objawiła w fabrykacjach jego listów mniemanych i paszkwilach, a wiadomości o nim z źródeł różnowierczych nadzwyczaj uczyniła podejrzaniem. Król uczynił dla Lipomana co mógł: wydał kilka nowych

przeciw kacerstwu edyktów, w ciągu jego poselstwa dał wspomnianą już kilku głosom reformatorów odprawę, a okoliczność, że Hozyusz nawet wydał się Lipomanowi niedostatecznie gorliwym, świadczyć się zdaje, że w wyborze człowieka uczyniono błąd, z nieznamościami terytorium pochodzący. Popiera tę uwagę poniekąd wybór późniejszych nuncyuszów, mianowicie biskupa Kameryńskiego.

Wszakże i misja Lipomana osiągnęła swój skutek. Synod piotrkowski zelektryzował znowu episkopat, uwagi kapitul na nim wydane tchną tą samą znajomością rzeczy i mądrością, którą widzieliśmy w r. 1551; sejm 1556 i 1557, na którym szlachta miała witać nuncjusza okrzykiem: *Salve progenies viperarum*, nie tylko synodu narodowego nie przyniósł, ale skończył się wydaniem dosyć groźnego edyktu królewskiego, przeciw wszelkim dalszym obracaniom kościołów na zbory i schadzkom różnowierców. Król pospieszył ku Inflantom, gdzie go wołały sprawy wagi niezmiernej, niestety, ani pojmowane ani wspierane przez społeczeństwo. Nominacja tymczasem Uchańskiego biskupem kujawskim, a Jana Przerębskiego koadytorem gnieźnieńskim, niepotwierdzone przez Rzym, stały się znowu nowem, niebezpiecznem źródłem nieporozumień. Co do Uchańskiego były zapewne przyczyny; co do Przerębskiego, którego wpływ stały w duchu katolickim od r. 1550 się dostrzega, nie było żadnych prócz tej jednej, że króla gorliwszym uczynić nie mógł. Sejm 1558 i 1559 dostrzegł tej rozterki między Rzymem, królem i episkopatem, mówił o biskupach, co przysięgli Rzymowi i co nieprzysięgli, rozwiódł się z teorią, że dwom panom służyć, dwóch przysięg wykonywać nie można, rugował biskupów z senatu. Król, który od sejmu chciał tylko podatku, skoro ujrzał że go nie otrzyma, nie chciał pozostawiać za sobą, gdy go sprawy inflancko-litewskie w całości pochłaniały, zarzewia walki nie mogącej być z blizka nadzorowaną, nie chciał ani egzekucyi dóbr, ani zmian w stanowisku i prawach duchowieństwa przeprowadzać: z zamętu który powstał, wyciągnął jako konsekwencyę nowy reces, nowe zawieszenie rzeczy — i miał racyę.

Dosięgała szczytu swojego anarchia religijna. Od czasu, gdy różnowiercy godzić się, zjeżdżać, porozumiewać o dogmata zaczęli, od synodu w Koźminku, rozbitcie na sekty nie miało już granic. W negacyi silni, latwi w pisaniu programów religijno-politycznych, jakimi były Przyłuskiego i Modrzewskiego, odsłaniali oni całą swoją słabą stronę, gdy z potrzeby, z konieczności chcieli z rozbitej w drużgi całości nauki katolickiej stawiać budowy nowe. Z początków panowania Augusta, Frycz Modrzewski, Orzechowski, Rej, koryfeusze różnowierczy polscy, stoją w jednej linii; Przyłuski pisze wiersze pochwalne na książce Orzechowskiego; Orzechowski mowę pochwalną na Przyłuskiego statucie!

Modrzewski jest Orzechowskiego, Rej wszystkich owych koryfeuszów przyjacielem: między rokiem 1555 a 1569 kłóć się wszyscy, a Rej nawet, taki przyjacielski i hulaszczy, oburza się na tych:

Co Krysta pana swego, Bóstwa odsądził,
Co go nam połycezany Bogiem uczynili....

i dodaje:

Zbłądzilié Papieżnicy, ale nie tak srodze
Jako dziś Aryani hareują o Bodze.

Wszystkie relacje zgadzają się w gromieniu tej wieży Babilońskiej sekt w Polsce. Przyczyny jej szukać w dwóch okolicznościach. Naprzód w tem, że zachód dostarczał wszystkie najsłabsze żywioły, wyganiane przez luteranizm, kalwinizm i konsolidujące się kościoły różnowiercze zachodnie; że przez Polskę przesuwali się kolejno Laeliusz Socyn, Vergeryusz, Ochyn, Jakób Paleolog; że osiadali w niej niemcy, czesi, włosi, francuzi, nie mogący zgodzić się z żadnym istniejącym na Zachodzie kościołem. Następnie i w tem, że mniejsza polaków organiczność, rozbijały ich indywidualizm, związek, w jaki sprawa religijna z politycznym stanowiskiem ludzi wchodziła, niezmiernie utrudniał to, co przeprowadziły na zachodzie, aczkolwiek także z wielkim trudem, narody karniejsze i starsze, w różnowierstwo zapadłe. Do dzisiaj dnia cechuje polaków dziwny eklektyzm religijny. Powstał on i rozwinął się podówczas, rozwinął z czytania i tłómaczenia sobie biblii przez umysły surowe i uparte, przywiązane do swego zdania z całą próżnością ambicyi, której się zdawało, że coś wynalazła nowego i niebywałego. Chcąc mieć szlachcica, trzeba mu było stworzyć domową teologię; wiedzieli o tem ministrowie, narzekający tylekroć na niezgodę a utrzymujący się tą właśnie niezgodą. To też wyznanie wytrzymało najdłużej, najbardziej się skonsolidowało, co poszło najdalej w przeczeniu, co, chociaż samo najwytworniejszych może miało mistrzów, zagnało adeptów w twierdzenia najostrzejsze, najśmielsze, najryzykowniejsze, w przeczenia najbrutalniejsze w kwestyach Istności Bożej, Bóstwa Chrystusa, istnienia duszy po śmierci, co zagnawszy ich tam, spaliło za nimi mosty odwrotu, uniemożliwiło wycofanie się, opanowało tak, że zdecydowali się być społeczeństwem religijnem odciętem od wszystkich innych, a przez ducha przekory zadziwiać świat abnegacją, kwietyzmem, poświęceniem dla swoje-
go koła.

Ręka w rękę z tą rozterką religijną szła moralna. Już od dawna, od lat kilkudziesięciu, przybiera ona coraz większe, coraz bardziej za-

straszające rozmiary, tak wskutek niedołężności sądownictwa, ostatnią instancję znajdującego w sądzie królewskim, czemu August ustanawianiem colloquiów ostatniej instancji bez swej przytomności zarządzać się starał, jak w skutek porwania całego społeczeństwa i organów sprawiedliwości z nim razem, wirem religijnego zepsucia. Gdybyśmy nie mieli aktów sądowych, ustaw synodalnych, relacyj poselskich, pism katolików i różnowierców, które wszystkie w najokropniejszych kolorach przedstawiają nam stan moralny, moglibyśmy na podstawie doświadczenia wieków wywnioskować, że ten stan okropnym być musiał. Musiał nim być, bo czasy długie, duchowieństwo szczególnie wyższe dawało zły przykład, zły przykład dwór Bony, niedobry a z czasem coraz gorszy przykład dwór Zygmunta Augusta (i tu nie znajdzie naszej obrony); musiał nim być, jeżeli na suknię duchowną w szczególności zrywały się co chwila bratobójcze ręce, jeżeli znieważano w obec mas publicznie tajemnice wiary, jeżeli panny szlacheckie szły za księży, jeżeli obdzieranie kościołów, grabież ich wyposażenia na rzecz szlachty gwałtowna, ostentacyjna była na porządku dziennym; jeżeli zabójstwa inne, szczególnie zabójstwa kmieci przez panów, przybierały zastraszające rozmiary; jeżeli między senatorskimi mogła błyszczeć taka ohydna rodzina jak Zborowskich, których ojciec Marcin śmie np. nastawiać na Bernarda Pretwica morderców, strzelających doń, gdy ma stanąć jako świadek przeciw niemu przed królem, dokonywać nad Dymitrem Sanguszką urzędu kata i chodzić między ludźmi z podniesioną głową, a którzy sami, znacznie później jeszcze, dla igraszki ucinają chłopu nogi i ręce, gdy się z ich dworzanami pokłócił. Zrozumiemy, że szczerem, z głębi serca płynącym było owo: „Rata! ginieniy,“ grzesznego Orzechowskiego; zrozumiemy że nie frazesem był głos Sienickiego: „Krew która w Polsce przez kaźni przelewana bywa, woła o pomstę do Boga...“ „Już żaden i dziątek swych bezpieczen nie jest, bo mali kto dziewczeczkę, i tej w pokoju zachować nie może, czeka tego, rychło li przyjdzie możniejszy i weźmie mu onę“. Zrozumiemy, że prawdą są słowa synodu; „Tyle jest w królestwie krzywoprzysięztw, zabójstw i innych zbrodni, że ich nikt nie wyliczy.... chłopi i kmiecie tylko czynią jeszcze pokutę, szlachta *crudelissimi homicidae, qui consulto immania patrunt homicidia, homines innocios mactant veluti pecora*, nie znają pokuty, nie znają zadosyćuczynienia Kościołowi.“ Pojmimy i sprawiedliwość wołania Jakóba Górskiego, rektora Uniwersytetu krakowskiego: „Skażonej i zniweczonej karności nie jest przyczyną akademia. Młodzież wasza, dzieci wasze, nie u nas uczą się występków, ale wyssawszy je od was z mlekiem do nas przynoszą. Synów tych uczyni, którzy z siebie powagę wszelką zrzucają, którzy prawo i karność po przodkach odziedziczoną obalili.“ Świadectwo r. 1581 o oj-

cach tych, co się podówczas uczyli. Kładzie w nim Górski i zarzut różnowerstwa: my nie czynimy tego, nie twierdzimy wcale, aby cnota była po stronie katolików, zle po stronie różnowerców. Ale odnosimy rozwolnioną moralność koniecznie do zachwiania się religii w umysłach, które tylko nią stały, do podania w wątpliwość wszystkiego, co bujne, potężne, namiętności pełne, organizacje ludzi ówczesnych powściągało a znacząc dopiero na drugim miejscu brak sprawiedliwości, powiemy, że i sądownictwo bywa złem, jeżeli się zachwieje moralny grunt społeczeństwa, bo i ono dostępne moralnemu zepsuciu, bo i ono ludźmi z tego społeczeństwa posługiwać się musi.

A toż luterstwo nasze w łotrówstwo się zamienia! woła w r. 1559 prawie przychylny reformie Tarnowski. Nie luterstwo, bo tego było najmniej, ale do jawnochrześcijaństwa bez granic wiodła miękkość przekonań katolickich, orgia religijna Stankarów, Lismaninów, Ochynów, Socynów, Paulich, Piotrów z Goniądza, Statoryuszów. Ludzi opanowało błędne koło: poddając nieustannej dyspacie wszystko na czem stoi człowiek i społeczeństwo, odczłowieczali się i odpólczniali. Nie ma tego, tego i owego, co szanowały wieki — brzmiało ze wszystkich stron, jak brzmi i dzisiaj niestety, z tą walną różnicą, że przeciw nihilizmowi dzisiejszemu walczy już doświadczenie wieków, przeciw ówczesnemu, a arianizm był niezawodnie pewnym rodzajem nihilizmu, nawet przeciwko państwu obróconego, nie było tego doświadczenia, nie było nawet silniejszych form i ducha organizacyjnego zachodu: zasiew padał w Polsce na dziewiczą, niedoświadczoną rolę, krzewił się siłą antagonizmu przeciw jedynej potędze, która była, a była zachwianą, kościelną.

Tragicznym też jest położenie ówczesne, ów powszechny krzyk rątku, który zaspokoić tylko mogło jedno zjednoczenie religijne — kwestya ówczesna całej Europy, a więc i Polski, kwestya Henryka VIII mordującego katolików i Filipa II stawiającego stopy inkwizytorskie, kwestya Francyi i Niemiec, kwestya całego świata. Nie mogło być tolerancji — nie było jej, bo każdy tylko od religii spodziewał się doczesnego rątku, wiecznego zbawienia. Wiek społecznie najnamiętniej religijny i najniemoralniejszy — antyteza konieczna, bo tam gdzie zle najbardziej wygóruje, czuje się najmocniej potrzebę dobrego, tam gdzie człowiek najniżej upada, tam widzi najlepiej konieczność pomocy z góry, nawiązania węzłów z zaświatem, bo gdzie Luter załamuje chwilami ręce nad własnym dziełem, gdzie Viret nazywa ludzi najgorszymi z bestyj, gdzie Ignacy Loyola postawi regułę na zasadzie: *Sicuti cadavera*, gdzie nibawem społeczeństwo Hobbes wywiedzie z *bellum omnium contra om-*

nes, tam w imię doczesnego ratunku i zbawienia wiecznego ludzie zetną się ze sobą w śmiertelnym boju, aby na swojej religii postawić społeczeństwo. Tylko tam nie przyszło do tego starcia z charakterem wyłącznie religijnym, gdzie do zjednoczenia obustronnie nie przyszło, przyjść nie mogło, bo społeczeństwo do takiego zjednoczenia nie dojrzało. Był to wypadek z Polską; Kościół tylko mógł się w niej *de facto* zreformować i zjednoczyć, on się tylko zreformował i zjednoczył, Kościół zostający w wielkim związku z Kościołem rzymskim powszechnym. Na zjednoczonej zaś tylko i świadomej sobie religii mógł się oprzeć król, jeżeli miał rozum polityczny, jeżeli rozumiał, gdzie jądro złego, gdzie punkt wyjścia ku utrzymaniu rozpasanego społeczeństwa.

Zygmunt August powiedział Modrzewskiemu, jadąc na wojnę inflancką: „Pogódźcie się o Trójcę!“ Za powrotem w roku 1562 stanął na sejmie piotrkowskim w kubraku szlacheckim, postanowił stanąć po stronie szlacheckiego obozu ku przeprowadzeniu dawno żądanej a jeszcze 1558 i 1559 r. recesem odroczonej egzekucyi. Zaczął ją od ściągnięcia dóbr królewskich na skarb publiczny, aby zyskać fundusz na regularnego żołnierza. O religii nie wspomniał. W roku 1563 na 1564 na sejm Warszawski wniesiono sprawę Unii: król zrzekł się dziedzictwa Litwy, aby nie przeszkadzało zasadzie łączenia się dwóch narodów. Niebardzo wierzył w możliwość utworzenia państwa, pragnął więc przynajmniej utworzyć nierozzerwalny federacyjny węzeł jako tamę od wschodu.

W sprawie religijnej stanęło dalsze *interim*, zawieszające wykonanie wyroków duchownych. W r. 1564 przysłano nuncyuszowi Kommendonniemu, bawiącemu w Polsce, księgę ustaw trydenckiego soboru. Był sejm w Parczowie, na który posłowie przybyć nie chcieli — rzecz dotąd niewytlómaczona. Kommendoni przemówił do senatu; wymowie swojej przypisuje, co się stało. Król bezwarunkowo, bez zastrzeżeń, które wnosił arcybiskupem już podówczas mianowany Uchański, przyjął księgę ustaw soborowych.

Nie wierzymy tutaj znakomitemu zresztą nuncyuszowi—wolimy wierzyć w instynkt polityczny różnowierczego stronnictwa, które nie przybyło. Król przyjął księgę, bo chciał ją przyjąć; bezwzględnie przyjął, bo chciał, aby przyjęcie było bezwzględnem. Skutek nie kazał długo czekać na siebie; na sejmie r. 1565 najbliższym, nie stanowi już izba poselska jedności religijno-politycznej, posłowie katolicycy występują przeciw p. Sienickiemu. Król Zygmunt August, jeżeli prawdziwą jest nasza charakterystyka znamion czasu, postąpił nie tylko jako katolik, ale jako dobry, z istotą europejskiego ruchu religijnego, z naturą jego

w Polsce obeznany polityk. Postąpił nawet w myśl przyrzeczeń i zapowiedzi swoich; sprawy religii systematycznie w ręce swoje brać nie chciał, do zjednoczenia się w wierze swej akces własny odkazywał; gdy roztrzygnięto sprawy religijne tam, w Trydencie, gdy powiedziano, co ziarno, a co plewa, gdy każda dalsza tergiwersacya byłaby już wprost zdradą własnej religii i podaniem się w wątpliwość poddanym, przyczem stoi król i władza królewska; uważał kwestye religijne za skończone i roztrzygnięte, oświadczył, że jest posłusznym synem kościoła. Kroki jego dalsze przeciw różnowierstwu nie były energiczniejszymi; wiedział on, że najcięższy kamień, jaki rzucić można było w fale ówczesnych stosunków, rzucił przyjęciem Trydenckiej księgi; wiedział, że rozpocznie się nowa, namiętniejsza gra na całej linii; wiedział, że się wszystko burzyć nanowo zacznie; wiedział, że niezjednoczeni i katolicy zarówno będą się coraz bardziej oglądać za granicę, pytając: Co jutro? gdy król bezdzietny umrze? Ale wiedział, że jak zrzeczeniem się dziedzictwa Litwy, tę Litwę związał z elekcyjną Polską, a każdą ambicyę litewską z koroną polską, tak przyjęciem ustaw soboru i dalszemi jego konsekwencyami związał Polskę z Zachodem — przeciw Wschodowi! A Zygmunt August rozumiał niebezpieczeństwo grożące od Wschodu lepiej, niż panowie Modrzewscy, Przyłuscy i Sieniccy...

(d. c. n.)

ODRODZENIE I REFORMACYA W POLSCE.

PIĘĆ ODCZYTÓW PUBLICZNYCH
JÓZEFA SZUJSKIEGO

W ZIMIE R. 1880.

(Dokończenie. Zob. Zeszyt 136)

V.

Jeżeli wbrew wielu i poważnym zdaniom, które szanować wszelką mam przyczynę, prowadzę tak daleko obronę Zygmunta Augusta, czyniąc go jednym z najwytworniejszych polityków naszych, jakich kiedykolwiek mieliśmy w dziejach; jeżeli go zaslaniam przed zarzutem najcięższym, jaki królowi polskiemu zrobić można, że zmarnił chwilę zwrotną w historii i twierdzę, że nie tylko jej nie zmarnił, ale pozostaniem przy Zachodzie i oświadczeniem się za Koncylium trydenckiem z jednej, utworzeniem Unii federacyjnej, na jaką stać go było z drugiej, uczynił wszystko, co uczynić mógł w owym czasie: dokonał zwrotu o tyle, o ile go dokonać było można; mam ku temu przyczyny, których część odsłoniłem w ostatnim rozdziale, a część pozostawiam pogładowi dzisiejszemu, sięgając mającemu aż do restauracyjnej Batorego pracy.

Pokaże się z niej, że jakto na świecie, a w szczególności u nas polaków bywa, łatwiej jest postawić program, niż go wypełnić; łatwiej teorię wyznawać, niż przeprowadzić ją w praktyce; łatwiej książkę napisać o przetworzeniu państwa, o egzekucyi praw, niż przeprowadzić tę

egzekucję i państwo przetworzyć. Wypełnienie programu, wprowadzenie praktyki w życie, zastosowanie tego, co człowiek za dobre uznał, zależy od czynnika inteligencji w części tylko: w drugiej walniejszej części, zależy od czynnika woli, moralności. W chaotycznych przejściach swoich ratują się narody różnemi teoryami, formami, ustawami, programami; najświetniejsze często giną, bezużytecznemi się okazują: wychodzi i zwycięża to, co ma za sobą silniejszą dźwignię woli, co ma większą siłę moralną. Tę dźwignię woli większą, tę siłę moralną potężniejszą objawiła w pierwszych dziesiątkach XVI w. reformacya, wobec humanistycznego moderantyzmu katolickiego; w drugiej połowie wieku XVI objawił ją w Polsce katolicyzm, czyli tak zwana reakcyja katolicka wobec różnowierstwa polskiego. Ten duch, który prawie rewolucyjnie objawiał się szturmem kapituł na episkopat w r. 1551 na synodzie piotrkowskim, w r. 1575, po odjeździe Henryka, był już tak silnym, że wystarczył jeden biskup, Stanisław Karnkowski, przyłączający się do popularnego obozu podejrzanego w wierze Stefana Batorego, aby ów Henryk IV polskiej historii zrozumiał, że w Polsce tylko królem katolickim być można, aby powiedział sobie: *La Pologne vaut la messe!* To wszystko w przeciągu 11 lat od przyjęcia uchwał Soboru trydenckiego! A przecież różnowiercze stronnictwo nie czuło się bynajmniej pobitem przyjęciem tych uchwał w Parczowie: nie było przy tem, — ignorowało ten wypadek głośno; wiedziało pocichu, że episkopat dalekim jest od zastosowania prędkiego postanowień, godzących w kumulację beneficjów, nierezydowanie osobiste i tyle innych zastarzałych nadużyć. Bardziej niż kiedykolwiek miano się na baczności, większe niż kiedykolwiek wytoczono działa. Postanowiono króla na sejmie 1565 r. prosić o rozmowę chrześcijańską, sprowadzono głowy sekt do Piotrkowa; synod celem zjednoczenia miał się odbyć w każdym razie, w sejmie czy po za sejmem. Postanowiono wytoczyć dalsze sprawy egzekucyi, wnioski nadzoru urzędników godzący w senat i obszernie punkta dotyczące się ekonomicznego uprzywilejowania szlachty ze szkodą stanu mieszczańskiemu. Sejm nabierał niezmierniej ważności. Na króla miano sposób, który obiecywał wiele. Od roku toczyła się sprawa, poruszona przez dwór austriacki o złe jego z żoną, królową Katarzyną pożycie; miano króla przycisnąć do ściany, aby żonę przyjął i z nią zamieszkał; wiedziano, że tego nie zechce; wiedziano, że mu się uśmiecha rozwód; rozwód ten mógł dać kościół narodowy; Marszałkiem sejmu został koryfeusz egzekucyjnej kampanii Mikołaj Sienicki.

Wszystko więc było poniekąd zapewnionem i obmyślanem, a przecież chybiło. Przeszły zgubne ustawy przeciwko miastom, podcinające ich nerwy życia zamknięciem krajowego wywozu przemysłowego, a ot-

warciem kraju zagranicznej kupi; przeszło nowe sparaliżowanie jurysdykcyi duchownej, ale król zapewnił Komendoniego, że od myśli rozvodu odstępuje; do rozmowy chrześcijańskiej w sejmie nie przyszło, katolicycy posłowie pierwszy raz głos przeciw różnowierczym podnieśli — a synod po za sejmem rozbiegł się nie doszedłszy do porozumienia. Rozbił się o jedno zawsze, o Aryanów, których koryfeuszami byli Jan i Stanisław Lutomirscy, Hieronim Filipowski i przywódca polityczny partyi szlacheckiej, Mikołaj Sienicki. Od synodu r. 1565 datuje Lubieniecki otwarte schyzma kościołów różnowierczych polskich, schyzma pełne namiętności i nienawiści, Kalwini albowiem nie wahali się już wtedy Aryanom zarzucić zdrady kraju, tajemnych z despotą Heraklidesem na szkodę Zygmunta Augusta konszachców, jakto czynili i później, oskarżając ich o także przeniwiercze stosunki z młodym Janem Zygmuntem Zapolyą, siostrzanem królewskim. Na sejmie r. 1567 domagano się nawet po stronie kalwińskiej wprost wyrzucenia ich z kraju, usunięcia przeszkody połączenia wyznań, ale sprzeciwiano się temu po stronie katolickiej, w dobrze zrozumianym interesie Kościoła. Jeżeli zasada tolerancyi, to dla wszystkich; jeżeli zasada niewdawania się w sprawę religii ze strony władzy, to ogólna. Było to rodzajem milczącej zgody na politykę Zygmunta Augusta, który wydał wprawdzie kilka przeciw Antytrynitaryszom i Anabaptystom edyktów, a osobnym rozkazem wygnął z Polski Ochina, ale uczynił to wszystko pod naciskiem nuncjusza Komendoniego, a niebawem, za zgodą i radą samego Hozyusza, do owej tolerancyi względem Aryan powrócił.

Temu przełomowi w rewolucyi religijnej, dokonanemu w latach 1564 i 1565 (ten ostatni był także rokiem sprowadzenia pierwszych Jezuitów), przełomowi, sprowadzonemu, jak widzieliśmy, nie wpływem Rzymu i nuncjuszów, nie wpływem zakonu jezuickiego, jak chcą niektórzy, ale bądź co bądź energią dźwigających się samodzielnie pierwiastków katolickich w duchowieństwie i narodzie polskim, od pamiętnego synodu r. 1551; towarzyszą w świecie umysłowości objawy nadzwyczaj charakterystyczne, pełne rdzennej siły u katolików, pełne rozpaczliwej tragiki u różnowierców. Zasób duchowy różnowierczy nietyle się wy czerpał, co zmarniał, co padł fatalnie ofiarą tejże samej subtelności teologicznej, przeciwko której zrazu z taką siłą, dzielnością i nawet słusznością wystąpił. Kapitał znakomych produktów różnowierstwa polskiego, kończy się prawie r. 1553 na Przyluskiego książęce; prace Reja późniejszego czasu aż do pomijającego już prawie różnowiercze poglądy „Żywota poczciwego człowieka,“ pełną ważności dla literatury i języka, przekłady biblii niemniej w tym kierunku ważne i ciekawe; ale dziwić się prawie przychodzi, jak nagle wysycha krynica myśli politycznych,

głuchnie obrona myśli reformy; a w sekciarskiej dyskusji o artykuły wiary, łamie się i wyniszcza inteligentny zasób ludzi. Na pierwszy plan dobywają się mistrze i pisarze obcy: Seklucyany, Stankary, Statoryusze, Pauli, Zacius, Morgenstern, Blandrata, karmiąc społeczeństwo klótniami bez końca i subtelnościami swojej egzegezy; po epoce dumy odrzucającej Ojców Kościoła i tradycję kościelną, następuje epoka upokorzenia przed zagranicznym apostołów rozumem; kołowacizna ta za obcemi mistrzami napada w szczególności kobiety ówczesne, które uszczęśliwiwszy swoją miłością Orzechowskich i Krowickich, spieszą teraz w objęcia Andrzejów Dudyczów i Faustów Socynów, lub rozpisują się w teologiczno-mistycznych listach do cudzoziemskich reformatorów, jak pani Zofia Siemichowska. Czegoby się w Polsce najmniej spodziewać można: ascetyzm, wizjonerstwo, kwietyzm mistyczny, szerzy się za pomocą rozbitków zachodniego różnowierstwa, wśród zażywnego pokolenia, na polskiej wychowanego pszenicy; Piotr z Goniądza przywozi go z Szwajcaryi, uczy chrześcijańskiego „ponurzenia“ i dowodzi, że chrześcijański człowiek z drewnianym mieczem chodzić powinien; Jakób Paleolog szerzy naukę abstencji politycznej, którą odpiera Faust Socyn; kółko rakowskie, roku 1569 powstałe, jest wyrazem tego półkomunistycznego pietyzmu, gromadzącego spokojnych fanatyków dla rozmyślenia subtelności teologicznych i moralnych wśród pełnego ruchu politycznego ojczyzny — drukujących książki za książkami wyłącznie teologicznej treści — a to wszystko na koszt poczciwego szlachcica polskiego, pana Jana Sienińskiego, który zaciąwszy się, wolał być na Rakowie żywicielem i ekonomem swoich włoskich i niemieckich mistrzów, niż w Krakowie pożytecznym swojego króla i ojczyzny poddanym. Stara i powtarzająca się nieustannie historia chwywania się doktryn obcych i solidaryzowania z nimi, przez mniemany punkt honoru ślepej konsekwencji, klócenia się dla nich z całym społeczeństwem i rzeczywistością, okupiona niestety nie tylko ruiną własną, ale, jak u Aryan w późniejszych czasach wyraźną zdradą ojczyzny. Stara i to historia, owa łatwość w negacyi i improwizowaniu nowych budynków, a rozbiecie się przy zakładaniu fundamentów albo krzyk ów, że kto inny, który był powinien, że król tych fundamentów nie założył, że nie zrobił tego, czego samo społeczeństwo zrobić nie umiało i nie mogło.

Odbiegamy od przedmiotu, aby wbrew tym, którzy nam każą podziwiać płodność i wyższość różnowierczego życia umysłowego, wskazać z chronologią w rękę, jak w latach, gdy różnowierstwo przeważnie zagraniczne w dominuje ruchu książkowym, gdy Frycz, Rej i Bielski są jedynymi reprezentantami jego polskimi, po przeciwnej, po katolickiej stronie staje cały szereg wojowników pióra, zasobnych wykształceniem wie-

ku, wysokiego i gruntownego przygotowania teologicznego, jak Marcin Kromer, Stanisław Hozyusz, Jakób Górski, Benedykt z Koźmina, Benedykt Herbest, Stanisław i Krzysztof Warszewiecy, Marcin Białobrzeski, Jan Leopolda, Wojciech Nowopolski, mając na czele owego dziwnego, pełnego charakterystyki człowieka przejścia, Stanisława Orzechowskiego.

Od Orzechowskiego wypada nam zacząć. Rozgłosności tego nazwiska za życia nie odpowiedziała ani głucha jego śmierć w r. 1566, ani szybko o nim zapomnienie współczesnych, ani kwaśne i nieprzychylnie o nim sądy późniejszych historyków literatury, które w ostatnich dopiero czasach w przeciwnym zupełnie kierunku zrównoważył Ludwik Kubala w swej pięknej i prawdziwie znakomitej ustępie mieszczącej pracy o tym nadzwyczajnym człowieku, czyniąc go jedną z głównych przyczyn zwrotu, jaki Polska ku katolicyzmowi uczyniła. To pewna, że w Orzechowskim wszystko, cośmy jako sumę humanizmu polskiego przedstawili, znajduje swoje odbicie; wytworna łacina, impetyczna wymowa, lekki obyczaj, dworskość, kameraderya i pochlebstwo, wieszanie się pańskich klamek i śmiałe pchanie się na wielką widownię świata, występuje u niego wybitniej niż u kogokolwiek; punkt wyjścia nawet religijno-polemiczny znajdzie się w zakresie myśli tego humanizmu. Syn szlachcica polskiego i popadianki, w Rzymie i Wittenberdze bywały, przecież cały pod urokiem pierwszego, nie z Rzymu i nie z Wittenbergi, wszakże czerpie on swoją myśl, która go z istniejącym porządkiem rzeczy w Kościele pokłóciła: on ją czerpie z Rusi, z Rusi o niejasnem do Stolicy Apostolskiej stosunku, z tej Rusi, gdzie władcyka przemyski wyraźnie nie uznawał związku z Rzymem i Polską. W r. 1544 ogłasza on pismo: „Baptismus Ruthenorum,“ pismo, w którym radzi Ruś uważać za nieodpadłą i poprzestawać tylko na oświadczeniu przy Papieżu, pismo, w którym tkwią motywa polityczne, znane nam wśród humanistów z końca XV wieku. Nic prostszego jak związek między tem wystąpieniem *gentis Rutheni, natione Poloni* a domaganiem się zmian w kościele polskim pod względem bezżeństwa księży i komunii pod dwoma postaciami. W obrębie takich domagań się, z nadzwyczajną gwałtownością głoszonych, obraca się Orzechowski w pierwszych swoich wystąpieniach i pismach, na wierność stolicy Apostolskiej szczególny zawsze kładący nacisk, wszakże aż za nadto spleątany z kołem humanistów i reformatorów, idących daleko dalej i śmieiej. Tak dochodzi aż do owego małżeństwa z córką Chełmskiego, do procesów kanonicznych i zawieszenia swej sprawy w Rzymie, staje się przez kilka lat jakby żywym centrum, około którego obraca się spór narodu z Kościołem, chęć jego fałszywa, aby unicki obrządek wyparł łaciński. Zachowanie jego w tych czasach

wielekroć wstrętne, bezwstydnę, oburzające, czy kiedy obrzuca biskupa swego nienawiścią i szyderstwem, czy kiedy odsłania żar namiętności ludzkich, kiedy z pięścią raczej niż perswazyą wystraszyć chce dla siebie wolność od cenzur, czy gdy w próżności bez granic lubuje się w swojej skandalicznej roli i chlubi zachowaniem u możnych. Wstrętne to, jak wstrętne a dobrze z praktyki życia znajomem zainteresowanie się nim społeczeństwa. popularność jego i zachowanie między ludźmi, trwoga biskupów przed przemożnym trybunem, bierność ta fatalna, która podaje ludzi na ofiarę każdemu, co uderzy w ich strunę słabą, co śmie. W tej walce toczonej lat kilka znalazł swój swego: jeden Aloizy Lipoman odtrącił go twardo i bezwzględnie, jak na to zasługiwał ksiądz wykolejony, buntowniczy, niebezpieczny, tem niebezpieczniejszy, że zdolny. Zakotłowało w jego dumnym, próżnym, nadmiarem poklasku jednych, trwogą drugich znarowionym umyśle, zagrała w nim zresztą struna szlachetniejsza, ludzka: miał żonę i dzieci! Grom jego, pismo *Repudium Romae!* opuszczenie Rzymskiego Kościoła, uderza przedewszystkiem w chwiejność tych, co go ludzili obietnicami! Grozi w nim nie luteranizmem, nie fundowaniem nowego kościoła ale prawosławiem! Wszakże nie! pismo to nie wychodzi na jaw, nie ma śladu, aby druk ujrzało; wie o nim jeden człowiek: wie Frycz Modrzewski, a biskupi Uchański, rzecz ciekawa, Przerębski, czynili wszystko, aby zatrzymać w ręce potentata umysłowego grom ów papierowy a tak silny przecie. Zatrzymali! Tutaj kwestya co do ocenienia Orzechowskiego: dałże się powstrzymać nowemi obietnicami w tym najcięższym dla niego czasie, czyli też ochłonawszy z gniewu, oburzenia, upokorzonej miłości własnej cofnął groźby, powrócił do uczuć katolickich? Mam to ostatnie przekonanie; mniemam, że Orzechowski w prawosławiu utonąć nie chciał, różnowierstwa zasadniczo nienawidził, do katolicyzmu był całą istotą swego ducha przywiązany. W piersi tego człowieka były olbrzymie namiętności, było zepsucie wieku; ale to co go podnosiło, co w nim wrzało na dnie były zasady katolickie; to co mu w życiu po nad wszystko zaimponowało była wielka idea jedności zestrzelona w Rzymie, było zwierzchnictwo myśli moralnej po nad światem, była nauka ś. Tomasza z Akwinu o stosunku Kościoła do państwa. To czem w 1562 wystrzela, nie jest fabrykatem na prędce ułożonym, nie jest doktryną dla pozyskania względów Rzymu, tem mniej episkopatu polskiego zupełnie inne mającego tendencje: jest kombinacją myśli i studyów po r. 1556 podjętych, z temi wyobrażeniami republikańskimi, które w roku 1553 znalazły swój wyraz w przedmowie do Przyluskiego statutów. Na kilka lat Orzechowski jakby przepadł bez wieści: nie ma go na widowni publicznej, gdy najsilniejsza za Kościołem narodowym agitacya, owym Kościołem, który

niezawodnie nietylko byłby legalizował jego małżeństwo, ale nie szczędził mu poparcia do wysokich dygnitarstw. Siedzi w Żurowicach, Przemysłu, obcuje z przychylnym sobie domem Tarnowskich, a oto pierw nim zjechał legat Kameryński, z laskawszemi względem niego instrukcyami, pierw nim go synod 1561 przypuścił i warunkowo rozgrzeszył, wyjeżdża na harc przeciw Krowickiemu, Mikołajowi Oleśnickiemu, Stadnickiemu ze Żmigroda w r. 1560, aby następnie maczugą „Chimery“ uderzyć w Stankara. Człowiek XVIII wieku, J. Maksymilian Ossoliński, w obszernem swojem dziele o Orzechowskim, zbrzydził nam Chimere, jako płód grubiański i cudacki, jak w ogóle Orzechowskiego zdolnym tylko uczynił warcholę. Wobec historii innej tu trzeba miary, miary czasu. „Chimera“ była nie książką tylko, ale czynem i wypadkiem. Jednego z tych pieszczołów różnowierczej szlachty, mistrza pierwszego rzędu, napadał Orzechowski, napadał gwałtownie, całej na nim nie zostawiając nitki; z nim i w nim, jak mówi wyraźnie, napadał całe różnowierstwo, budząc narodową nienawiść do darmożjadów wodzących szlachtę na pasku. Jak oświadczenie się przeciw Lutrowi Erazma w Europie, tak Orzechowskiego przeciw Stankarowi w Polsce było rzeczą wielkiego wrażenia, która odbiła się i zagranicą, w Niemczech i Włoszech. Grubiaństwa przytem i gwałtowności nie wypełniają przecie całej książki, wytworną łaciną pisanej, powstałej z jednego odlewu, niezmiernie śmiałej w twierdzeniach, jeżli się przeciętną opinię polską na uwagę weźmie. Jak Przyłuski trafiał w jądro rzeczy omijaniem prymatu Papieża, tak Orzechowski trafia w nie stawianiem tego prymatu bezwzględem, niezmiernie niepopularnem, a więc niezmiernie śmiałem. W tem też myli się Kubala, że wbrew własnym premisom uważa Orzechowskiego za uderzającego w tradycję zamierzchłą ale żywą. Tradycja ta, jak wykazaliśmy dowodnie, była słabą, prymat niepopularny; cóż dopiero z konsekwencyami tak daleko idącemi jak te, które wyciągał Orzechowski! Bo w Chimere już zakreślone są idee polityczne, które rozwinął w „Kwinkunxie“ i „Dyalogu o Egzekucyi,“ idea zwierzchnictwa władzy kapłańskiej nad władzą świecką, idea Polski opartej o Papieża i króla, która stoi tylko równowagą władzy duchownej i świeckiej. W Polsce nie byłoby nigdy popularnem, nawet po zwycięztwie katolicyzmu. Dyalog też i Quincunx, chwalony i uznany przez Hozyusza, nie doczekały się nigdy przedruków, powoływani, uznania; „Policya,“ na tychże myślach zbudowana,—nawet druku. Ale odegrały one mimo to rolę twardego munsztuka, założonego rozhukanemu rumakowi różnowierzczemu, ba nawet, skłonemu do paktów miękkiemu katolicyzmowi. Postawił Orzechowski zasadę skrajną, przeciwną teokratycznemu królestwu, postawił ją z tą bezwzględnością, z jaką chwytają się jej nawróceni na katolicyzm angli-

kanie i prawosławni; uderzył w drugą strunę, w strunę republikanską, która grała w społeczeństwie zawsze bardzo żywo; a jak Zygmunt August przyjęciem księgi Ustaw Soboru przeciął spór na górze, tak Orzechowski swoim zasadniczym stawianiem Papieża i Rzymu wniósł żywiół, z którym musiano się liczyć, który w dysputach dotąd omijano raczej, niż potracono. W ostatniej pośmiertnej swojej książce, o Policyi Królestwa Polskiego, zaczerpnąć też można nowego dowodu, że w tym szczególnie czlowieku odgrywała się może najgłębsza, najbardziej zasadnicza walka idei szesnastowiecznych w Polsce. Jestto pierwsze rodzime a jako takie jedyne w naszej literaturze zacięcie filozofii historyi, obracającej się około zagadnień, jak się ma myśl starożytności pogańskiej i zdobycze jej do myśli chrześcijańskiej, czlowiek do społeczeństwa, społeczeństwo do rządu i woli Bożej, zagadnień, które rozstrzygnięte wedle myśli Orzechowskiego, składają się na utopię jego Królestwa Polskiego, z prymasem i królem na czele. Przyjaciół i obrońców humanizmu, stacza tu Orzechowski namiętną, jak zwykł był czynić wszystko, walkę z luteranizmem proskrybującym starożytność i Arystotelesa; dowodzi że brak filozofii prowadzi różnowierców na coraz błędniejsze tory, i jest też niejako pierwszym reprezentantem tej wielkiej zmiany, która się objawia w świecie ówczesnym umysłowym: popierania studyów humanistycznych przez katolicyzm, zaprzepaszczenia ich i zaniedbania przez różnowierstwo.

Najpowierzchniejszy przegląd pism różnowierczych wystarczy, aby się o tem przekonać. Frycz i cała plejada Antytrynitarzy, Kalwini i Lutrzy wszedłszy raz na pole polemiki religijnej, posługują się wyłącznie pismem świętem i jego egzegezą. Szkołom wyznaniowym różnowierców, tak im przychylny Łukaszewicz zarzuca wyłącznie religijny i polemiczny charakter, gdy Akademia krakowska w drugiej połowie wieku XV, z Benedyktem z Koźmina, Herbestem, Jakóbem Górskim, Wojciechem Nowopolskim, Wojciechem Wędrogowskim, Marcinem Glickim z Pilzna, Janem Leopolitą, Janem Tarczynem, Grzegorzem Samborskim, Feliksem Sierpskim, Stanisławem Pikusem, wchodzi bez przeszkody na grunt humanistyczny, wytwarza pierwszych na tem polu specjalistów, uchyla z nauk wymaganych na stopień magisterii *veterem Artem, Posteriora* i *De anima*, zastępuje Etykę *Tuskulanami* Cyncerona, ba! pod koniec epoki naszej w r. 1579 przeprowadza reformę, aby profesorowie wszelkiego wyposażenia wykładali *humaniora studia*, w rzędzie zaś autorów do wykładu przeznaczonych, obok nazwisk Cyncerona, Wirgiliusza, Homera, Hezyoda, Herodota, mieści Euripida, Pindara i Arystofańesa, Izokratesa i pomniejszych mówców greckich, których wykład mają dzisiaj tylko większe uniwersytety. Nie pomogło to Uni-

wersytetowi ani wobec różnowierców, ani wobec obozu katolickiego, wprowadzającego szkoły jezuickie, ani wobec potomności, małą dotąd w książkach uwzględniającej zwrot ten wybitny i poważny, ludzi jego znakomitych, zacnych i gruntownych. Nie pomogło, bo pomimo naj-energiczniejszych ustaw Marcina Krokiera, rektora Uniwersytetu, mimo Edyktów Zygmunta Augusta, mimo kar ekscedentów i ścinania ich przez magistrat miejski i sąd grodzki, swawola Rzeczypospolitej szalała w młodem akademickiem pokoleniu a formy ustaw uniwersyteckich już na nią nie wystarczały. Stwierdza to Górski w cytowanym już tekście, stwierdzają rysy o wypadkach kryminalnych, które fanatyzmu religijnego tylko wyjątkowo noszą cechę na sobie: proste to rabusiosstwo, bójki krwawe i okrutne, wycieczki w okolice za napadami rozbójniczymi, objawy dzikości i barbarzyństwa, rozgaszczają się pod skrzydłami Almae matris, uszczuplonej przez wydzierstwo dóbr w dochodach, oskarżanej przez jednych (Nuncyusza Ruggieri) o różnowierczych bakalarzy, przez drugich o napady na zbory protestanckie.

Wspomnienie to o uniwersytecie, którego nigdy nie spuszczały z oka, pozwoliło nam umieścić dalsze nazwiska katolickiej falangi umysłowej Górskiego, stałego prolokutora i wydawcę dzieł Orzechowskiego, Benedykta z Koźmina, zwanego Erazmem Roterdamczykiem polskim i wydawcą fachowych do Cycerona komentarzy, Nowopolskiego, który Apologią *pro catholica fide* i mową o zepsutych obyczajach wieku, stał w rządzie najgruntowniejszych i najwymowniejszych obrońców Kościoła; Grzegorza z Sambora, który z Andrzejem Trzycieskim, różnowiercą, współzawodniczył o palmę poezyi i niepoślednie w mało poetycznym czasie zajął miejsce; Marcina Glickiego, wielokroć rektora uniwersytetu, humanistę i polemistę religijnego, człowieka pełnego surowej cnoty i poświęcenia, który w czasach często srożącej się morowej zarazy, sam jeden nie odbiegał ołtarza, uniwersytetu i biednych. Dziwna rzecz, że ludzi tych odgrzebywać trzeba i oczyszczać z śniedzi czasu: historyografii, i liberalna (Łukaszewiczów i Wiśniewskich) i katolicka—(Dzieduszyckiego), obie grubym przykryły ich cieniem, pierwsza, aby reakcyę katolicką zwalić wyłącznie na Jezuitów: druga—aby ją od nich zacząć. Tymczasem nic rzeczywistszego jak te zapasy swojskie myśli katolickiej z różnowierstwem; nic prawdziwszego jak że one właściwie, bo w czasie najgorętszym, o sprawie religii w Polsce zdecydowały: że bez nich, jak bez odraczającej polityki Zygmunta Augusta, potęga polityczna, terroryzm stronnictwa różnowierczego, wsparta niezmierną episkopatu słabością i upadkiem, mogły skierować sprawę religii w kierunku niebezpiecznym dla związku z Kościołem.

Zostawiliśmy na koniec dwóch najznakomitszych wojowników

falangi katolickiej: Hozyusza i Kromera. Obaj mieszczańskiego pochodzenia, obaj zawdzięczający swoją karierę oporności Jagiellonów, z jaką posuwali zdolnych synów mieszczan wbrew namiętnej szlacheckiej wyłączności, obaj niechętnie widziani przez szlachtę polską, jako półniemcy a przez indygenów pruskich, jako nieindygenowie ziemi, mającej mimo polszczenia się, wiele niemieckiego gruntu po dawnym zakonem wychowaniu. Obaj, jeżeli przyłożymy charakterystykę umysłowości jako miarę, umysły zbyt systematyczne, trzeźwe, akuratne, w myśleniu i wyrazie myśli do unoszenia się i tracenia miary niesклонne, nadewszystko zaś zbyt niestrudzenie i równo ciągnące taczkę pracy, abyśmy o nich powiedzieć mogli, że są polskimi; obaj, jeżeli przyłożymy ową drugą miarę, przywiązania do Polski i polaków, niezawodnie polacy. Hozyusz mianowicie, pomimo wielkiego i kosmopolitycznego stanowiska jakie zajmował, mimo niechęci, jaką w nim budziła różnowiercza Babilonia w Polsce, mimo niezgody na tergiwersacye króla, polak katolik niestrudzony w śledzeniu spraw i rzeczy polskich, w utrzymywaniu swego przeważnego na umysły, mianowicie na St. Karnkowskiego wpływu. Kromera mniej bronić pod tym względem potrzebujemy; wszystkim co pisał, stwierdził swój do Polski i polaków stosunek; a przecież jest w tem wszystkim taka przedmiotowość, taki krytyczny współcześnie i urzędowo-tendencyjny pogląd, taki chłód przychylności ale i trzeźwości pelen, że nie wahałobyśmy się poniekąd iść drogą odwrotną: w Hozyuszu widzieć więcej gorąca dla spraw i interesów polskich, w Kromerze więcej polityczności w traktowaniu narodu. Wyborny to znawca rozkielznanej gęby społeczeństwa rzucającego się w dysputę religijną, nieprzebierającego w argumentach i posługującego się bronią szyderstwa i paszkwilu, wyborny znawca i misternie, a spokojnie uderzający w jego słabe strony, gdy pisze swego dyalogowanego „Mnicha;“ wyborny znawca narodu, gdy charakteryzuje go w „Polonii;“ dziele niezawodnie klasycznym co do układu, jasności i przejrzystości, wdzięku przedstawienia, ale też niezawodnie dalekiem od wypowiedzenia ostatniej myśli o społeczeństwie polskiem. „Charakter polaków otwarty i prostoduszny, raczej dający się podejść, niż podchodzić umiejący, do przebaczenia i pozyskania skłonny, nie zasadzony na swoim, owszem do traktowania łatwy, byle łagodnie i ostrożnie z nim postępowano.“ Oto co pisze Kromer, niezawodnie trafnie, ale prawie jako obcy, jako podający receptę na sposób obchodzenia się z polakami. Oto co pisze i o czem bardzo dobrze pamięta całe życie, szczególnie kresląc i przerabiając swoją historję w trzydziestu księgach, daleką od surowego poglądu Długosza, hojną w gloryfikacyę narodu, lekko naprowadzającą czytelnika

w kolej myśli katolickiej możnowładczej a unię z Litwą wraz z zabranieniem ziem ruskich na rzecz Polski propagującej.

Ale jeżeli przytoczone co dopiero postacie świadczą o samorodnym reakcy katolickiej podroście, to o przełamaniu się kryzys religijnej świadczą niemniej wybitnie pierwsze indyferentyzmu a raczej unikania kwestyi religijnej objawy. Zapowiada je Łukasz Górnicki swoim Dworzaninem, a że nie przypadkiem to z jego strony, o tem mówią inne jego pisma, mówi cały charakter jego literacko-politycznego zawodu. Wytworny starosta tykociński nie lubi różnowierstwa, bo mówi w dziejach: „A za tem zepsowaniem jurysdykcyi księżej, do tego przyszło, że *impune* teraz bracia, siostry, synowcy, stryje i insze powinny powinni pojmują; są i ci co po dwóch żon mają, są i ci, którzy z cudzemi żonami ślub biorą i mieszkają,“ a dodaje: „Co jeśli dobrze! czas to pokaże.“ Ale i w Dworzaninie i w późniejszych, nie wydanych za życia pismach swoich, Górnicki unika kwestyi religijnej z systematycznością i umyślnością, która każdego uderzyć musi; jest niezawodnie katolikiem, ale stając przy powadze duchowieństwa, dopuszczając nawet mimochodem najwyższy rząd Papieża w świecie, kopii za ten system nie kruszy, kwestyi tej pod rozbiór nie poddaje. Dworzanin r. 1566 wydany jest pierwszą zieloną oazą wśród puszczy zawichrzonej burzami reformacyi, oazą, gdzie mowa o wszystkim, tylko nie o religii i o polityce właściwej; jestto jakby Decameron Boccaccia, gdzie ludzie wesolą i trefną rozmową ratują się od trosk rzeczywistości, co tem bardziej na uwagę zasługuje, że interlokutorowie Dworzanina, postacie rzeczywiste, jak Derśniak, Kryski, Bojanowski żywo są, jak wiemy, religią i polityką zajęci. Jeżeli w rok potem, 1567, „Żywot pocziwego człowieka“ Mikołaja Reja nosi też samą cechę umyślnego kwestyj religijnych przemilczania, tak dalece posuniętą, że wybija na książce, moralnym zagadnieniom poświęconej, jakieś dziwne konwencyonalności piętno, łączy antytezy religijno-polityczne jakimś ideałem epikurejskiej, środka pilnującej filozofii, bez cechy wyznaniowej a przeciw do katolickiej raczej tradycyi, do cnót dziadów, do lepszych, zacniejszych czasów nieustannie się odwołującej: znak to nieplonny, że środkiem między obozy sekciarstwa i katolicyzmu, płynąć zaczął prąd, jeżeli nie neutralny, to pragnący neutralności, walką i jej moralnemi skutkami znużony, szukający wolnego oddechu, bądź to w wytwornem dworskiem życiu i smaku lepszym, jak się to dzieje w Dworzaninie, bądź w tej rubasznej sielance przeciętnego żywota szlacheckiego, jak w Żywocie. Pierwsze to objawy owego domatorstwa polskiego, rozsądnego, trafnie rzeczy sądzącego, byle w czterech ścianach gościnnej izby, lub cieniu lipy ogrodowej, co to unika skrzętnie wsadzania palca między drzwi, rusza ramionami i mówi z Górnickim:

„Czy to dobrze, czas pokaże;“ objawy które niebawem zejda się w Janie Kochanowskim i zamkną go w Czarnolesiu tak, że tylko raz w Stężycy spróbuje mowy politycznej; objawy, które zapowiadają już naprzód że z przyczyny religii do wojny w Polsce nie przyjdzie; że ludzie dozwolą na wiele złego w politycznem ukształtowaniu ojczyzny, a palca między drzwiami nie włożą; że widzenia trafne, jak Górnickiego, pozostaną w domu albo staną się manuskryptem w szufladzie; że jeżeli na pierwszy plan żywota politycznego wysuną się religijno-polityczne obozy: katolicki i różnowierczy, to i tu w środek między te dwa obozy pogarnie się tłum, u którego religia nie będzie stała na pierwszym planie, który też nie będzie stał karnie za żadnym politycznym programem, ale ulegnie koniecznie najzręczniejszym agitatorom któregośkolwiek obozu, albo pochwycony wymową, albo splełtany względami, albo ruszający ramionami z polskiem przysłowiem: „Ja nie bocian, abym świat czyścił“. Do tych ruszających ramionami będą częstokroć należeli najlepsi i najmądrzejsi, którzy w ciągu wieków przechowują i rozum, i cnotę, i obyczaj, tylko niestety, nic nie pomogą rzeczy publicznej.

Mogła więc partya różnowiercza mieć pewien program polityczny, mogła dążyć do przetworzenia Polski na królestwo z Kościołem narodowym; programem tym była tak zwana egzekucya; brakowało jej tylko jednej najważniejszej rzeczy do tego zadania: brakowała jej możności narzucenia tego Kościoła narodowego Polsce, współcześnie zbyt sekciarsko-rozbitej i swawolnej a w religijny indyferentyzm już zapadającej; brakowało jej możności wykonania programu, chociaż w ustawy się wcielał; brakowało żywiołów na rząd, rządzących i rządzonych, rozkazu, wykonania i posłuszeństwa. To w istocie za wielkie braki. W wykonaniu programu egzekucyjnego warto się przypatrzeć charakterystycznym objawom. Bezwzględnie wykonane zostały tylko ustawy z roku 1565 o mieszczanach i handlu, jak bezwzględnie wyrzucono z tego sejmku posłów mieszczańskich, przybywających w obronie praw swoich. Do roku 1576, wiemy to dowodnie, Kraków był już w znacznym upadku; handle obcych kupców rozgościły się w kamienicach szlacheckich; część przemysłowców chwycić się roli poczęła; w początkach XVII wieku Cellarowie, Morykoniowie, Montelupowie, zastępują stare rody patrycyszowskie; cechy rozsypują się—wolny handel zabił mieszczański przemysł. Egzekucya dóbr od r. 1504 na sejmie 1562 uchwalona, powierzona została co do wykonania komisjom senatorsko-szlacheckim. Niebawem krzyk wielki, że egzekucya jest jako siatka pajęczna, którą przebija gruby bąk, a w której tylko drobniejsze uwięzają muchy. Kto winien? czyliż te komisye nie pochodziły z wyboru społeczeństwa? Niebawem też krzyk zwraca się w stronę inną: powstaje nie z poseso-

rami królewszczyzu, ale z królem wojna, aby dobra dziedziczne domu jagiellońskiego wedle prawa: *Nemo de genere ducum*, poddał pod ogólne prawo królewszczyzu; podnoszą się insynuacje, aby wątpliwe wierzytelności przyjmował w trzech czwartych swoich dochodów królewskich, zabezpieczając kwartę, przeznaczoną na stałe wojsko, na dochodach pewnych. Myśl ścisłej centralizacji Litwy i Polski z uchyleniem dualizmu urzędów podnoszoną była na sejmie r. 1563/4; na sejmie 1569 już jej nie spotykamy, a była to przecież owa jedyna, którą się stronnictwo polityczne szlacheckie, przynajmniej jako trafną teorią chlubić mogło. Czy zamierzona demonstracyjnie wojna domowa: wyprawa przeciw litwinom, abstencyi się chwytającym, była czemś więcej, jak poparciem przyłączenia Wołynia, Podlasia i Ukrainy, wątplić należy; to pewna, że ukrócenie mieszczaństwa, zagarnięcie i otwarcie południowo-wschodnich przestrzeni Litwy, były to jedyne dwie kwestye powszechnie popularne, ogólne, wszystkim dostępne, które też mogły liczyć na poparcie masy szlacheckiego narodu.

Bo różnowierstwo raz jeszcze hazardowało trzecią. Synod sandomierski 1570 zgromadził mecenasów i ministrów wyznań luterskiego, braci czeskich, kalwinów, arian usunięto od razu. Ministrowie każdego wyznania gotowymi byli walczyć do upadłego za swoje dogmata, ale panowie senatorowie dosyć impetycznie wdali się w rzecz, oświadczając, że chcą mieć takie lub owakie, ale wyznanie jedno, polskie, że mają nadzieję zatwierdzenia wyznania przez króla, a nawet przyjęcia, jeżeli dojdzie do skutku. Stało się, co przewidzieć można było: spisano po długich targach konsens sandomierski, który stanął przeciw papieżnikom i innym nieprzyjaciolom ewangelii, a *Corpus doctrinae christianae* na później zapowiadał. Sejm 1570 miał rozstrzygnąć o sprawie; przed sejmem wręczono królowi konfesya. Mimo splątania nowego sprawy z sprawą królewskiego rozwodu, omyliła wszelka nadzieja: król o konfesyi wiedzieć nie chciał, na sejmie o niej mowy nie było. Był to atak ostatni, stanowczy; pierwszy sejm obu narodów mający radzić o uporządkowaniu elekcyi, o założeniu skarbu publicznego, o reformie sądownictwa, recessem sejmu Unii przekazanych, rozszedł się haniebnie na niczem, wśród objawów wyraźnej przeciwko królowi nienawiści, wśród szyderstwa z jego rodzinnego nieszczęścia i jego bezpotomności, wśród społecznego zawiązywania na wszystkie strony stosunków z zagranicznymi panami, co po jego śmierci w Polsce panować mają! Różnowierstwo zatem wołało na króla: Zrób to, czego my zrobić nie umiemy, pogódź nas, doprowadź do jednego zdania naszych ministrów i prezbyterów, których pogodzić nie zdołamy, każ odstąpić od wiary katolickiej tym, którzy jej wiernymi pozostali, przesładuj katolików i arianów a wtedy

mówić będziemy o warunkach państwa, sprawie elekcji, skarbu i sądownictwa. Gdy nie! nie chcemy państwa, zniechęcimy cię, obejrzymy się na zewnątrz. Dopóki nie, nie wspieramy twoich wojen, obojętnie przyjmujemy nieszczęścia kraju i zawiakłania zagraniczne. Zapominając już o wszystkich okropnościach moralnych takiej insynuacji po r. 1564, po przyjęciu trydenckiego koncylium, zróbmy bilans sił. W senacie 70 katolików, 58 różnowierców, 2 schyzmatyków; wśród szlachty niezawodna, bo sprawdzona w r. 1572 większość ogromna katolicka w Polsce, schyzmatycka na Rusiach i Litwie; lud katolicki lub schyzmatycki. Na wschód Iwan Groźny, przetapiający Moskwę opolczeniami w jedną karną masę; na zachodzie rozpoczynająca się reakcja katolicka. Katolicy już od r. 1563 oglądający się na dwór austriacki, a między nimi prócz Hozyusza, uważany za chłodnego Filip Padniewski, zbrojący się pocichu, aby mógł stawić czoło Kalwinom. Różnowiercy toczeni aryanizmem a nienawidzący się między sobą tak, że w 1573 Zborowscy przechylają szalę na korzyść katolickich widoków z nienawiści do Firleja. Antagonizm między Polską i Litwą tak świeży i silny, że bezpośrednio po śmierci Zygmunta Augusta, możnowładcy, różnowiercy i katolicy stawiają jako pierwszy warunek kandydatom rozerwanie Unii. Antagonizm między Wielkopolską a Małopolską, stary, wietrzejący, zdolny jest ugrupować różnowierczych wielkopolan około katolickiego arcybiskupstwa, przeciw małopolskiemu różnowieczemu marszałkowi. Wszystko to objawy najbliższe, objawy, na które król patrzył, albo których nie dożył, a na które my patrzymy, aby osądzić, czy miał racją czy nie, że nie uległ ostatniemu atakowi o narodowe wyznanie. Na zrobienie wielkiego zamętu a ewentualnie i wielkiego nieszczęścia, dosyć silni, nie dawali różnowiercy żadnej ręką, że postawić zdołają państwo z materiału, który dotąd był federacją tylko pod jednym królem, budzić za to mogli wszelkie obawy, że go rozsądzą i rozbiją. Jakoż dali oczywiście pierwszą tego rozbicia przyczynę, bo powiedzieli pierwsi: Skoro panować nie możemy, nie chcemy państwa, skoro król okiełznać się nie da, warunków silnego, lepszego rządu nie dopuścimy.

Bez szkody dla prawdy, bez naruszenia kompozycji obrazu, darować sobie też możemy w dzisiejszem przedstawieniu ostatnie lata Zygmunta, czasy jego choroby, moralnego upadku, tragicznej śmierci. Najwytworniejszy z humanistów, umierający w otoczeniu szkaradnem, jakiego wzoru szukać chyba na zepsutych dworach włoskich książąt, wśród kobiet okropnych i dworzan niegodziwych, czarodziejów i czarodziejek, zniechęcony przez różnowierców, że zgroszą sądzony przez lepszą część episkopatu, nieodgadniony do końca co do fantastycznych,

dzikich pomysłów dni ostatnich, obracających się wszakże około sprawy wyzdrowienia, życia, pozostawienia potomstwa! Samotności takie, gdzie mocarz ginie wśród niskich i podłych, spotykają się w historii tylko u wielkich despotów i tyranów; umiera tak Tyberyusz, Neron, Ludwik XI; Zygmunt August nie był jednym i drugim: był najdobrotliwszym i najłagodniejszym z królów, jak mówi Górnicki, jedyny sympatyczny śmierci jego świadek, jedyny, który płakał zapewne nad jego ciałem; był cudownym prokrastynatorem, jak mówi opat Cyrus, dokładny zapisywacz wszystkich wiadomości o ostatnich dwóch latach jego życia. Ale Zygmunt August był mężem stanu, jedynym, jakiego Polska miała, któremu przyszło kierować nawą w najstraszniejszym z zawichrzeń ojczyzny, w zawichrzeniu religijnem—kierować samemu, gdy wszyscy inni mieli inne punkta widzenia, gdy ręka w rękę nie można było pójść z nikim i niczem i na niczem oprzeć się bezwzględnie nie było można. Po dwóch stronach wolano nań o religijną wojnę: nie posłuchał; ofiarowano władzę z wykołajeniem Polski z jej stanowiska cywilizacyjnego: nie chciał; przyjąwszy dekreta Soboru r. 1564, do końca życia przeszkadzał nawet zebraniu Synodu prowincjonalnego, aby nie dać sposobności ich określenia i uszczuplenia. Odbieżono go w końcu, znenawidzono: zropaczył, upadł, szamotał się zgryzotami, których nikt nie podzielał i nikt się nie domyślił; przewidywał, co będzie i umarł jako najnieszczęśliwszy z ludzi. Można ubolewać nad uczniem Jana Sikula, synem Bony, wychowankiem Piotra Opalińskiego; można żałować, że miał te wszystkie strony ujemne, jakie historia społeczna i późniejsza zapisuje; ale w ocenieniu jego górować musi nad wszystko ten, który zachował, chociaż mógł zachwiać stanowczo, który postawił, czem стоимy dotąd—katolicyzm i unię, dwa nasze połączenia z Zachodem. Jestto jedna z wielkich postaci w historii świata, wielkich, chociaż po ludzku moralnie zachwianych; w których humanizm chrześcijański zwyciężył starożytność, bo powiedział: Nie świeckiej władzy rzeczą stanowić o wiecznych, nie chrześcijańską rzeczą doczesność brać za wszystko na tym świecie. I dla tego pokój pamięci ostatniego z domu Jagiellonów! dla tego uprawnioną historycznie ta cześć pełna bóleści, która porusza sercem polaka, gdy odwiedza groby tej dynastyi, gdy dzwon Zygmunta płacze nad miastem, nad Polską i nad chrześcijańskim światem...

Z zadania, które nam jeszcze pozostaje, możnaby się wywiązać w sposób obszerniejszy lub mniej obszerny, wdając się więcej lub mniej w szczegóły tego ukształtowania, które przybrała Polska w najbliższych latach po śmierci Zygmunta Augusta, a które o warunkach

jego bytu w. XVII i XVIII postanowiło. Wybieramy sposób przedstawienia zwięźlejszy, bo pozwala na to czas, w który wstępujemy, czas pamiętny wypadkami decydującymi z szybkością i stanowczością czasów prawie rewolucyjnych o losie tych czynników dziejowych, któremi się zajmujemy.

Bezkrólewie po Zygmuncie Auguście musiało się obracać około głównej kwestyi czasu—religijnej. Zna ono tylko dwa rzeczywiste zasadniczne prądy: katolicki i różnowierczy; pokazuje od razu, że jeżeli pierwszy mógł się zarazem nazywać stronnictwem, drugi tylko prądem pozostał. Pierwsze miesiące zdecydowały, że różnowierstwo, jako takie, elekcyą pokierować nie może; w walce o przywództwo w bezkrólewiu między marszałkiem Firlejem, głową małopolskich kalwinów, a prymasem, prymas zwyciężył; zwyciężył poparciem prowincjonalizmu, w znacznej części—różnowierczych wielkopolan, i defekcyą różnowierczych Zborowskich z obozu Firleja. Przywództwo upadło, katolicy i Zamoyski przeparli elekcyę *viritim*, obalili wybór przez wzmocnioną Izbę poselską, która terroryzmowi różnowierczemu posłuszną być mogła, zatrąbiono na odwrót, na stanowisko obronne; zaczepne, dominujące już było straconem.

Ale i pod innym względem okazuje prąd różnowierczy pękniętą tarczę. Miarą dzielności stronnictw pozostanie zawsze szybka decyzya na to, co możliwe, co najbliższe zamierzonego celu. Sądząc z tego punktu widzenia żywioly stronnice pierwszej elekcyi, musi się oddać prym stronnictwu katolickiemu, które powiedziało sobie od razu: król cudzoziemiec i katolik, mniejsza który; odcieniowi separatystycznemu litewskiemu, które bez względu na religię od razu pisało się na arcyksięcia Ernesta, pod warunkiem rewizyi Unii; na końcu dopiero stoi falanga różnowiercza małopolska, która chce rzeczy najtrudniejszej, najmniej prawdopodobnej i możebnej—wyboru Piasta.

Pierwsze więc miesiące zdecydowały o zupełnej porażce różnowierstwa, jako politycznego czynnika. Na głowę, przywódcę zdobyć się nie mogło, kandydata nie miało, porządek i organizacya elekcyi nie po jego poszły myśli. Poniewczasie może żalowano w szeregach tego stronnictwa, że je tak dla wygody nazwiemy (my widzimy tylko Firleja i najbliższych), że zepchnięto z porządku dziennego sejmu 1570 roku, sprawę uporządkowania elekcyi. Ale nie! przeklinano pewniej Zygmunta Augusta, że nie przyjął zgody sandomierskiej! Obawa przed królem katolikiem, twardszej niż nieboszczyk ręki, oto najbliższa myśl i najpierwsza troska. Poprawa ustaw była tylko frazesem, głoszonym niezawodnie przez wielu z dobrą wiarą, z przeświadczeniem o potrzebie, na który wszakże wszyscy trzeźwiej patrzący ramionami ruszać musieli.

Pokój religijny, tym razem stały. królowi w przysięgę włożyć się mający, stanął na pierwszym planie, opisanie stanowiska panującego *jedyną częścią poprawy praw*, którą starano się przeprowadzić. Nie mogąc panować, trzeba się zabezpieczyć. Protestowali katolicy przeciw konfederacyi t. z. dysydenatów, protestowali przeciw rzekomej naprawie Rzeczypospolitej i ustaw; ich naciskiem przeszło wniesione przez Zamoyckiego głosowanie *virilim*, to wszystko prawda; ale główne źródło różnowiercze, Orzelski i wszystkie inne wiadomości zgodnie świadczą, że *w sprawie władzy królewskiej*, a co za tem idzie, w sprawie państwa, stanowisko różnowiercze, łączące przeważną część stronnictwa reformy, stało na stanowisku — *wręcz odmiennem od tego, jakie zajmowało dawniej* — królewskości i warunkom państwa nieprzychylnem. „Bezkrólewie polakom tę korzyść przynosi, że wolno im przez czas jego trwania uchwalić, jakie chcą i jakie im potrzebne są swobody a uchwalone przełożyć, zwyczajem przodków, obranemu jednozgodnie przez wszystkich królowi. Gdyby nie było innych przykładów, samo życie i obyczaje nieboszczyka króla są niezbitym dowodem potrzeby zmiany, lub pomnożenia swobód i ściślejzego ograniczenia władzy królewskiej. Jeżeli król przyszły będzie także samowolny, wykoszlawi się cały porządek społeczny, stanie się zaś łagodniejszym, jeżeli zostanie ujęty węzłem. Nie *królem*, lecz porządkiem stoi każda Rzeczpospolita, nie na królu, ale na *prawie* się opiera.“

Tak Orzelski, który współcześnie kładzie w usta przeciwników: „Do poprawy ustaw nie jesteśmy zdolni; chcemy conajprędzej króla, dzielnego wykonawcę praw, któryby uspokoił chorą Rzeczpospolitą. Jeżeli ten król będzie miał sumienie i dochowa przysięgi, potrafi najlepiej wszystkim zarządzić, stosując się do prawa pisanego; w przeciwnym razie, chociaż zgromadzą kupy ustaw, król wszystko zepsuje.“ Wzięto się jednak pod naciskiem różnowierców do *naprawy samej tylko królewskości*. Dzieło, które podówczas stanęło, t. z. *Artykuły Henrykowskie*, nosi na sobie wyraźne ślady swego twórcy, prokuratorzkiego adwokackiego rozumu, stronnictwa dawnego reformy, czyli egzekucyi. Ta sama w nim interpretacya, nie prawnicza ale rabulistyczna, to samo zeszywanie tekstów dawnych ustaw — nie wedle politycznej jakiejś myśli, nie wedle jakiegoś głębszego wglądu w naturę człowieka i społeczeństwa, w jego potrzeby, pokusy, obłędy, krzywe zapatrywania, ale wedle pieniackiej logiki kreślącego najniewygodniejszy, pełny kruczków i figlów dla przeciwnej strony kontrakt spółki rządzenia.

Ponowil się r. 1570. Nie chcesz naszego wyznania, mówiono wówczas Zygmutowi Augustowi, nie chcemy reszty zamierzonego twego dzieła, uporządkowania elekcyi, skarbu, sądownictwa. Nie chcecie na-

szego przywództwa, mówiono r. 1573, nie chcecie naszego porządku elekcyi, nie będziecie chcieć naszego króla, nie znoscie już naszego terroryzmu: musimy się zabezpieczyć, musimy na pierwszy plan posunąć wolność naszego wyznania, musimy waszego króla uczynić jak najslabszym, aby tej wolności świeżo zdobytej być pewnym. Więc wolna elekcyja, bez możności naznaczania sukcesora za życia królewskiego, więc odjęcie prawa *pacis et belli*, więc ograniczenie jedynej siły—pospolitego ruszenia, więc odjęcie prawa konkluzyi w senacie, więc ustanowienie rady przybocznej szesnastu senatorów, bo w senacie nasza siła, więc wszechwładztwo dwuletniego sejmu, więc obrona granic własnym nakładem królewskim, więc odzyskanie tymże nakładem awulsów, więc artykuł o uwolnieniu od posłuszeństwa w razie przekroczenia prawa!

Ale jedno jeszcze, jedno tkwi w tej dorywczej, okolicznościowej, zabójczej, ustawodawczej pracy o królu, pracy stronnictwa, które zostawszy mniejszością, nie dozwoliło zbudować się społeczeństwa na większości. Tkwi stara myśl Modrzewskiego, aby większość nie konkludowała, aby król nie wedle zdań liczniejszych, ale tych, które przy prawie i wolnościach stoją, się oświadczał. *Liberum veto* nie wypowiedziane, ale przygotowane dla *mniejszości różnowierczej*, zbudowane na średniowiecznym *consensus omnium* Aleksandra, jak artykuł *de non praestanda obedientia* zbudowany na przywileju mielnickim, kwestyonowanym przez katolicki senat, nie umieszczonym w zbiorze ustaw Laskiego.

Zupełny więc przewrót: większość katolicka chce jak najprędzej króla, króla-katolika; jemu milcząco chce powierzyć ster skolatanego i zagrożonego społeczeństwa, mniejszość różnowiercza wyrabia pojęcie udzielnosci narodu jako podstawę prawną, powrót władzy do narodu, jeżeli król zobowiązań nie dotrzyma i dyktuje zobowiązania, które i Henryk i Batory, pierwsi elekcyi, za niemożliwe uważają, które mieszczą w sobie warunek nie do wypełnienia: oświadczenia się po stronie królewskiej nie przy większości zdań, ale przy prawie, prawie przez każdego inaczej interpretowanem, pojmowanem inaczej, przez króla zaś z natury rzeczy—na korzyść władzy własnej. Zarzut tu bliski, że to nie sama mniejszość różnowiercza, że ustawa 1573 r. wylicytowaną została wraz z Paktami Konwentami przez ludzi, co popłynęli środkiem, co politycznie chcąc przywoździć, wyszli po nad religijną kwestyę, przez rodziny, jak Zborowscy, rozstawiające swoich członków w wyznaniach i stronnictwach, aby się na wszystkie strony zabezpieczyć, przez ludzi, jak Zamoyski, co wyszedłszy z różnowierczych początków, płynęli zręcznym ramieniem, unikając Scyli Charybdi religijnych, aby się wznieść

i zrobić karierę polityczną; przez obce wpływy nareszcie, jak Montluca, posła francuzkiego, co katolikom szeptał o Nocy Ś-go Bartłomieja, a przed różnowiercami nad nią płakał, co nad Paktami Konwentami zaczął trząść głową — dopiero po wyborze Henryka. Niezawodnie! ludzie ci zdecydowali o zwycięstwie antykrólewskiego, fantastyczego kierunku konstytucyj r. 1573, wylicytowali ją do góry, ale jeśli to czynili, czynili to tylko, licząc się obiema stronami, od których byli zależni, tańcząc na linie, między dwoma obozami rozpiętej. Byli oni średnią wypadkową obustronnych o religię obaw, dawali każdej stronie czego chciała: katolickiej króla-katolika, różnowierczej określenie króla-katolika; królowi-elektowi mówili na ucho, że z tego wszystkiego jest punkt wyjścia: niedotrzymanie tego, co się obiecało. Stracyuszami nazywa polaków tego kierunku Czarnkowski i słusznie; mimo zdolności, swady, energii niepospolitej, są to w chwilach pierwszych dwóch elekcyj demagogowie tylko, przeznaczeni, aby się zetrzeć wzajemnie i wykluczyć. L dzie tacy obejmują ster sprawy, gdy w stronnictwach właściwych, stronnictwach idei, wygórowała sprawa stronnictwa ponad sprawą dobra publicznego, gdy ogłuchnie i zbezładnieje ten środek, ta miara polityczna, która się rozumem stanu w społeczeństwie nazywa, ta miara, która była w sponiewieranej postaci Zygmunta Augusta, a teraz w szczątkach swoich ukryła się gdzieś z p. Łukaszem Górnickim, z Janem Kochanowskim, z Janem Dymitrem Solikowskim, autorem „Klinów“, krytyki gruntownej ustaw r. 1573, z szlachcicami licznymi niezawodnie, lecz nieznanymi, co widzieli złe, ruszali ramionami i mówili: „Co z tego będzie, przyszłość pokaże.“

Że się dwa takie stronnictwa wytworzyły, że się tak rozbiegły, to reformacyi mamy do zawdzięczenia; że środkiem nich popłynęła demagogia, to także tej samej przyczyny skutek; że demagogia chcąc się utrzymać i postawić na swoim, liczyła się w konsytyucjach przede wszystkim z obawami różnowierców, że z nimi razem i dla nich osłabiała władzę królewską, to nam przyniosło ową płonącą Dejaniry koszulę, która państwo strawiła, zanim naród rozpaczliwemi ruchy zdołał ją zrzucić ze siebie.

W XVI wieku nikt nie wierzył, aby państwo, aby panujący mógł być tolerantem, nikt nie wierzył w szczerść takiego przyrzeczenia, ani w jego możność. Duchowieństwo protestowało głośno przeciwko konfederacyi pokoju dysydenckiego z otwartością i lojalnością, usuwając na bok wszelkie polityczne względy; pisali przeciw niej Hozyusz, Wujek, Warszewicki, piorunował Skarga; w następnych dwóch wiekach naród dogmatyzujący swoją konstytucyę z coraz większem zaślepieniem, matkę jej właściwą, fundament, konfederacyę pokoju z dysydentami dławił wy-

pędzeniem arianów, zastrzeżeniami przeciw aktowi konfederacyi, fanatycznym prześladowaniem torunian, męczeństwem Soltyka, ruchem Konfederacyi barskiej; ale naród ten tracił i utracił świadomość, że walcząc z przyczyną, z fundamentem, z fałszem tym wewnętrznym, z którym walczyło społecznie w Europie każde państwo katolickie i protestanckie, Richelieu i Kromwell, Ferdynand II i Gustaw Adolf, niewolnikiem środka się stawał, którym była *aurea libertas*, którym było ubezwładnienie państwa.

Przywrócić jedność religijną, było dla męża stanu, który myślał o zbawieniu Polski, alfą i omegą zadania. Przywróceniem jej lamalo się jej narzędzie, fałszywą i naturze państwa przeciwną konstytucyę 1573 r. Zdanie to można było spełnić środkami długimi, powolnie i wytrwale działającemi, wojnami, przetapiającemi społeczeństwo w obóz karny, nazewnątrz zwrócony, szerczeniem oświaty, nadzorowanej skrzętnie co do jej kierunku, organiczną pracą wśród nowego wielkiego *interim*, które sobie społeczeństwo nałożyć dało.

Jakby dla pokazania, że to było możebnem, przyszedł na tron polski człowiek, o którym powiedział papież z pasterza: *Ecce homo, qui redempturus erat Israel!*

Historja miewa w biegu swoim dnie pogodne, jasne, które jej zsyła Opatrzność, aby ciepło słoneczne w nich nagromadzone świeciło potomności jako krynica życia, zbawienia, mądrości. Historja ma dnie, w których wszystko jest zadziwiającem, wszystko niespodziewanem, w których staje *post nubila Phoebus*, w których Bóg szle jednego człowieka i temu jednemu człowiekowi daje moc wielką, organizatorską, swoją własną poniekąd, której nie miał chaos tysięcy.

Rozszczepia się naród na dwa obozy, nietyłe religijne już, jak polityczne: możnowładczy i szlachecki. Szlachecki sprowadza sobie króla ubogiego, źle odzianego, w ubogiej komitywie, przeciwko pierwszemu potentatowi świata. Za królem tym arianskie tradycje siedmiogrodzkie. Tradycje te ubezpieczają różnowierców, niebezpieczeństwo każe na bok usunąć kwestyę wiary. Król ten ubogi i źle odziany, ma to, czego nie daje nic, jeśli Bóg nie da: ma orle oko, trafiające zawsze najkrótszem spojrzeniem w jądro położonego przed nim zadania. W przeciwieństwie do Zygmunta Augusta, który wie zawsze, czego nie chce, on wie i zgaduje od razu, szybko, stanowczo, czego chcieć trzeba. Nie waha się nigdy, spokojny, dominujący nad otoczeniem, gromki, gdy inaczej być nie może, srogi, gdy potrzeba, posąg woli czynnej prawdziwy, której brakło tak długo. *La Pologne vaul la messe* — rozum polityczny, wzgląd na położenie wiedzie go do katolicyzmu. Widzi dwóch ludzi potężnych zdolnościami i siłą w społeczeństwie: Karnkow-

skiego i Zamoyskiego—stawia ich przy sobie. Sierota narodu infantka Anna pokrzywdzona: naprawia krzywdę. Podają mu warunki niezgodne z jego przekonaniem o królewskości—odtrąca je twardo, zastrzega się przeciw nim. Tam, w Tykocińskim zamku leżą skarby Zygmunta Augusta—rzuci je na wojnę. Patrzy w tłumy świecące złotem ubiorów, wytwornym rynsztunkiem rycerskim, zapolitykowane, zadysputowane o wierze: wojna je uzdrowi, pogodzi; do wyścigu ruszy szeregi, które żyły paradą i zwadą. Tam, pod Połockiem i Wielkimi Łukami zbliży się pod mury, że kule zabijać będą towarzyszy i dziurawić mu szaty—on się nie cofnie, on wierzy w swoją gwiazdę. Wojownik przedewszystkiem, on patrzy głębiej, patrzy do dna każdej kwestyi. Sądownictwo kuleje od stulecia: staje trybunał. Uniwersytet przeszedł r. 1579 w kierunku humanistyczny pod Jakóbem Górskim: król stara się o ściągnięcie hojnym uposażeniem Mureta dla filologii, Zabarelli dla filozofii, Papiusa dla prawa, Grzegorza z Walencji dla teologii. Burdy religijne nie ustają—król je sędzi. Uniwersytet wychodzi z nich bez zarzutu, boć jeśli uczniowie napadają Bróg przy ulicy Ś. Jana, albo insultują Fausta Socyna, to Fausta broni profesor uniwersytetu Jan Widawita, a p. Stanisław dyabeł Stadnicki *in persona* tłucze okna i wylamuje drzwi w kolegium większem, gdzie uczą i mieszkają profesorowie. Wszystko staje się narzędziem publicznego dobra w jego organizatorskiej ręce: Hozyusz jego przyjacielem i doradcą, Synod r. 1577 położy podwaliny reorganizacji Kościoła wedle uchwał trydenckiego koncylium; Akademia jezuitcka w Wilnie, domy jezuitów w Inflantach i Połocku staną się warowniami katolicyzmu na krańcach Rzeczypospolitej; swawola kozacka ukrócona, w mundur rejestrowych zaszyta. Wśród takiej pracy zasyknie to, co najbardziej dotknięte; aryańską opozycją Niemojewskich i Kazimirskich zahuczą sejmy; stracyusze Zborowscy uknują królobójstwo na „Zborowskiej trawie”—król włoskimi maszkarami tryumfu uczci syna szlachty, męża stanu z demagoga i odda mu rękę siostrzenicy; Samuela głowę pokaże tłumom, wejdzie w proces ze zdradą stanu i warcholstwem—zwycięży jawnie, wszem wobec. Gdzie pójdzie dalej?

Wszystkiego można się było spodziewać, gdyby nie ten piorun, który spadł na głowę wielkiego człowieka d. 10 Grudnia 1586 r.; wśród nachylonych nad chorym dwóch aryańskich medyków, Symoniego i Bucceli — piorun, który powalając Batorego, powiedział Polsce, że to, co było lat dziesięć, to nie jej zasługa, to nie jej dzieło, to było tylko zesłanie człowieka, *qui redempturus erat*, który zbawić miał, ale nie zbawił, po którego śmierci wszystko i *wszystyey* w Polsce powrócili do tego, czem byli pierwotnie, przed jego przyjściem, przed wielkiem „stań się,” którego czarodziejską siłą tylko On udziela,

Nie ma w tem nic upokarzającego dla narodu; to uznanie tylko, konieczne, sumienne, do którego przychodzi się tem silniej, im dłużej się patrzy w historię i to w historię najboleśniejszą ze wszystkich, bo historię narodu upadłego a żyjącego przecie; uznanie, będące jedynym ratunkiem przed fatalizmem i pesymizmem bez granic, że jest potęga, która sobie zachowała kierunek dziejów z wysoka, z daleka, z niebotycznych wyżyn, aby nie krępować woli ludzkiej; potęga, która daje tchnienie pokoleniom, która zsyła wielkie duchy i która zabiera je z ziemi! Dziać się to musi wedle zamysłów, których nie dociekniemy, sprawiedliwości, której nie zbadamy, wśród zakłamań, których nie ogarnie żaden system. Nikt tego nie przewidzi i nie obliczy. Ale jeden fakt tej tajemniczej zasłony uchylony jeszcze; wielcy ludzie i wielkie chwile mijając i zacierając skutki swoje, zabierając ze sobą często wszystkie swoje zdobycze, zostawiają po sobie jedno, zostawiają pamięć swoją, jako pamięć wchodzi w organizm społeczeństwa, są tymatodem, który, martwy przez wieki, objawia się nagle, dźwiga, gra, a czasami wraca do życia i potęgi. Nic w historii nie ginie, jak nie ginie w naturze. To, co po woli Bożej najdoskonalszem było w dziejach Polski XVI wieku, było najdoskonalszem i po ludzku, było ustawieniem do najwyższej harmonii tezy chrześcijańskiej z antytezą ludzką, chrześcijaństwa z humanizmem. Na Batorego czasy przypada ostatnia warstwa humanistów, wydobywających się zwyczajko z długoletniej a tak zgubnej antytezy z Kościołem: Zamoyski, Kochanowski, Sokołowski, Górski, Skarga. Batory sam, wysoko wykształcony, choć przybysz do Polski, sływa się i łączy z najwyższymi myślami i aspiracyami tego kierunku, jak przejmując w zadziwiający sposób wszystkie najrozumniejsze dążenia przeszłości. Z zamierzchłych wieków przyznałby się do niego Chrobry, Kazimierz Wielki, podziwialiby go Witold i Zbigniew Oleśnicki, wszystko, co wielkie, zdrowe, rządne, rozumne, do wielkości narodu i państwa dążące. Geniusz — to syn Boży i wysłannik Boży; rozum — to dar Boży i potęga Boża, *humanizm w najszerszem tego słowa znaczeniu*, jako uprawnione dążenie człowieka do zbadania i zgłębienia wszystkiego, co ludzkie; to nie wróg Boży, nie wróg wskazanej z niebios dla człowieka drogi—to źródło wiekuistej siły, aby coraz lepiej tę drogę rozumieć, coraz doskonalej ją pojmować, to ten podkład ziemi dla człowieka-tytana, z którego się czerpie siła i zasoby rozwoju, byle nie do walki z niebiosami, bo w niebiosach nie Jowisz siedzi starożytny, bo drogę do nich nową, wieczystą objawił Ten, co sam jest *Drogą i Prawdą i Życiem...*

Geniusz?—Ależ nie od nas zależy zesłanie geniuszów... Tak, nie od nas, ale od nas utworzenie medium, gdzie działanie zbawcze się zacznie.

Są geniusze, które marnieją, gdy medium dla nich braknie. Zmarniał u nas mąż stanu Jan Kazimierz, zmarniał wojownik i mąż stanu, Sobieski, zmarniało tylu innych. Dla geniuszów i społeczeństw jedno prawo — humanizm w nich niech nie zapomina, że prowadzić go winien nie człowiek już — ale Bóg-człowiek.

Dzieje są ostatecznie jednym tylko — mierzaniem się humanizmu z chrześcijaństwem. Od tej chwili, gdy duch Boży powołał człowieka do dziejowego rozwoju, w rozbięciu, w rozdruzgotaniu na rasy i ludy, nie skrętniej nie zachował człowiek, jak ostatni szczątek swego związku z Bogiem. Nawskrós narodowo-religijną jest starożytność. Od chwili, gdy mu powiedziano: Z tobą jestem do skończenia świata—nie omieszkał, aby się ratować po ludzku od tego porwania ku niebu. Wszystko uraściło w antytezy chrześcijaństwa, co było: etnograficzne właściwości ludów, starożytność i Wschód zamierzchły; wszystkiemu dało chrześcijaństwo nowe życie — życie przeczenia, jako wiekuiste świata twierdzenie. Do absurdu przywiodło się już tyle tych przeczeń: mahometanizm, averroizm, humanizm dni pierwszych, sekciarstwo reformacyi — ale nie! one rosą bez końca, duch ludzki broni się do upadłego, z Grecyi i Rzymu idzie do Egiptu, Asyrii i Babilonu, rusza przedhistoryczne warstwy, z zdobyczami oderwanemi staje i mówi: Od algii, byle nie od Ciebie, do *nirwany*, byle nie do Ciebie! Ale w nim samym, w jego społeczeństwie, w jego i tego społeczeństwa głębiach co chwila odzywa się wielkie przeczenie przeciw temu przeczeniu, przeciw temu ratowaniu indywidualnej pychy. Rozum się szarpie, ale całe jestestwo chwycił Ten, który powiedział: Jam jest Drogą i Prawdą i Życiem... Czyliż tajemnicą życia dla tych, co szczególnie potrzebują najsilniejszego dla niego kordyału, nie byłoby uznanie tej wielkiej prawdy dziejów: nie odpychanie niczego, co ludzkie, a poddanie się temu, co Boże?

Z CESARSTWA.

V.

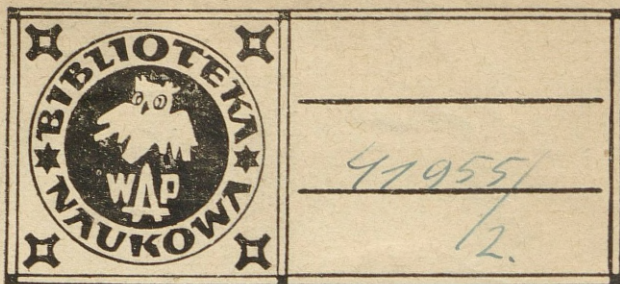
Puszkini i uroczystości puszkiniowskie.

Pierwszy Puszkini zareprezentował w gronie literatur europejskiej literaturę rosyjską. Lwy Tołstoje i Turgieniewy nie potrzebują wywalcząć reprezentacyi dla ojczystego piśmiennictwa; oni — utrzymują tylko stanowisko zdobyte, oni dzierżą sztandar zatnięty przez Puszkina. W czynie więc wywalczenia reprezentacyi dla literatury ojczystej, w czynie pierwszego jej przedstawicielstwa, zawiera się chwala, zasługa i sława Puszkina. Przed nim — panowała poezya nakazu, obstalunku, sławienia czynów wojennych, przed nim — język poetycki był twardym, nieokrzesanym, nadętym, kującym epiteta z języka cerkiewnego; przed nim — trzymano się wzorów klasycyzmu i ślepego ich naśladownictwa. Puszkini się zjawia i tworzy: Rusłana i Ludmiłę, Jenca Kaukazkiego, Fontannę w Bachczysaraju, Cyganów, Onegina — a z utworami temi ginie nakaz i obstalunek natchnienia, ciężkość i nieokrzesanie języka, naśladownictwo i niedołęztwo klasycyzmu. Prawie wszystkie utwory Puszkina posiada literatura nasza w tłumaczeniu. „Jeniec kaukazki“ wyszedł w dwóch częściach z drukarni Wróblewskiego w Warszawie w r. 1828; „Fontanna w Bachczysaraju“ w Wilnie w r. 1826; „Cyganie“ w przekładzie Leona Janiszewskiego (jest to odbitka z „Biblioteki Warszawskiej“); „Połtawa“ przełożona jest prozą w pismach Ludwika Jacewicza, wydanych w Wilnie w r. 1834; w „Niezapominajkach“ ukraińca E. F. Daszkowskiego, znajdujemy całkowite tłumaczenie poematów

vt. —

834/26560





41955/
2.